

Arkadij i Borys Strugaccy

Koniec

Akcji "Arka"

Przełożyła Irena Lewandowska

Rozdział I PUSTKA I CISZA

- Wiesz - powiedziała Majka - mam jakieś kretyńskie przeczucie...

Staliśmy obok glidera. Majka patrzyła pod nogi i uderzała obcasem w zamrznięty piasek.

Żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy. Osobiście nie miałem żadnych przeczuć, ale też mi się tu nie podobało, jeśli mam być szczery. Zmrużyłem oczy i spojrzałem na lodowiec. Sterczał nad horyzontem jak gigantyczna głowa cukru, oślepiająco biały, wyszczerbiony kiel, bardzo zimny, bardzo stabilny monolit, bez tych wszystkich malowniczych migotań i cieni - było jasne, że skoro już sto tysięcy lat temu wgryzł się w ten płaski i bezbronny brzeg, to zamierza tu sterceć następne sto tysięcy lat na złość wszystkim swoim bezdomnym współpracownikom, dryfującym po oceanie. Gładka, szarozółta plaża spływała ku lodowcowi błyskając miliardami mroźnych igiełek, a po prawej był ocean, ołowiany, ziejący wystygłym metalem, zmarszczony słabą falą, u horyzontu czarny jak tusz, i nienaturalnie martwy. Po lewej, nad gorącymi źródłami, nad bagnem, wisiała warstwami szara mgła, za mgłą niewyraźnie majaczyły szczytaste wzgórza, a dalej spiętrzone strome czarne skały w białych plamach śniegu. Te skały ciągnęły się wzdłuż całego wybrzeża, a nad nimi, na bezchmurnym, ale równie ponurym szaroliliowym lodowatym niebie wschodziło maleńkie, zimne fioletowawe słońce.

Van der Hoose wysiadł z glidera, naciągnął na głowę futrzany kaptur i podszedł do nas.

- Jestem gotów - oświadczył. - Gdzie Komow?

Majka wzruszyła ramionami i chuchnęła na zamrznięte palce.

- Pewnie zaraz przyjdzie powiedziała z roztargnieniem.

- Dokąd się dzisiaj wybieracie? - zapytałem Van der Hoosego. - Na jezioro?

Van der Hoose uniósł podbródek, wysunął dolną wargę, spojrzał na mnie sennie i od razu upodobił się do podstarzałego wielbłąda o kudłatych jak u rysia bokobrodach.

- Smutno ci tu samemu - powiedział ze współczuciem. Jednakże będziesz musiał jeszcze trochę pocierpieć, jak sądzisz?

- Sądzę, że będę musiał.

Van der Hoose odrzucił głowę jeszcze bardziej do tyłu i nadal z tą samą wyniosłością starego wielbłąda spojrzał na lodowiec.

- Tak - oświadczył ze zrozumieniem. - To niezmiernie przypomina Ziemię, ale to nie Ziemia. Na tym polega całe nieszczęście z planetami tego typu. Człowiek ciągle czuje się oszukany. Okradziony. Ale i do tego można się przyzwyczaić, jak sądzisz, Majka?

Majka nie odpowiedziała. Była dzisiaj jakaś nieswoja. Albo przeciwnie wściekła. Ale z Majką to się zdarza, taka już jest.

Z tyłu, za nami, z lekkim cmoknięciem pękła błona wjazdu i Komow zeskoczył na piasek. Idąc, pośpiesznie zapiął doche. Kiedy podszedł do nas, zapytał krótko:

- Gotowi?

- Gotowi - powiedział Van der Hoose. - Dokąd dzisiaj? Znowu na jezioro?

- Tak - odparł Komow szamocząc się z zapinką pod szyją. - Jeśli dobrze pamiętam, Majka, ty masz dzisiaj kwadrat sześćdziesiąt cztery. Moje koordynaty: zachodni brzeg jeziora, wzgórze siedem, wzgórze dwanaście. Szczegóły omówimy w czasie jazdy. Ciebie, Popow, poproszę o nadanie depesz, zostawiłem je na mostku. Łączność ze mną przez glider. Powrót o osiemnastej zero-zero. W razie opóźnienia uprzedzimy cię.

- Jasne - powiedziałem bez entuzjazmu. Nie spodobało mi się to gadanie o spóźnieniu. Majka w milczeniu ruszyła w stronę glidera. Komow poskromił wreszcie zapinkę, przesunął dłonią po piersi i poszedł za Majką. Van der Hoose ścisnął mnie za ramię.

- Jak najmniej wpatruj się w te pejzaże - poradził. - Siedź w domu i o ile to tylko możliwe czytaj sobie. Dbaj o swój woreczek żółciowy.

Bez pośpiechu włądował się do glidera, usiadł w fotelu pilota i pomachał mi dłonią. Majka wreszcie pozwoliła sobie na uśmiech i też mi pomachała, Komow nie patrząc kiwnął głową, zasunął się odwiatrznik i przestałem ich widzieć. Glider ruszył bezszelestnie, ostro wystartował do góry, błyskawicznie zamienił się w czarny, maleńki punkt i znikł, jakby go nigdy nie było. Zostałem sam.

Przez jakiś czas stałem w miejscu z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie dochy i patrzyłem, jak pracują

moi wychowankowie. W ciągu nocy nieźle się potrudzili, schudli, stracili na wadze i teraz szeroko rozdziawiając pochłaniacze energii chciwie łykali wodnisty bulion, którym karmiło ich wątłe liliowe słońce, nic poza tym ich nie interesowało. I nic poza tym nie było im potrzebne, nawet ja im nie byłem potrzebny - w każdym razie do momentu, w którym wyczerpie się program. Wprawdzie niezgrabny grubas Tom za każdym razem, kiedy trafiałem w pole widzenia jego wizjerów, zapalał rubinowy sygnał na czole i przy niejakiem dozie dobrej woli można to było uznać za powitanie, za uprzejmy acz nieco roztargniony ukłon, ale ja przecież dobrze wiedziałem, że znaczy to po prostu "U mnie i u pozostałych wszystko w porządku. Wykonujemy zadanie. Czy masz jakieś nowe polecenia?" Nie miałem nowych poleceń. Miałem poczucie samotności, a dokoła panowała martwa cisza.

To nie była miękka cisza komory akustycznej, która zatyka wata uszy, i nie ta cudowna cisza ziemskiego wieczoru za miastem - odświeżająca, łagodnie obmywająca mózg, która niesie ukojenie i sprawia, że człowiek staje się częścią wszystkiego co najlepsze na świecie. To była szczególna cisza - przesywająca, przezroczyta jak próżnia, napinająca nerwy - cisza ogromnego, absolutnie pustego świata.

Rozejrzałem się, osaczony. W ogóle zapewne nie można tak powiedzieć o sobie, zapewne należałoby powiedzieć po prostu "rozejrzałem się". Jednakże naprawdę rozejrzałem się nie zwyczajnie, tylko właśnie jak osaczony. Bezszelestnie stygł ocean. Bezszelestnie oślepiało liliowe słońce. Pora była z tym wszystkim skończyć.

Na przykład ciągle nie mogłem się zdecydować, aby pójść obejrzeć lodowiec. Do lodowca było z pięć kilometrów, a standardowa instrukcja kategorycznie zabrania dyżurnemu oddalać się od statku dalej niż o sto metrów. Prawdopodobnie w innej sytuacji miałbym diabelną pokusę, aby zaryzykować i naruszyć instrukcję. Ale nie tutaj. Tutaj mogłem równie dobrze odejść pięć kilometrów albo sto dwadzieścia pięć i nic by się nie stało ani ze mną, ani z moim statkiem, ani z dziesięcioma pozostałymi statkami, które stały na swoich lądowiskach na południe ode mnie we wszystkich strefach klimatycznych tej planety. Nie wyskoczy z tych kalekich zarośli, żeby mnie pożreć, krwiożerczy potwór - nie ma tu żadnych potworów. Nie nadciągnie znad oceanu straszliwy tajfun, żeby poderwać nasz statek i rzucić nim o ponure skały - nie zanotowano tu ani tajfunów, ani innych wulkanów. Baza nie ogłosi nagłego biologicznego alarmu - tu nie może być biologicznego alarmu - tu nie ma ani wirusów, ani bakterii niebezpiecznych dla wielokomórkowców. Niczego tu nie ma na tej planecie, oprócz oceanu, skał i karłowatych drzew. Nie ma powodu naruszać instrukcji.

Nie ma też powodu, aby jej przestrzegać. Na dowolnej przyzwoitej, czynnej biologicznie planecie, figę bym tak stał z rękami w kieszeniach trzeciego dnia po wylądowaniu. Zwiijałbym się teraz jak w ukropie.

Przygotowanie, uruchomienie i codzienna kontrola funkcjonowania wartownika-zwiadowcy.

Zorganizowanie wokół statku - i wokół terenów budowy - Strefy Absolutnego Bezpieczeństwa Biologicznego. Zabezpieczenie wspomnianej SABB przed atakiem spod ziemi. Co dwie godziny kontrola i wymiana filtrów - zewnętrznych pokładowych, wewnętrznych pokładowych i osobistych. Zbudowanie bunkra-cmentarza na wszystkie odpadki, w tym również na zużyte filtry. Co cztery godziny sterylizacja, degazyfikacja i dezaktywacja systemów sterowniczych cybernetycznych mechanizmów. Kontrola informacji dostarczanej przez roboty medyczne działające poza granicami SABB. No i różne pozostałe drobiazgi - sondy meteorologiczne, zwiad sejsmiczny, stopień speleologicznego bezpieczeństwa, tajfuny, lawiny, uskoki, leśne pożary, wybuchy wulkanów...

Wyobraziłem sobie, jak w skafandrze, spocony, niewyspany, zły i już nieco otepiały przemywam węzły nerwowe grubasa Toma, jak wartownik-zwiadowca lata mi nad głową i z uporem idioty po raz dwudziesty komunikuje, że pod tym oto korzeniem pojawiła się straszliwa nakrapiana żaba nieznanego gatunku, a w słuchawkach skrzeczą alarmujące sygnały okropnie zdenerwowanych robotów służby medycznej, które stwierdziły, że jakiś miejscowy wirus niestandardowo reaguje na próbę Baltermanca i w związku z tym teoretycznie może przełamać blokadę biologiczną. Van der Hoose, który, jak przystało na lekarza i kapitana, nie opuszcza statku, zawiadamia mnie z pewnym niepokojem, że zaistniało niebezpieczeństwo zatonięcia w trzęsawisku, a Komow z lodowatym spokojem melduje przez radio, że silnik glidera pożarty jakieś owady w rodzaju naszych mrówek i że te mrówki w obecnej chwili przymierzają się do jego skafandra... Uff! Ale na taką planetę naturalnie nikt by mnie nie zabrał. Zabrano mnie właśnie na taką planetę, dla której nie pisze się instrukcji. Nie są potrzebne.

Przystanąłem przed włazem, otrząsałem piasek z butów, postąpiłem chwilę z dłonią na ciepłej pulsującej burcie, a potem nacisnąłem błonę palcem. Na statku również było cicho, ale to była domowa cisza, cisza pustego i przytulnego mieszkania. Zrzuciłem dochę i poszedłem prosto na mostek. Nie zatrzymałem się przy swoim pulpicie - i tak wiedziałem, że wszystko jest w porządku - od razu usiadłem przy nadajniku. Depesze leżały na stoliku. Włączyłem szyfrator i zacząłem kodować tekst. W pierwszej Komow podawał Bazie współrzędne trzech ewentualnych obozowisk, meldował, że narybek został wczoraj wpuszczony do jeziora i radził, żeby Kitamura nie śpieszył się z gadami. To wszystko było mniej lub więcej

zrozumiałe, ale z drugiej depezy, skierowanej do Centralnego Ośrodka Informacyjnego, zrozumiałem tylko tyle, że Komowowi są pilnie potrzebne dane współczynnika Y dla dwunormalnego humanoida z czteropiętrowym wskaźnikiem składającym się z dziewięciu cyfr i czternastu greckich liter. To była idealnie hermetyczna wyższa ksenopsychologia, z której ja, jak każdy normalny humanoid o wskaźniku zero, absolutnie niczego nie rozumiałem. No i bardzo dobrze. Zakodowałem tekst, włączyłem służbowy kanał i nadałem wszystko na jednym impulsie. Potem zarejestrowałem depeze i wtedy przyszło mi do głowy, że już czas posłać pierwsze sprawozdanie. Zresztą zależy, co się rozumie pod słowem - sprawozdanie... "Grupa EZ-2, roboty budowlane standard 15 - wykonanie - tyle i tyle procent" podpis, data. I to wszystko. Musiałem wstać i podejść do swojego pulpitu, żeby rzucić okiem na harmonogram, i od razu zrozumiałem, dlaczego tak nagle zachciało mi się wysłać sprawozdanie. Tu nie chodziło o żadne sprawozdanie, po prostu jestem zapewne już tak doświadczonym cybernetykiem, że nawet nic nie widząc i nie słysząc poczułem, że coś nie gra. I rzeczywiście - Tom, dokładnie tak jak wczoraj znowu ni z tego, ni z owego stanął. Jak i wczoraj z irytacją nacisnąłem klawisz sygnału kontroli "Co się stało?", jak i wczoraj sygnał zatrzymania natychmiast zgasł i zapłonęło pomarańczowe światełko: "U nas wszystko w porządku, realizujemy program. Czy masz nowe polecenia?" Poleciałem mu przystąpić do pracy i włączyłem ekran telewizyjny. Jack i Reks trudzili się w pocie czoła, Tom również ruszył z miejsca, przez kilka sekund szedł jakoś dziwnie trochę bokiem, szybko jednak wrócił do normy. - Ej, bracie - powiedziałem na głos - widocznie przepracowałeś się i trzeba cię będzie przeczyścić. - Spojrzałem na kartę pracy Toma - przegląd techniczny wypadł na dzisiejszy wieczór. - Trudno, do wieczora jakoś dotrwamy, jak sądzisz?

Tom nie zaprzeczył. Przez jakiś czas patrzyłem na ich pracę, potem wyłączyłem ekran - lodowiec, mgła nad trzęsawiskiem, ciemne skały... Wołałem obejść się bez tego wszystkiego. Sprawozdanie jednak wysłałem i niezwłocznie połączyłem się z EZ-6. Wadik odezwał się natychmiast, jakby tylko na to czekał.

- No i co tam u was? - zapyłaliśmy jednocześnie.

- U nas nic - odpowiedziałem.

- U nas jaszczurki pozdychały - poinformował mnie Wadik.

- Eh, wy szybkościowcy! powiedziałem. - Przecież ostrzegał was Komow, ukochany uczeń doktora M'Bogi - nie śpieszcie się z gadami.

- A kto się z nimi śpieszy? - zdziwił się Wadik. - Jeśli cię interesuje moja opinia, to one tak czy owak tu nie wyżyją. W takim upale!

- Kąpiecie się? - zapytałem z zawiścią.

Wadik zamilkł na moment.

- Tak, chlapiemy się - powiedział niechętnie. - Od czasu do czasu.

- Dlaczego?

- Pusto - powiedział Wadik - coś w rodzaju koszmarnie wielkiej wanny... Ty tego nie zrozumiesz. Normalny człowiek w ogóle nie jest w stanie wyobrazić sobie takiej nieprawdopodobnej wanny. Płynąłem kiedyś z pięć kilometrów, z początku wszystko było dobrze, ale kiedy nagle uprzytomniłem sobie, że to przecież nie basen tylko ocean... I oprócz mnie nie ma tu ani jednego żywego stworzenia... Nie, stary, ty tego nie zrozumiesz. O mało się nie utopiłem.

- No tak... - powiedziałem. - To znaczy, że i u was też...

Pogadaliśmy jeszcze kilka minut, a potem Wadika wezwała Baza i pożegnaliśmy się spiesznie. Wywołałem EZ-9. Hans nie zgłosił się. Można było jeszcze wywoływać EZ-1, EZ-3, EZ-4 i tak dalej do EZ-12 i porozmawiać o tym, jak tu jest okropnie pusto i martwo, ale jaki to ma sens? Jeśli się zastanowić, to żadnego. Dlatego też wyłączyłem radiostację i wróciłem na swoje miejsce. Przez jakiś czas po prostu sobie siedziałem - patrzyłem na ekrany i rozmyślałem, że to, co tu robimy, jest podwójnie pożyteczne - nie tylko ratujemy mieszkańców Panty od nieuniknionej zagłady, ale wydobywamy też tę planetę - z pustki, z martwej ciszy, z bezmyślności. Potem przyszło mi do głowy, że na Pancie musi żyć dosyć dziwaczna rasa, jeśli nasi ksenopsychologowie uważają, że ta planeta najlepiej się dla niej nadaje. Nieco dziwnie musi wyglądać życie na tej Pancie. Przywiozą tu ludzi stamtąd - oczywiście nie wszystkich od razu; na początek po dwóch, po trzech przedstawicieli każdego plemienia. Delegaci zobaczą tę zamrażającą plażę, lodowiec, pusty, lodowaty ocean, puste liliowe niebo, zobaczą i powiedzą: "Cudownie! Zupełnie jak w domu!" Jakoś nie bardzo chce się wierzyć. Co prawda, kiedy przyjadą, już tu nie będzie tak pusto. W jeziorach będą ryby, w zaroślach zwierzęta, na mieliznach - jadalne skorupiaki. A może i jaszczurki jakoś się przyzwyczają... A poza tym mówiąc otwarcie w sytuacji plemion z Panty nie bardzo można wybrzydzać. Gdyby na przykład nagle się okazało, że nasze Słońce lada chwila wybuchnie i spali na Ziemi wszystko co żywe, też bym specjalnie nie grymasił. Z całą pewnością powiedziałbym sobie - trudno, stało się, jakoś wyżyjemy. Zresztą tych z Panty nikt nawet nie pyta o zdanie. I tak niczego nie rozumieją, nie znają kosmogonii, nawet najbardziej prymitywnej. I nigdy się nie dowiedzą, że przesiedlono ich na inną planetę...

Nieoczekiwanie stwierdziłem, że coś słyszę. Szeleszczący dźwięk, jakby przebiegła jaszczurka. Skojarzył mi się z jaszczurką pewnie na skutek niedawnej rozmowy z Wadikiem, a tak naprawdę to dźwięk był ledwie dosłyszalny i absolutnie nie określony. Potem w odległym kącie mostka coś tyknęło i natychmiast gdzieś zaszemrał strumyk wody. Na samej granicy słyszalności bzykała w pajęczynie mucha, mamrotały przyśpieszone zirytowane głosy. I znowu korytarzem przebiegła jaszczurka. Poczułem, jak od napięcia zdrewniała mi szyja, i wstałem> Wstając, potrafiłem leżący na krawędzi pulpitu informator, który z potwornym hałasem spadł na podłogę. Podniosłem go i z jeszcze potworniejszym hałasem rzuciłem z powrotem na pulpit. Zanuciłem dziarskiego marsza i defiladowym krokiem wyszedłem na korytarz. To ta cisza. Cisza i pustka. Van der Hoose co wieczór mi to tłumaczy bardzo przystępnie. To nie natura, ale człowiek nie znosi pustki. Kiedy znajdzie się w próżni, stara się czymś ją wypełnić. Wypełnia ją zwidami, nie istniejącymi głosami, jeżeli nie jest w Stanie zapełnić jej czymś konkretnym. Nie istniejących dźwięków w ciągu tych trzech dni nasłuchiwałem się wystarczająco. Należy przypuszczać, że niedługo zaczną się zwidy. Maszerowałem korytarzem, mijając puste kajuty, bibliotekę, arsenał, a kiedy przechodziłem obok ambulatorium, poczułem słaby zapach - ostry i zarazem nieprzyjemny, coś w rodzaju amoniaku. Przystanąłem i zacząłem wąszyć. Zapach był znajomy, ale jednocześnie niepojęty. Zajrzałem do gabinetu chirurgicznego. Włączony i zawsze gotowy do działania cybernetyczny chirurg - ogromna biała ośmiornica zawieszona pod sufitem - zimno spojrzał na mnie zielonkawymi oczami i gotowy do czynu poruszył manipulatorami. Tu zapach był ostrzejszy. Włączyłem awaryjną wentylację i pomaszerowałem dalej. Zdumiewające, do jakiego stopnia zaostrzyła się moja zdolność odbierania wszelkich bodźców! Co jak co, ale węch miałem zawsze do niczego...

Swój patrolowy marsz zakończyłem w kuchni. Tu też było mnóstwo zapachów, ale nie miałem nic przeciwko nim. Cokolwiek by tam mówiono, w kuchni powinno pachnieć. Na innych statkach czy to kuchnia, czy mostek - na jedno wychodzi. U mnie tego nie ma i nie będzie. Zaprowadziłem własne porządki. Czystość czystością, a w kuchni powinno ładnie pachnieć. Smakowicie. Apetycznie. Ja zaś mam obowiązek czterokrotnie w ciągu dnia układać menu i to, proszę zwrócić uwagę, przy całkowitym braku apetytu, ponieważ apetyt i ta pusta cisza najwidoczniej są nie do pogodzenia...

Na ułożenie jadłospisu potrzebne mi było przynajmniej pół godziny. To było trudne pół godziny, ale zrobiłem co w mojej mocy. Następnie włączyłem kucharza, zaprogramowałem go odpowiednio i poszedłem rzucić okiem na pracę moich wychowanków.

Już na progu mostku zobaczyłem, że coś się stało. Wszystkie trzy robocze ekrany na moim pulpicie notowały przerwanie prac. Podbiegłem do pulpitu, włączyłem wizję. Serce mi zamarło - plac budowy był pusty. Nic podobnego jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło. Nawet nie słyszałem, żeby coś podobnego w ogóle mogło się zdarzyć. Potrząsnąłem głową i rzuciłem się do wyjścia. Roboty ktoś uprowadził... Zabłąkany meteor... Przyniósł Tomowi w łeb... Program oszalał... Niemożliwe, niemożliwe! Wpadłem do komory kesonowej i złapałem dochę. Nie trafiałem w rękawy, gdzieś zginęły zapinki i przez cały ten czas, póki walczyłem z dochą niby baron Munchhausen ze swoim wściekłym futrem, widziałem oczyma duszy straszliwy obraz - ktoś nieznanymi i nie istniejącymi prowadzi mojego Toma jak pieska na smyczy, a reszta robotów pokornie sunie prosto w mgłę, w kipiące trzęsawisko, pogrąża się w burym błocie i znika na zawsze... Z rozmachem kopnąłem błonę nogą i wyskoczyłem na zewnątrz.

Pociemniało mi w oczach. Roboty były tu, pod samym statkiem. Tłoczyły się przy towarowym włazie, przechylając się leciutko, jak gdyby każdy z nich chciał pierwszy znaleźć się w ładowni. To było niemożliwe, to było straszne. Jakby chciały najszybciej ukryć się pod pokładem, schować się przed kimś, uratować. Robotologii znane są przypadki wściekłości u robotów, niezwykle rzadkie, ale żeby się wściekł robot budowlany, o tym nie słyszałem nigdy. Jednakże nerwy miałem tak napięte, że byłem przygotowany nawet na to. Ale nic się nie stało. Kiedy Tom mnie zauważył, przestał się kręcić i zapalił sygnał "Czekam na polecenia". Ruchami rąk poleciłem mu kategorycznie "Wracać na miejsce, kontynuować program". Tom posłusznie włączył tylny bieg i pojechał z powrotem na budowę. Jack i Reks rzecz jasna ruszyli za nim. Ciągle jeszcze stałem obok włazu, w gardle mi wyschło, kolana miałem jak z waty i za wszelką cenę pragnąłem usiąść.

Ale nie usiadłem. Zacząłem się doprowadzać do jakiegoś takiego porządku. Docha była zapięta krzywo, uszy mi zamarały, a na czole i policzkach lodowaciał pot. Powoli, starając się kontrolować każdy swój ruch, otarłem twarz, zapiąłem się jak należy, nasunąłem na oczy kaptur i wciągnąłem rękawiczki. Wstyd przyznać, rzecz jasna, ale czułem strach. Właściwie to już nie był strach, to były resztki przeżytego strachu, zmieszane ze wstydem. Cybernetyk, który przestraszył się własnych robotów... Było dla mnie oczywiste, że nigdy nikomu o tym nie opowiem. Rany boskie, przecież mi się nogi trzęsły, zresztą jeszcze i teraz są jakieś takie miękkie i najbardziej na świecie chciałbym wrócić na statek, a tam spokojnie i rzeczowo przemyśleć całą sprawę, spróbować zrozumieć, o co chodzi. Zajrzeć do fachowej literatury. A zupełnie szczerze, to chyba boję się zbliżyć do swoich podopiecznych...

Zdecydowanym ruchem wepchnąłem ręce do kieszeni i pomaszero wałem na plac budowy. Wychowankowie pracowali jak gdyby nigdy nic. Tom jak zawsze uprzedzająco grzecznie zapytał o nowe polecenia. Jack wznosił fundamenty dyspozytorni, tak jak mu to nakazywał program. Reks chodził zygzakami po gotowej już części pasa startowego i sprzątał. Tak, coś musi być nie w porządku z ich programami. Na pas startowy przywlekli mnóstwo kamieni... Nie było tu tych kamieni, zresztą są zupełnie niepotrzebne - i bez kamieni jest dosyć budulca. Tak, od momentu kiedy Tom się wtedy zatrzymał, przez całą ostatnią godzinę robili wyraźnie nie to co trzeba. Jakież gałęzie poniewierają się na pasie... Schyliłem się, podniosłem gałązkę i przespacerowałem się tam i z powrotem uderzając tą gałązką po cholewie. A może póki jeszcze nic się nie stało, zatrzymać ich, choćby w tej chwili, nie czekając na termin przeglądu? Czyżbym rzeczywiście coś poknocił w programach? Nie do pojęcia... Rzuciłem gałązkę na kupę kamieni, które zgromadził Reks, zawróciłem i poszedłem na statek.

Rozdział II PUSTKA I GŁOSY

Przez następne dwie godziny byłem bardzo zajęty, tak zajęty, że nie pamiętałem ani o ciszy, ani o pustce. Na początek odbyłem naradę z Hansem i Wadikiem. Hansa wyrwałem ze snu, na wpół przytomny stękał i mamrotał coś od rzeczy na temat deszczu i niskiego ciśnienia. Wadika musiałem dłuższy czas zapewniać, że nie żartuję i nie robię z niego balona. To było tym trudniejsze, że bez przerwy dusił mnie nerwowy śmiech. Wreszcie przekonałem go, że bynajmniej nie żarty mi w głowie i że śmieję się z zupełnie innych powodów. Wtedy Wadik również spoważniał i zawiadomił mnie, że u niego także starszy robot co pewien czas spontanicznie przystaje, ale w tym akurat nie ma niczego dziwnego - mechanizmy pracują na granicy dopuszczalnych norm technicznych i nie zdążyły się jeszcze zaakomodować. Być może przyczyna leży w tym strasznym zimnie. Być może, mogłem tak przypuszczać. Prawdę mówiąc liczyłem, że Wadik mi to wyjaśni. Wtedy Wadik wywołał genialną Ninon z EZ-8 i przedyskutowaliśmy tę hipotezę we trójkę, nic nie wymyśliliśmy i genialna Ninon poradziła mi, że bym porozmawiał z głównym inżynierem z Bazy, który zjadł zęby właśnie na robotach budowlanych, i właściwie jest ich twórcą. No, tyle to i ja sam wiedziałem, jednakże wcale mi się nie uśmiechało prosić głównego o konsultację już na trzeci dzień po rozpoczęciu samodzielnej pracy, tym bardziej że mi nie przychodziła do głowy żadna elementarnie sensowna hipoteza. Krótko mówiąc usiadłem przy swoim pulpicie, rozłożyłem program i zacząłem go sprawdzać - komendę za komendą, grupę za grupą, pole za polem. Trzeba przyznać, że żadnych defektów nie znalazłem. Za tę część programu, którą robiłem sam, gotów byłem i przedtem ręczyć głową, a teraz na dodatek również swoim nieskalanym imieniem. Z polami standardowymi sprawa wyglądała gorzej. Znaczna ich część była mi mało znana, a gdybym zaczął każde standardowe pole kontrolować od początku, cały grafik prac poleciałby do diabła. Dlatego zdecydowałem się na kompromis. Tymczasem wyłączyłem z programu wszystkie pola, które chwilowo nie były potrzebne, uprościłem program do ostatecznych granic, wprowadziłem go do systemu sterującego i już położyłem palec na klawiszu rozruchu, kiedy nagle dotarło do mnie, że od pewnego czasu znowu coś słyszę - coś już zupełnie dziwnego, niepojętego i zdumiewająco znanego.

Płakało dziecko. Gdzieś daleko, na drugim końcu statku, za wieloma drzwiami, rozpaczliwie zanosząc się i zachłystując płakało jakieś dziecko. Musiało być bardzo malutkie - rok, nie więcej. Powoli uniosłem ręce i przycisnąłem dłonie do uszu. Płacz umilkł. Nie opuszczając rąk, wstałem, a mówiąc ściśle nagle stwierdziłem, że już od pewnego czasu stoję na nogach, zaciskając uszy, że koszula przywarła mi do pleców i że mi szczeka opadła. Zamknąłem usta i ostrożnie odjąłem dłonie od uszu. Nikt nie płakał. Panowała normalna przeklęta cisza i tylko w kącie brzęczała mucha tłukąc się w pajęczynie. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę, bez pośpiechu rozłożyłem ją i starannie wytarłem czoło, policzki i szyję. Następnie równie powoli składając chusteczkę przespacerowałem się w tę i z powrotem wzdłuż pulpitu. W głowie nie miałem żadnej myśli. Postukałem zgiętym palcem po obudowie maszyny cyfrowej i odkaslnąłem. Wszystko było w porządku, usłyszałem własny kaszel. Zrobiłem krok w kierunku fotela i wtedy dziecko zapłakało znowu.

Nie wiem, jak długo stałem jak słup i słuchałem. Najstraszliwsze było to, że słyszałem ten płacz zupełnie wyraźnie. Nawet zdawałem sobie sprawę, że to nie bezmyślny pisk noworodka i nie obrażony ryk cztero-pięcioletniego malucha - krzyczał i zanosił się niemowlak, który jeszcze nie umie chodzić i mówić, ale ma już dobre parę miesięcy. Mam siostrzeńca w tym wieku - rok z kawałkiem...

Ogłuszająco zadzwonił radiotelefon i mało mi serce z piersi nie wyskoczyło. Opierając się o pulpit, dotarłem

do radiostacji i przełączyłem się na odbiór. Dziecko ciągle płakało.

- No i co tam u ciebie? - zapytał Wadik.

- Nic nowego - powiedziałem.

- Nic nie wymyśliłeś?

- Nic - odpowiedziałem. Złapałem się na tym, że zakrywam mikrofon ręką.

- Jakoś cię źle słyszę - powiedział Wadik. - A więc co zamierzasz zrobić?

- Jakoś... - wymamrotałem słabo rozumiejąc, co mówię. Dziecko nadal płakało. Teraz trochę ciszej, ale w dalszym ciągu bardzo wyraźnie.

- Co z tobą, Staszek? - zapytał z troską Wadik. - Obudziłem cię?

Miałem największą ochotę powiedzieć: "Słuchaj, Wadik, na moim statku bez przerwy płacze jakieś dziecko. Co mam zrobić?" Ale na szczęście starczyło mi rozumu, żeby wyobrazić sobie, jak to może być przyjęte. Dlatego odchrząknąłem i powiedziałem:

- Wiesz, połączę się z tobą za jakąś godzinę. Coś mi chodzi po głowie, ale jeszcze nie jestem zupełnie pewny...

- D-o-obra - niepewnie powiedział Wadik i wyłączył się.

Postałem jeszcze chwilę przy radiostacji, następnie wróciłem do pulpitu. Dziecko chlipnęło kilka razy i ucichło. A Tom znowu stał. Znowu to zepsute pudło przerwało pracę. Jack i Reks również stali. Z całej siły nacisnąłem palcem klawisz sygnału kontroli. Żadnego efektu. Zebrało mi się na płacz, ale wtedy uprzytomniłem sobie, że cały system jest przecież wyłączony. Sam go wyłączyłem dwie godziny temu, kiedy zabrałem się do programu. Ale mi się świetnie pracuje! Może zawiadomić Bazę i poprosić, żeby przygotowali kogoś na zmianę? Jakoś głupio... Złapałem się na tym, że z ogromnym napięciem czekam, kiedy to wszystko zacznie się od nowa. I zrozumiałem, że jeżeli zostanę na mostku, to bezustannie będę nadśluchiwać i nic nie będę w stanie robić tylko nadśluchiwać, i oczywiście usłyszę, usłyszę tu jeszcze niejedno!

Włączyłem program przeglądu technicznego, wyciągnąłem ze stelaża futerał z narzędziami i nieomal biegiem ruszyłem na dwór. Usiłowałem trzymać się w garści i z dochą tym razem poradziłem sobie względnie szybko. Lodowate powietrze, które sparzyło mi twarz, otrzeźwiło mnie jeszcze bardziej. Rozbijając obcasami zlodowaciały piasek, nie oglądając się za siebie pomaszerowałem na plac budowy prosto do Toma. Na boki nie patrzyłem. Lodowce, mgły, oceany - wszystko to od tej chwili mnie nie interesowało, postanowiłem zachować mych uczuć konwalie dla bezpośrednich obowiązków. Niewiele już mi zostało tych konwalii, a obowiązków było tyle co przedtem, jeżeli nie więcej.

Przede wszystkim sprawdziłem Tomowi refleksy. Refleksy okazały się w znakomitym stanie. "Świetnie!" powiedziałem na głos, wyjąłem z futerału skalpel i jednym ruchem, jak na egzaminie, otworzyłem Tomowi z tyłu czaszkę.

Pracowałem z upojeniem, z jakąś zaciekłością, szybko, sprawnie, precyzyjnie, ostrożnie jak maszyna. Jedno mogę powiedzieć - jeszcze nigdy w życiu tak nie pracowałem. Marzły mi palce, marzła twarz, musiałem oddychać w specjalnie przemyślany sposób, żeby szron nie osiadał na polu operacyjnym, ale nawet nie chciałem myśleć o zapędzaniu robotów do warsztatu remontowego na statku. Czuję się coraz lepiej, nie słyszałem niczego, czego słyszeć nie powinienem - nawet zapomniałem już, że mogę coś podobnego usłyszeć, i dwukrotnie pobiegłem na statek po wymienne zespoły dla koordynacyjnego systemu Toma. Będziesz jak nowo narodzony - przygadywałem. - Nie będziesz już więcej uciekać z roboty. Ja cię, mój starszku, wyleczę, postawię na nogi i będą jeszcze z ciebie ludzie. A chciałbyś, żeby byli? No chyba! Wtedy będzie ci dobrze, wtedy każdy cię polubi! Ale wiesz, co ci powiem? Nie masz się co pchać do ludzi z blokiem takich aksjomatów! Z blokiem takich aksjomatów nawet do cyrku cię nie wezmą! Z blokiem takich aksjomatów wszystko podasz w wątpliwość, zaczniesz się zastanawiać, nauczysz się w skupieniu dłużyć w nosie. Pomyśl, czy to warto? I po co to wszystko potrzebne? Po co te wszystkie pasy startowe, fundamenty? A ja ciebie zaraz, mój skarbie...

- Szura... - zajęczał tuż obok ochryply kobiecy głos. - Gdzie jesteś, Szura? Boli...

Zamarłem. Leżałem w brzuchu Toma ściśnięty ze wszystkich stron ogromnymi bryłami jego roboczych mięśni, tylko nogi sterczały mi na zewnątrz i nagle zrobiło mi się nieprawdopodobnie straszno, jak w najkoszmarniejszym śnie. Naprawdę nie mam pojęcia, w jaki sposób opanowałem się, żeby nie wrzasnąć i nie zacząć się miotać w ataku hysterii. Być może, straciłem na chwilę przytomność, ponieważ dość długo nic nie słyszałem, nic do mnie nie docierało, tylko wytrzeszczałem oczy na oświetloną zielonkawym światłem powierzchnię owalnego węzła nerwowego tuż przy mojej twarzy. - Co się stało? Gdzie jesteś? Ja nic nie widzę, Szura... - chrypiała kobieta skracając się w straszliwych bólach. - Tu ktoś jest... Odezwij się, Szura! Jak boli! Pomóż mi, nic nie widzę...

Chrypiała, płakała i znowu powtarzała te same słowa, a mnie się wydawało, że widzę jej wykrzywioną twarz zlaną śmiertelnym potem, i w jej chrypieniu było już nie tylko błaganie, nie tylko ból, była w nim nienawiść,

żądanie, rozkaz. Nieomal fizycznie poczułem, jak lodowate, chwytny palce próbują dosięgnąć mojego mózgu, żeby się weń wczepić, zgnieść, zgasić. Ostatkiem świadomości, zaciskając kurczowo zęby, namacałem lewą ręką pneumatyczny zawór i nacisnąłem go z całej siły. Z dzikim wyciem wyrwał się na zewnątrz sprężony argon, a ja bez przerwy nacisnąłem i nacisnąłem zawór, zabijając, rozpraszając w pył ochryply głos w moim mózgu - czułem, że głuchnę, i ta świadomość przynosiła mi nieopisaną ulgę. Potem okazało się, że stoję obok Toma, mróz przenika mnie do szpiku kości, chucham na skostniałe palce i z pogodnym uśmiechem idioty powtarzam: "Kurtyna dźwiękowa, jasne? Kurtyna dźwiękowa..." Tom stał przechylony w prawo, a świat wokół mnie był otulony nieruchomą chmurą szronu i zamarzniętych ziarenek piasku. Grzejąc dłonie pod pachami, okrążyłem Toma i zobaczyłem, że strumień argonu wyborował na skraju placu olbrzymi dół. Postąłem chwilę nad tym dołem, ciągle jeszcze mamrocząc o kurtynie dźwiękowej, ale już czułem, że czas najwyższy przestać, domyśliłem się, że stoję na mrozie bez dochy, przypomniałem sobie, że dochę rzuciłem dokładnie w to miejsce, gdzie teraz jest dół, spróbowałem sobie przypomnieć, czy nie miałem w kieszeniach czegoś ważnego, nic sobie nie przypomniałem, lekkomyślnie machnąłem ręką i niepewnym truchtem pobiegłem na statek.

W komorze kesonowej przede wszystkim wybrałem sobie nową dochę, następnie poszedłem do swojej kajuty, kaszlnąłem pod drzwiami, jakbym uprzedzał, że zaraz wejść do środka, wszedłem i natychmiast położyłem się na łóżku twarzą do ściany i naciągnąłem dochę na głowę. Oczywiście świetnie rozumiałem, że moje czynności pozbawione są wszelkiego sensu, że do swojej kajuty przyszedłem w ściśle określonym celu, ale zapomniałem w jakim, że zamiast zrobić to co należało, położyłem się, nakryłem się z głową, jakby po to, żeby komuś niewiadomemu dowieść, iż w tym właśnie celu przyszedłem do kajuty.

Jednak miałem chyba coś w rodzaju ataku hysterii i kiedy trochę przyszedłem do siebie, uradowałem się niezmiernie, że moja histeria objawiła się w takiej całkowicie nieszkodliwej formie. Rzecz jasna, było dla mnie oczywiste, że o dalszej pracy tu nie może być mowy. I że w ogóle prawdopodobnie nigdy nie będę już pracował w kosmosie. To było oczywiście okropnie przykre - i - co tu gadać - dręczył mnie wstyd, że tak haniebnie oblałem pierwszy praktyczny egzamin, a przecież wydawałoby się, że posłano mnie na początek w najspokojniejsze i najbezpieczniejsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić. A na dodatek było mi okropnie głupio, że mój system nerwowy okazał się w takim fatalnym stanie i przykro, że kiedyś czułem taką pogardliwą litość dla Kaspara Manukiana, kiedy Kaspar nie przeszedł w konkursie organizowanym dla projektu "Arka" z powodu jakiejś tam zbytnej pobudliwości nerwowej. Moja przyszłość rysowała mi się w najczarniejszych kolorach - ciche sanatoria, komisje lekarskie, zabiegi, delikatne pytania psychologów i całe oceany współczucia i litości, potworne lawiny współczucia i litości spadające na człowieka ze wszystkich stron... Gwałtownym ruchem odrzuciłem dochę i usiadłem. Dobra, powiedziałem do pustki i ciszy, wasze na wierzchu. Gorbowski ze mnie nie wyrośnie. Jakoś to przeżyję... A więc tak. Jeszcze dzisiaj opowiem o wszystkim Van der Hoosemu, a jutro zapewne przyślą zastępcę. Rany boskie, co tam się musi dziać na budowie! Tom zdemobilizowany, plan nie wykonany i jeszcze ten kretyński dół obok pasa startowego... Nagle przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem, wyciągnąłem szufladę biurka, znalazłem krystalofon z nagraniami irukańskich marszy wojskowych i starannie umieściłem go w prawym uchu. "Kurtyna dźwiękowa" - powiedziałem do siebie po raz ostatni. Z dochą pod pachą wszedłem do komory kesonowej, parę razy głęboko odetchnąłem, żeby się już ostatecznie uspokoić, włączyłem kryształ i wyszedłem na zewnątrz.

Teraz mi było dobrze. I dookoła mnie i wewnątrz ryczały barbarzyńskie trąby, grzmiał spiz, huczały bębny. Pokryte pomarańczowym kurzem telemskie legiony ciężkim rytmicznym krokiem maszerowały przez starożytne miasto Setem. Płonęły domy, waliły się w gruzy wieże i straszliwie mącąc umysły wrażliwych wojsk świstały bojowe smoki - tarany. Otoczony i chroniony tymi dźwiękami sprzed lat tysiąca znowu wlażłem do brzucha Toma i już bez żadnych przeszkód doprowadziłem remont do końca.

Jack i Reks zakopywali dół, a wnętrzości Toma wypełniały ostatnie litry argonu, kiedy zobaczyłem nad plażą gwałtownie rosnący czarny punkcik. Wracał glider. Spojrzałem na zegarek. Była za dwie minuty osiemnasta według czasu miejscowego. Wytrzymałem. Teraz można było uciszyć bębny i kotły i ponownie przemyśleć problem - czy warto zawracać głowę Van der Hoosemu i Bazie, przecież nie tak łatwo będzie znaleźć kogoś na zastępstwo, zrobi się z tego wielka afera i praca na całej planecie może ulec opóźnieniu, zjedzie się pełno komisji, zaczną sprawdzać, kontrolować, robota stanie, Wadik będzie chodzić zły jak pies, a jeżeli na domiar wszystkiego wyobrazić sobie, jak na mnie popatrzy doktor ksenopsychologii, członek Komitetu do Spraw Kontaktów, pełnomocnik do realizacji projektu "Arka", Giennadij Komow, wschodząca gwiazda nauki, ukochany uczeń doktora M'Bogi, nowy rywal i nowy kolega po fachu samego Gorbowskiego... Nie, należy to wszystko dokładnie przemyśleć raz jeszcze. Patrzyłem na nadlatujący glider i myślałem: to wszystko należy przemyśleć i to wyjątkowo dokładnie. Po pierwsze, mam jeszcze przed sobą cały wieczór, a po drugie, mam przecucie, że należy to wszystko na jakiś czas odłożyć. Koniec końców, moje przeżycia dotyczą tylko mnie, a moja dymisja dotyczy już nie tylko mnie, ale można powiedzieć,

wszystkich. Zresztą kurtyna dźwiękowa działa bez zarzutu... A więc chyba chwilowo należy problem odłożyć. Tak. Odłożyć...

Ale natychmiast wyleciało mi to z głowy, gdy tylko zobaczyłem twarz Majki i Van der Hoosego. Komow wyglądał jak zwykle i jak zwykle rozglądał się z takim wyrazem twarzy, jakby wszystko dookoła należało do niego osobiście, należało od dawna i zdążyło solidnie mu obrzydnąć. Za to Majka była strasznie blada, taka blada, że aż niebieska, jakby jej było niedobrze. Komow już zeskoczył na piasek i krótko zażądał ode mnie informacji, dlaczego nie odpowiadam na wezwania przez radio (w tym momencie jego oczy zatrzymały się na kryształku w moim uchu, uśmiechnął się pogardliwie i nie czekając na odpowiedź poszedł w stronę statku). Van der Hoose niespiesznie wysiadł z glidera i zbliżał się do mnie, nie wiadomo dlaczego smutnie kiwając głową, bardziej niż kiedykolwiek podobny do złołatego starego wielbłąda. A Majka ciągle nieruchomo siedziała na swoim miejscu, nastroszona, z brodą ukrytą w futrzanym kołnierzu, oczy miała jakieś szkliste, a rude piegi wydawały się czarne.

- Co się stało? - zapytałem przerażony. Van der Hoose zatrzymał się. Głowę miał lekko zadartą, a dolną szczękę wysunął do przodu. Wziął mnie za ramię i leciutko potrząsnął. Serce uciekło mi w pięty i nie wiedziałem co 'myśleć. Van der Hoose znowu potrząsnął mnie za ramię i powiedział:

- Odkryliśmy coś bardzo smutnego, Staszek. Znaleźliśmy zniszczony statek.

Kurczowo wciągałem powietrze i zapytałem:

- Nasz?

- Tak. Nasz.

Majka wypelzła z glidera, ospale machnęła mi dłonią i ruszyła na statek.

- Ilu zabitych? - zapytałem.

- Dwoje - odpowiedział Van der Hoose.

- Kto? - zapytałem z trudem.

- Na razie nie wiemy. To stary statek. Katastrofa miała miejsce wiele lat temu.

Van der Hoose wziął mnie pod rękę i razem poszliśmy w ślad za Majką.

Trochę mi ulżyło. W pierwszej chwili naturalnie pomyślałem, że rozbił się ktoś z naszej ekspedycji. Ale wszystko jedno...

- Nigdy nie lubiłem tej planety - wyrwało mi się.

Weszliśmy do komory kesonowej, rozebraliśmy się i Van der Hoose zaczął pedantycznie czyścić swoją dochę z rzepów i cierni. Nie czekałem na niego, tylko poszedłem do Majki. Leżała na łóżku, skulona, twarzą do ściany. Ta poza od razu mi coś przypomniała i powiedziałem sobie: tylko spokojnie, bez żadnych tam sentymentów i egzaltacji. Usiadłem na stole, postukałem palcami o blat i zapytałem niezmiernie rzeczowym głosem:

- Słuchaj, a ten statek jest rzeczywiście taki stary? Vander mówi, że on się rozbił ładne kilka lat temu. Czy to prawda?

- Prawda - nie od razu odpowiedziała Majka do ściany.

Spojrzałem na nią. Na duszy zrobiło mi się paskudnie, ale nadal pytałem równie rzeczowo:

- Ile to może być - wiele lat? Dziesięć? Dwadzieścia? To wszystko jakoś się kupy nie trzyma. Planecie, odkryto dopiero przed dwoma laty...

Majka nie odpowiedziała. Znowu postukałem palcami i powiedziałem o ton niżej, ale ciągle jeszcze bardzo rzeczowo:

- Chociaż, oczywiście, to mogli być jacyś dawni pionierzy, nie zorganizowani odkrywcy... Tam ich jest dwoje, o ile dobrze rozumiałem?

W tym momencie Majka zerwała się na równe nogi i stanęła przede mną twarzą w twarz.

- Dwoje? - krzyknęła. - Tak! Dwoje! Bałwan bez serca!

- Poczekaj - powiedziałem oszołomiony. - Dlaczego...

- Po coś tu przyszedł? - mówiła dalej, prawie szeptem. - Lepiej idź do swoich robotów, lepiej z nimi podyskutuj, ile tam lat minęło i co się kupy nie trzyma, i dlaczego ich tam jest dwoje, a nie troje albo siedmioro...

- Majka, poczekaj! - powiedziałem z rozpaczą. - Ja zupełnie nie tego przecież chciałem...

Majka zasłoniła twarz rękami i powiedziała niewyraźnie:

- Połamało im wszystkie kości... ale oni jeszcze żyli, jeszcze próbowali coś robić... Słuchaj - poprosiła odejmując dłonie od twarzy - idź sobie stąd. Ja niedługo przyjdę. Niedługo.

Ostrożnie wstałem i wyszedłem. Miałem ogromną ochotę objąć ją, powiedzieć coś serdecznego, pocieszającego, ale nie umiałem pocieszać. W korytarzu nagle mną zatrzęsło. Stałem, czekałem, aż minie. Ależ dzień! I nikomu nie można opowiedzieć. Zresztą, chyba nawet nie trzeba. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że przy drzwiach na mostek stoi Van der Hoose i patrzy na mnie.

- Jak tam Majka? - zapytał cicho.

Zapewne na mojej twarzy było widać - jak, bo Van der Hoose smutnie kiwnął i zniknął na mostku. A ja powlokłem się do kuchni. Po prostu z przyzwyczajenia. Po prostu tak już się utarło, że od razu po powrocie glidera wszyscy siadaliśmy do obiadu. Ale dzisiaj chyba będzie inaczej. Jaki tu może być obiad?

Skrzyczałem kucharza, bo mi się wydało, że pokręcił z jadłospisem. W rzeczywistości kucharz nic nie pokręcił, obiad był gotowy, dobry obiad, jak zwykle, ale dzisiaj nie powinno być jak zwykle. Majka na pewno nic nie zechce jeść, a trzeba, żeby zjadła. Więc zamówiłem dla niej u kucharza galaretkę owocową z bitą śmietanką - jedyne jej ulubione danie, jakie znałem. Dla Komowa zdecydowałem nic dodatkowego nie zamawiać, dla Van der Hoosego, po chwili namysłu, również, ale na wszelki wypadek wprowadziłem do całego zestawu wino - a nuż ktoś zechce pokrzepić swoje nadwątlone siły duchowe... Potem udałem się na mostek i usiadłem przy swoim pulpicie. Moi wychowankowie pracowali jak w zegarku. Majki na mostku nie było, a Van der Hoose z Komowem redagowali pilny radiotelegram na Bazę. O coś się spierali...

- To nie jest informacja, Jakub - mówił Komow. - Wiesz lepiej ode mnie, że istnieje określony schemat - stan statku, stan zwłok, przypuszczalne przyczyny katastrofy, obserwacje o szczególnym znaczeniu... i tak dalej.

- Tak, oczywiście - odpowiadał Van der Hoose. - Ale musisz się zgodzić, Giennadij, że ten schemat ma sens tylko na planetach aktywnych biologicznie. A w tej konkretnie sytuacji...

- W takim razie lepiej w ogóle niczego nie posyłać. W takim razie bierzmy glider, lećmy tam zaraz i jeszcze dzisiaj zredagujemy pełny raport...

Van der Hoose pokręcił głową.

- Nie, Giennadij, kategorycznie się nie zgadzam. Tego rodzaju komisja musi się składać minimum z trzech osób. A poza tym już jest ciemno i nie będziemy mieli żadnej możliwości, żeby dokładnie zbadać teren wypadku... a w ogóle takie rzeczy trzeba robić ze świeżą głową, a nie po całym dniu pracy. Jak sądzisz? Komow zacisnął wąskie wargi i lekko postukał pięścią o stół.

- Ach, jak to wszystko nie w porę! - powiedział z irytacją.

- Takie rzeczy zawsze są nie w porę - pocieszył go Van der Hoose. - To nic, jutro rano polecimy tam we trójkę...

- Może dzisiaj w ogóle o niczym ich nie zawiadamiać? - przerwał Komow.

- Nie mam prawa - powiedział z żalem Van der Hoose. - Zresztą, dlaczego nie chcesz zawiadamiać?

Komow wstał, założył ręce do tyłu i spojrzał na Van der Hoosego z góry.

- Jak możesz tego nie rozumieć? - powiedział już z jawnym rozdrażnieniem. - Statek starego typu, nieznanego statek, dziennik pokładowy nie wiadomo dlaczego starty... Jeżeli pošlemy im meldunek w tym kształcie - złapał ze stołu kartkę i pomachał nią przed nosem Van der Hoosego - Sidorow pomyśli, że nie chcemy albo nie jesteśmy w stanie samodzielnie przeprowadzić ekspertyzy. Dla niego to dodatkowy kłopot - organizować komisję, szukać ludzi, opędzać się przed ciekawskimi. Postawimy się w śmiesznej i głupiej sytuacji. A poza tym, jak będzie wyglądać nasza praca, kiedy tu się zwali tłum żądnych sensacji nierobów?

- Hm! - powiedział Van der Hoose. A więc, innymi słowy, nie życzysz sobie osób postronnych na naszym terenie? Tak?

- Właśnie tak - twardo oświadczył Komow.

Van der Hoose wzruszył ramionami.

- No cóż... - pomyślał niedługą chwilę, zabrał Komowowi kartkę i dopisał na niej kilka słów. - A w takiej formie może iść? „EZ-2 do Bazy - przeczytał szybko. - Pilna. W kwadracie sto dwa znaleziono rozbity ziemski statek typu »Pelikan« numer rejestracyjny taki to a taki, na statku zwłoki dwojga ludzi, przypuszczalnie kobiety i mężczyzny, dziennik pokładowy został starty, szczegółową ekspertyzę... - tu Van der Hoose podniósł głos i znacząco uniósł palec - rozpoczynamy jutro". Jak sądzisz, Giennadij?

Przez kilka sekund Komow w zadumie kołysał się na obcasach.

- No cóż - powiedział wreszcie - niech będzie tak. Wszystko, co chcesz, byle tylko nam nie przeszkadzali. Niech będzie tak.

Nagle gwałtownie ruszył z miejsca i wyszedł. Van der Hoose odwrócił się do mnie.

- Nadaj to, proszę cię. I chyba już pora na obiad, jak sądzisz? - wstał i w zadumie powiedział jedno ze swych zagadkowych zdań: - Byle było alibi, a trup się zawsze znajdzie.

Zakodowałem depeszę i nadałem ją na ekspresowym impulsie. Czułem się jakoś nieswojo. Coś bardzo niedawno, dosłownie minutę temu utknęło mi w podświadomości i przeszkadzało jak drzazga. Posiedziałem przed radiostacją nad słuchując. Tak to zupełnie co innego - nad słuchiwać, kiedy wiesz, że na statku jest pełno ludzi. Oto po okrężnym korytarzu szybko przeszedł Komow. Zawsze tak chodzi, jakby się gdzieś śpieszył, ale wiedząc jednocześnie, że mógłby się nie śpieszyć, ponieważ bez niego i tak nic się nie zacznie. A teraz coś tam niewyraźnie mruczy Van der Hoose. Majka mu odpowiada swoim normalnym głosem, a głos ma wysoki i niezależny - widocznie już się uspokoiła albo przynajmniej zdołała się opanować. I nie ma ani ciszy, ani pustki, ani much w pajęczynie... I nagle zrozumiałem co to za drzazga: głos umierającej

kobiety w mojej maligii i martwa kobieta w rozbitym gwiazdolicie... Zbieg okoliczności, oczywiście. Straszny zbieg okoliczności, co tu gadać!

Rozdział III GŁOSY I UPIORY

Chociaż to zdumiewające, spałem jak zabity. Rano jak zwykle wstałem na pół godziny przed wszystkimi, wpadłem do kuchni, żeby sprawdzić co ze śniadaniem, zajrzałem na mostek, żeby sprawdzić co z moimi wychowankami, a potem wybiegłem na dwór, żeby zrobić poranną gimnastykę. Słońce jeszcze kryło się za górami, ale było już zupełnie widno i bardzo zimno. W nosie mi zamarzło, rzęsy się sklejały, a ja ze wszystkich sił machałem rękami, przysiadalem i w ogóle starałem się zakończyć gimnastykę jak najszybciej i wrócić na statek. I wtedy właśnie zauważyłem Komowa. Widocznie dzisiaj wstał jeszcze wcześniej niż ja, po coś wyszedł i teraz wracał z tej strony, gdzie była budowa. Szedł wbrew swoim obyczajom niespiesznie, jakby nad czymś zadumany i z roztargnieniem uderzał się po nodze jakąś gałązką. Kończyłem już ćwiczenia, kiedy Komow podszedł do mnie i przywitał się. Ja, naturalnie, też mu powiedziałem "dzień dobry" i już miałem zamiar dać nura do wjazdu, kiedy nagle Komow zatrzymał mnie pytaniem:

- Powiedz mi, Popow, czy kiedy zostajesz sam, oddalasz się od statku?

- To znaczy? - zdziwiło mnie jednak nie tyle samo pytanie ile fakt, że Giennadij Komow raczył łaskawie zainteresować się, jak spędzam czas. Mój stosunek do Giennadija Komowa jest dość skomplikowany - nie przepadam za nim.

- To znaczy, czy wybierasz się na jakieś dalsze wycieczki? Na przykład na wzgórze albo nad bagna...

Nienawidzę, jeżeli ktoś w czasie rozmowy patrzy wszędzie tylko nie na człowieka, z którym rozmawia. I jeszcze na dodatek sam ma ciepłą dochę z kapturem, a człowiek stoi w kostiumie gimnastycznym na mrozie. Ale mimo wszystko Giennadij Komow to Giennadij Komow, więc osłaniając dłońmi ramiona i tańcząc w miejscu odpowiedziałem.

- Nie. I tak mi brakuje czasu. Nie mam głowy do wycieczek.

Teraz dopiero był łaskaw zauważyć, że marznę i uprzejmie wskazał mi gałązką wjazd ze słowami: "Proszę wejść, Popow. Zimno". Ale w komorze kesonowej znowu mnie zatrzymał.

- A czy roboty schodzą z budowy?

- Roboty? - ciągle nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. - Nie. A po co?

- Nie, nie wiem... Na przykład po budulec.

Starannie oparł swoją gałązkę o ścianę i zaczął rozpinać dochę. A mnie powoli zalewała krew. Jeżeli jakimś cudem dowiedział się o moich wczorajszych kłopotach, to po pierwsze, to nie jego interes, a po drugie, mógłby o tym powiedzieć wprost. Co to za przesłuchanie, jak pragnę zdrowia...

- Materiałem budowlanym dla systemu cybernetycznego danego typu - powiedziałem możliwie oschle - staje się to, co system ma aktualnie pod ręką. W naszym przypadku piasek.

- I kamienie - dodał niedbale Komow wieszając doche na haczyku.

Tu mnie trafił. Ale to naprawdę nie była jego sprawa i odpowiedziałem z wyzwaniem:

- Tak! Jeśli się trafią kamienie, to i kamienie.

Komow pierwszy raz spojrział mi w oczy.

- Boję się, że mnie źle zrozumiałeś, Popow - powiedział nieoczekiwanie łagodnie. - Nie mam zamiaru wtrącać się do twojej pracy. Po prostu mam pewne wątpliwości, więc zwróciłem się do ciebie, ponieważ jesteś jedynym człowiekiem, który może mi pomóc w ich rozwikłaniu.

Cóż, jeżeli ze mną po dobru, to i ja po dobru.

- W ogóle to, oczywiście, kamienie są im niepotrzebne - powiedziałem. - Wczoraj system trochę nawalał i roboty rozrzuciły te kamienie po całym placu. Kto może wiedzieć, po co im to było potrzebne. Później, rzecz jasna, wszystko pozbierały.

Komow skinął głową.

- Tak, zauważyłem. A jakiego rodzaju były te zakłócenia?

W dwóch słowach opowiedziałem mu o wczorajszym dniu, pomijając, rzecz jasna, różne intymne szczegóły. Komow słuchał, kiwał głową, a potem zabrał swoją gałązkę, podziękował za objaśnienia i oddalił się. I dopiero w mesie, jedząc kaszę gryczaną z zimnym mlekiem, uprzytomniłem sobie, że w dalszym ciągu nie mam pojęcia, jakiego rodzaju wątpliwości trapią ulubienca doktora M'Bogi, na ile udało mi się je rozproszyć i czy w ogóle się udało. Przestałem jeść i spojrziałem na Komowa. Nie, chyba się nie udało.

Giennadij Komow z zasady wygląda na człowieka nie z tego świata. Wiecznie czegoś wypatruje za dalekimi horyzontami i rozmyśla nad czymś niezmiernie wzniosłym. Z obłoków schodzi tylko wtedy, kiedy ktoś albo

coś, przypadkiem albo umyślnie staje mu na przeszkodzie. Wtedy bez drgnienia powieki, częstokroć absolutnie bez litości usuwa z drogi przeszkodę i z powrotem szybuje na Olimp. Tak w każdym razie o nim opowiadają i zresztą nie ma w tym nic dziwnego. Kiedy człowiek pracuje nad problemami obcoplanetarnych psychologii i w tej dziedzinie odnosi znaczne sukcesy, jeśli tak można powiedzieć walczy na pierwszej linii, siebie nie oszczędza w najmniejszym stopniu i jeżeli jeszcze na domiar wszystkiego jest zaliczany do czołówki "futurmistrzów" planety, to można mu wiele wybaczyć i traktować jego maniery z pewną pobłażliwością. W końcu nie wszyscy mogą być tak sympatyczni jak Gorbowski albo doktor M'Boga. Ale z drugiej strony, w ciągu ostatnich dni coraz częściej ze zdumieniem i goryczą wspominałem pełne zachwyty opowieści Tatiany, która przepracowała z Komowem cały rok, była, moim zdaniem, w nim zakochana i opowiadała o nim jako o człowieku wyjątkowo towarzyskim, z cudownym poczuciem humoru i tak dalej. Nazywała go wprost duszą towarzystwa. Co to mogło być za towarzystwo, które miało taką duszę, tego nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Tak. A więc Giennadij Komow zawsze sprawiał na mnie wrażenie człowieka nie z tego świata. Ale dzisiaj, przy śniadaniu, Komow przeszedł samego siebie. Swoją porcję obficie posypał solą. Posypie, spróbuje i z roztargnieniem umieści talerz w zyspie. Musztarda myliła mu się z masłem. Nasmaruje słodką grzanekę musztardą, spróbuje i z roztargnieniem pośle ją w ślad za talerzykiem. Na pytania Van der Hoosego nie odpowiadał, za to jak pijawka przypiął się do Majki usiłując wydobyć z niej zeznanie, czy w czasie zdjęć przez cały czas chodzą razem z Vanderem, czy też niekiedy się rozstają. A jeszcze od czasu do czasu nerwowo spozierał wokół, a raz nawet zerwał się na równe nogi, wybiegł na korytarz i po kilku minutach wrócił jak gdyby nigdy nic - i znowu zabrał się do smarowania grzanek musztardą, aż w końcu usunąłem tę nieszczęsną musztardę z jego pola widzenia.

Majka też się denerwowała. Odpowiadała krótko, patrzyła w talerz i przez całe śniadanie ani razu się nie uśmiechnęła. Zresztą Majkę akurat rozumiałem bardzo dobrze. Ja bym na jej miejscu tak samo się denerwował przed taką robotą. W końcu Majka to moja rówieśnica i chociaż ma znacznie większe doświadczenie, ale to nie to doświadczenie, które jej dzisiaj będzie potrzebne.

Słowem, Komow wyraźnie się denerwował, denerwowała się Majka i Van der Hoose również patrząc na nich zaczął zdradzać pewne oznaki zaniepokojenia, i stało się dla mnie oczywiste, że zaczynanie rozmowy o moim udziale w dzisiejszej ekspertyzie nie będzie najlepiej przyjęte. Zrozumiałem, że przede mną znowu cały dzień ciszy i pustki, i też zacząłem się denerwować. Atmosfera przy stole stała się po prostu napięta. I wtedy Van der Hoose jako dowódca statku i lekarz postanowił tę atmosferę rozładować. Zadarł głowę, wysunął dolną szczękę i popatrzył na nas długim, zezującym spojrzeniem. Jego bokobrody nastroszyły się imponująco. Na początek opowiedział nam kilka dowcipów z życia astronautów. Dowcipy były stare, brodate, ja zmuszałem się do uśmiechu. Majka w ogóle nie reagowała, a Komow zareagował bardzo dziwnie. Słuchał z wielką uwagą, przy puentach kiwał głową, a potem nagle z zadumą wpatrzył się w Van der Hoosego i powiedział z przekonaniem:

- A wiesz, Jakub, do twoich bokobrodów bardzo dobrze pasowałyby pędzelki na uszach. To było dobrze powiedziane i w innych warunkach, ucieszyłoby mnie taki trafny dowcip, ale teraz wydał mi się nietaktowny. Za to sam Van der Hoose był najwidoczniej przeciwnego zdania. Uśmiechnął się zadowolony z siebie, zgiętym palcem jeszcze bardziej napuszył bokobrody - najpierw lewy, a potem prawy - i opowiedział nam następną historyjkę.

Przybywa na pewną cywilizowaną planetę jakiś Ziemianin, nawiązuje kontakt z tubylcami i proponuje im swoje usługi w charakterze najlepszego na Ziemi specjalisty w dziedzinie konstrukcji i eksploatacji wiecznych silników pierwszego rodzaju. Tubylcy oczywiście patrzą w tego posłańca wyższego rozumu jak w tęczę i słuchając jego instrukcji natychmiast biorą się do roboty. Zmontowali pierwszy silnik. Nie pracuje. Ziemianin kręci korbą, łązi wśród pasów, kół zębatach i innych śrubek i klnie, że wszystko jest zrobione nie tak jak trzeba. Technikę, powiada - macie zacoфанą, te układy należy przerobić, a te w ogóle wymienić, jak sądzicie? Tubylcy, cóż począć, zabierają się do przeróbek i radykalnego wymieniania. I ledwie skończyli, kiedy przylatuje z Ziemi rakieta pogotowia ratunkowego, sanitariusze łapią wynalazcę, robią mu stosowny zastrzyk, lekarz przeprosza tubylców za wszystkie przykrości, i rakieta startuje. Tubylcy smutni i zawstydzeni, patrząc w ziemię, zaczynają się rozchodzić, kiedy nagle widzą, że silnik zaczął pracować. Tak, przyjaciele moi, silnik zaczął pracować i pracuje do dzisiaj, a minęło już sto pięćdziesiąt lat.

Mnie tam się ta historyjka spodobała. Było od razu widać, że Van der Hoose wymyślił ją osobiście i najpewniej przed chwilą. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu historyjka spodobała się również Komowowi. Już w środku opowiadania przestał błędzić wzrokiem po stole w poszukiwaniu musztardy, wpatrzył się w Van der Hoosego i do samego końca nie spuszczał z niego zmrużonych oczu, a potem wypowiedział się w tym sensie, że pomysł, aby jeden z partnerów kontaktu był niepoczytalny, wydaje mu się interesujący teoretycznie. W każdym razie do tej pory ogólna teoria kontaktu nie brała pod uwagę takiej możliwości, chociaż jeszcze w początkach dwudziestego pierwszego wieku niejaki Strauch proponował włączenie

schizofreników w skład załóg statków kosmicznych. Już wtedy było wiadomo, że schizofreników charakteryzuje wybitna zdolność nietypowych skojarzeń. Tam, gdzie normalny człowiek w chaosie nieznanymi zjawiskami mimo woli stara się zobaczyć rzeczy znane, wiadome od dawna, stereotypowe, schizofrenik, przeciwnie, nie tylko wszystko widzi takim, jakim jest w rzeczywistości, ale jest zdolny stworzyć nowe stereotypy, konsekwentnie wynikające z natury badanego chaosu. Nawiasem mówiąc, ciągnął dalej Komow zapalając się z wolna, ta właściwość okazuje się wspólna dla wszystkich schizoidalnych typów wśród rozumnych istot. A ponieważ teoretycznie bynajmniej nie jest wykluczona możliwość, że partnerem w kontakcie okaże się schizofrenik i ponieważ nie stwierdzona odpowiednio wcześniej schizofrenia może w procesie kontaktu spowodować nie dające się przewidzieć konsekwencje, problem, który przed chwilą poruszył Jakub, jest wart tego, aby naukowcy poświęcili mu uwagę.

Van der Hoose z uśmiechem oznajmił, że ofiarowuje Komowowi swój pomysł, i powiedział, że czas ruszać. Na te słowa, Majka, która do tej pory zaciekawiona, z rozchyłonymi ustami słuchała Komowa, z miejsca oklapła. Ja również oklapłem - te rozmowy o schizofrenikach nasunęły mi niemiłe myśli. I właśnie wtedy to się stało.

Van der Hoose z Majką wyszli już z mesy, a Komow przystanął w drzwiach, nagle zawrócił, mocno ujął mnie za łokieć i z jakąś przerażającą uwagą błędząc po mojej twarzy swoimi zimnymi szarymi oczami cicho i szybko zapytał:

- Coś tak oklapł, Staszku? Czy coś się stało?

Ostupałem. Wstrząsnęła mną zaiste niezwykła przenikliwość tego specjalisty od schizofrenii. Ale mimo wszystko potrafiłem błyskawicznie wziąć się w garść. Zbyt wiele decydowało się dla mnie w tym momencie. Odsunąłem się i z niesłychanym zdumieniem zapytałem:

- A o co chodzi?

Oczy Komowa nadal biegały po mojej twarzy, znowu zapytał, jeszcze ciszej i szybciej:

- Boisz się zostać sam?

Ale ja już mocno siedziałem w siodle.

- Boję się? - powtórzyłem pytanie. - No, to trochę za mocno powiedziane. Przecież nie jestem dzieckiem...

Komow puścił mój łokieć.

- A może polecisz z nami? Wzruszyłem ramionami.

- Poleciałbym z przyjemnością. Ale przecież wczoraj nie wszystko było w porządku. Chyba lepiej, żebym został.

- No-no! - powiedział z nieokreśloną intonacją Komow, odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

Zostałem jeszcze chwilę w mesie uspokajając się ostatecznie. W głowie miałem kaszę, ale czułem się jak po egzaminie zdany na celująco.

Pomachali mi na pożegnanie i odlecieli, a ja nawet nie odprowadziłem ich spojrzeniem. Od razu wróciłem na statek, wybrałem dwa stereokryształy, przyczepiłem je do uszu i rozwalilem się w fotelu przed pulpitem. Śledziłem pracę swoich podopiecznych, czytałem, przyjmowałem depesze, uciałem sobie pogawędkę z Wadikiem i z Ninon (było bardzo pocieszające, że Wadik też puścił muzykę na cały regulator), zrobiłem generalne porządki we wszystkich pomieszczeniach, zestawilem wykwentne menu nie zapominając o konieczności pokrzepienia duchowych sił - i wszystko to wśród ryku surm, wycia fletów i pomauikiwania ksylofonów. Mówiąc wprost, pedantycznie, bezlitośnie, z pożytkiem dla siebie i dla otoczenia zabijałem czas. I przez ten cały zabijany czas nieodstępnie gryzła mnie jedna myśl - skąd Komow dowiedział się o mojej chwili słabości i co w związku z tym zamierza przedsięwziąć. Komow stanowił dla mnie zagadkę. Te jego wątpliwości, które powstały po wizycie na budowie, ta rozmowa o schizofrenikach, to dziwaczne interludium w drzwiach mesy. Rany boskie, przecież on mi zaproponował, żebym z nimi poleciał, przecież on się bał zostawić mnie samego! Czyżbym się tak zmienił? Ale przecież na przykład Van der Hoose nic nie zauważył... Na takich rozmyślaniach minęła mi znaczna część roboczego dnia. O godzinie piętnastej, znacznie wcześniej niż oczekiwałem, glider wrócił. Ledwie zdążyłem zerwać z uszu i schować kryształy, kiedy całe towarzystwo zjawilo się na statku. Powitałem ich w komorze kesonowej, ze starannie przemyślaną, spokojną uprzejmością, nie zadałem żadnych istotnych pytań, tylko poinformowałem się, czy ktoś nie pragnie się pokrzepić. Obawiam się wprawdzie, że po sześciogodzinnym słuchaniu bębnow i piszczałek, mówiłem nieco za głośno, tak że Majka, która ku mojej nieopisaney radości wyglądała zupełnie zadowolająco, wytrzeszczyła oczy z niejakim zdziwieniem, a Komow szybko obejrzał mnie od stóp do głów i nie mówiąc ani słowa natychmiast zniknął w swojej kajucie.

- Pokrzepić się? z zadumą powtórzył Van der Hoose. - Wiesz, Staszku, pójdę teraz na mostek pisać raport, więc gdybyś przechodząc tamtędy przyniósł mi szklaneczkę czegoś mocniejszego, byłoby chyba bardzo dobrze, jak sądzisz?

Powiedziałem, że przyniosę, Van der Hoose udał się na mostek, a my z Majką poszliśmy do mesy i tam nalałem dwie szklaneczki czegoś wzmacniającego - jedną dałem Majce, drugą zaniósłem Van der Hoosemu.

Kiedy wróciłem, Majka ze szklanką w ręku chodziła po mesie. Tak, była znacznie spokojniejsza niż rano, ale pomimo wszystko czuło się w niej jakieś napięcie i żeby jej pomóc, zapytałem:

- No i co z tym statkiem?

Majka łyknęła solidnie, oblizła wargi i patrząc gdzieś obok mnie, powiedziała:

- Wiesz - Staszek, to nie przypadek.

Czekałem na ciąg dalszy, ale Majka milczała.

- Co? - zapytałem.

- Wszystko! - Zrobiła nieokreślony ruch szklanką. Wykastrowany świat. Anemia. Wspomnisz moje słowa - i statek tu się rozbił nie przypadkiem, i znaleźliśmy go nie przypadkiem, i w ogóle całe to nasze przedsięwzięcie, cały projekt wszystko diabli wezmą na tej planecie! - dopiła wino i postawiła szklankę na stole. - Nie przestrzega się elementarnych wymogów bezpieczeństwa, większość pracowników to żółtodzioby takie jak ty, albo, nie przymierzając, ja... i wszystko tylko dlatego, że planeta jest biologicznie pasywna. A czy o to chodzi? Przecież każdy człowiek z elementarnym wyczuciem już w pierwszej godzinie pobytu czuje, że coś tu nie jest w porządku. Było tu kiedyś życie, a potem wybuchła gwiazda i w jednej sekundzie wszystko się skończyło... Pasywna biologicznie? Tak! Ale za to aktywna nekrotycznie. Panta też będzie taka za ileś tam lat. Kalekie drzewa, wątpła trawka i wszystko wokół przesycone jest śmiercią. Zapach śmierci, rozumiesz? Nawet gorzej - zapach byłego życia! Nie, Staszek, wspomnisz moje słowa, żadne plemiona z Panty tu się nie zadomowią, nie zazną tu radości. Nowy dom dla całej ludzkości? Nie, nie nowy dom, ale stary zamek z upiorami...

Wzdrygnąłem się. Majka zauważyła, ale zrozumiała niewłaściwie.

- Nie niepokój się - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Ze mną jest wszystko w porządku. Po prostu staram się sprecyzować swoje wrażenia i swoje przeczucia. Ty mnie, jak widzę, nie możesz zrozumieć, ale sam pomyśl, jakiego rodzaju to są przeczucia, jeżeli bez przerwy mam na języku słowa - nekroza, upiory...

Znowu przespacerowała się po mesie, potem stanęła przede mną i mówiła dalej:

- Oczywiście, jeśli popatrzeć inaczej, to parametry planety są optymalne, wyjątkowe. Aktywność biologiczna prawie zerowa, atmosfera, hydrosfera, klimat, bilans termiczny - wszystko jak na zamówienie dla projektu "Arka". Ale dam sobie głowę uciąć, że nikt z organizatorów tej imprezy tutaj nie był, a jeśli nawet ktoś był, to nie miał za grosz instynktu, wyczucia życia, czy co... No, rozumiem, to wszystko stare wygi, pokiereszowani, w bliznach, przeszli przez tysiące piekieł... mają wspaniałe wyczucie niebezpieczeństwa, materialnego niebezpieczeństwa! Ale wyczucie t e g o... - strzeliła palcami i nawet, biedactwo, skrzywiła się z poczucia bezsilności, nie mogąc zdefiniować swoich wrażeń. - A zresztą, skąd ja to mogę wiedzieć, może i ktoś z nich poczuł, że coś tu jest nie tak, ale jak to wyjaśnić tym, co tu nie byli? Czy ty przynajmniej chociaż trochę mnie rozumiesz?

Patrzyła mi prosto w twarz zielonymi oczami, a ja wahałem się, wahałem i wreszcie skłamałem:

- Niezupełnie. To znaczy, oczywiście, masz trochę racji... cisza, pustka...

No widzisz - powiedziała Majka. - Nawet ty tego nie rozumiesz. No dobra, starczy na dzisiaj. - Usiadła na stole naprzeciw mnie i nagle dziabnęła mnie palcem w policzek, zaśmiała się. - Wygadałam się i jakoś mi lżej. Z Komowem, jak sam rozumiesz, nie da się porozmawiać, a do Vandera lepiej z tym się nie pchać - zamęczy w ambulatorium...

Napięcie dręczące ją, zresztą i mnie również, od razu opadło i rozmowa zamieniła się w takie tam gadanie. Poskarżyłem się jej na wczorajsze kłopoty z robotami, opowiedziałem, jak Wadik kąpał się sam jeden w całym oceanie, i zapytałem, jak wygląda problem kwater. Majka odpowiedziała, że wyznaczyli już cztery miejsca na obozowiska, miejsca zupełnie przyzwoite, i w innych warunkach każdy mieszkaniec Panty z przyjemnością spędziłby tu całe swoje życie, ale ponieważ tak czy inaczej ta bezsensowna impreza jest pozbawiona jakichkolwiek szans, nie ma nad czym się rozwodzić. Przypomniałem Majce, że zawsze odznaczała się wrodzonym sceptycyzmem i że ten sceptycyzm bynajmniej nie zawsze okazywał się usprawiedliwiony. Majka nie zgodziła się, powiedziała, że teraz nie rozmawiamy o wrodzonym sceptycyzmie, ale o sceptycyzmie natury, że w ogóle jestem nowicjusz, żółtodziób; i właściwie powinienem zwracać się do niej, doświadczonej Majki, stojąc na baczność. Wtedy powiedziałem jej, że prawdziwie doświadczony człowiek nigdy nie spiera się z technikiem-cybernetykiem, ponieważ technik jest na statku tą osią, wokół której wiruje całe życie statku. Majka stwierdziła, że większość osi obrotu to w istocie rzeczy pojęcia abstrakcyjne, po prostu szereg geometrycznych punktów... Potem zaczęliśmy dyskusję na temat różnicy między pojęciami "wiruje" i "obraca się", w ogóle gawędziliśmy na tematy obojętne i z boku na pewno wyglądało to dosyć sympatycznie, ale nie wiem, o czym przez cały czas myślała Majka, too ja osobiście na drugim planie bezustannie rozważałem czy nie zabrać się, i to natychmiast, do przeglądu wszystkich systemów bezpieczeństwa. Co prawda te systemy były obliczone na niebezpieczeństwa biologiczne i nie sposób było przewidzieć, czy zabezpieczają również przed niebezpieczeństwem nekrotycznym, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, ostrożność jest matką spokoju i jak sobie pościelesz, tak się

wyśpisz.

Jednym słowem, kiedy Majka zaczęła ziewać i skarżyć się na niewyspanie, posłałem ją do kajuty, żeby się zdrzemnęła przed obiadem, a sam przede wszystkim poszedłem do biblioteki, wziąłem słownik i zobaczyłem, co to w ogóle znaczy "nekroza". Wyjaśnienie wywarło na mnie jak najgorsze wrażenie i postanowiłem niezwłocznie przystąpić do przeglądu. Na wszelki wypadek co prawda pobiegłem jeszcze uprzednio na mostek, żeby zobaczyć, jak się sprawiają moi wychowankowie i zastałem tam Van der Hoosę właśnie w momencie, kiedy starannie układał jedną na drugiej kartki ze swoją ekspertyzą. "Zaraz zaniosę to Komowowi - oznajmił na mój widok - potem dam przejrzeć Majce, a potem przedyskutujemy to wszyscy, jak sądzisz? Ciebie też zawołać?" Powiedziałem, żeby zawołał, i poinformowałem, że będę w komorze systemów bezpieczeństwa. Van der Hoose popatrzył na mnie z ciekawością, ale nic nie powiedział i wyszedł.

Zawołali mnie po dwóch godzinach. Van der Hoose przez wewnętrzny system łączności oznajmił, że raport przeczytali wszyscy członkowie komisji i zapytał, czy ja też chcę przeczytać. Ja oczywiście chciałbym, ale przegląd był w pełnym toku, wartownik-zwiadowca na wpeł wypatroszony, w ogóle miałem urwanie głowy, więc odpowiedziałem w tym sensie, że przeczytać już raczej nie zdążę, a na dyskusję przyjdę z całą pewnością, jak tylko skończę robotę. Mam tu jeszcze zajęcia na jakąś godzinę, powiedziałem, więc niech siadają do obiadu beze mnie.

Krótko mówiąc, kiedy wszedłem do mesy, obiad był na ukończeniu i zaczynała się dyskusja. Nalałem sobie zupy, usiadłem z boku, zacząłem jeść i słuchać.

- Nie mogę przyjąć bez zastrzeżeń hipotezy o meteorze - z wyrzutem mówił Van der Hoose. - "Pelikany" są świetnie zabezpieczone przed uderzeniami meteorów. W razie niebezpieczeństwa statek mógł po prostu skręcić.

- Nie przeczę - odpowiadał Komow, patrząc w stół i krzywiąc się z obrzydzeniem. - Jednakże jeśli założyć, że atak meteorów zaczął się w momencie, kiedy statek wychodził z subprzestrzeni...

- Tak, naturalnie - zgodził się Van der Hoose. - W takim przypadku naturalnie. Ale prawdopodobieństwo...

- Zdziwiasz mnie. Jakubie. Silnik kosmiczny statku jest doszczętnie rozbity. Olbrzymia dziura na wylot i ślady oddziaływania wysokich temperatur. Moim zdaniem dla każdego normalnego człowieka musi być jasne, że w grę może wchodzić tylko meteor.

Van der Hoose miał bardzo nieszczęśliwą minę.

- No, dobrze - powiedział - niech będzie po twojemu... Ale ty po prostu nie rozumiesz, Giennadij, nie jesteś astronautą... Po prostu nie rozumiesz, jak mało to jest prawdopodobne. Właśnie w momencie wychodzenia z subprzestrzeni ogromny meteor o ogromnej energii... Po prostu nie wiem, co jeszcze może być równie nieprawdopodobne!

- A więc co proponujesz?

Van der Hoose rozejrzał się dookoła szukając poparcia, nie znalazł go i powiedział:

- Dobrze, niech tak zostanie. Ale jednak będę nalegał, żeby sformułowanie było mniej kategoryczne.

Powiedzmy: "Przytoczone fakty pozwalają przypuścić..."

- "Stwierdzić" - poprawił go Komow.

- "Stwierdzić"? - Van der Hoose zachmurzył się. - Ależ nie, Giennadij, co tu można stwierdzać? Tylko przypuszczać! "...Pozwalają przypuścić, że statek został trafiony przez meteor o znacznej energii, w momencie wychodzenia z subprzestrzeni". Dokładnie tak. Proponuję przyjąć sformułowanie w tym brzmieniu.

Komow przez kilka sekund zastanawiał się zaciskając szczęki, a potem powiedział:

- Zgadzam się. Przechodzę do następnej poprawki.

- Chwileczkę - powiedział Van der Hoose. - A ty, Majka?

Majka wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc nie widzę różnicy. A w ogóle to się zgadzam.

- Następna poprawka - niecierpliwie powiedział Komow. - Nie ma potrzeby pytać Bazy, co zrobić z ciałami. W ogóle tą sprawą ekspertyza nie powinna się zajmować. Należy wysłać specjalną depeszę i zameldować, że ciała pilotów zostały umieszczone w kontenerach, zalane mikoplastem i że w najbliższym czasie będą wysłane na Bazę.

- Jednakże... - zaczął stropiony Van der Hoose.

- Zajmę się tym jutro - przerwał mu Komow. - Osobiście.

- A może należałoby pochować ich tutaj? - cicho zapytała Majka.

- Nie mam nic przeciwko temu - natychmiast odpowiedział Komow. - Ale jest żelazną regułą, że w takich przypadkach zwłoki odsyła się na Ziemię... Słucham? - odwrócił się do Van der Hoosęgo.

Van der Hoose, który już otworzył usta, pokręcił głową i powiedział:

- Nic.

- Krótko mówiąc - powiedział Komow - proponuję usunąć tę sprawę z raportu. Zgadzasz się, Jakub?

- Chyba tak - powiedział Van der Hoose. - A ty, Majka?

Majka wahała się i rozumiałem ją. Jakoś to wszystko odbywało się zbyt oficjalnie, zbyt urzędowo. Co prawda sam nie wiem, jak to powinno się odbywać, ale moim zdaniem o takich sprawach nie może decydować głosowanie.

- Świetnie - oznajmił Komow, jak gdyby nigdy nic. - Teraz co się tyczy okoliczności i przyczyn śmierci pilotów. Do wyników sekcji i materiałów fotograficznych nie mam żadnych zastrzeżeń, a naszą opinię proponuję sformułować następująco: "Pozycja, w której znaleziono ciała, świadczy, że śmierć pilotów nastąpiła wskutek uderzenia statku o powierzchnię planety. Mężczyzna umarł wcześniej zdążywszy przed śmiercią zetrzeć dziennik pokładowy. Wydostać się z fotela przy sterach nie był już w stanie. Kobieta, przeciwnie, żyła jeszcze czas jakiś po jego śmierci i próbowała opuścić statek. Jej śmierć nastąpiła w komorze kesonowej". No a dalej - tak jak w twoim tekście.

- Hm... - powiedział Van der Hoose z ogromnym powątpiewaniem. - Czy to nie brzmi zbyt bezapelacyjnie, jak sądzisz, Giennadij? Przecież jeżeli brać pod uwagę wynik sekcji, przeciwko któremu nie wysuwasz zastrzeżeń, to ta nieszczęsna kobieta po prostu nie była już w stanie doczołgać się do komory kesonowej.

- Niemniej jednak znaleźliśmy ją właśnie tam - chłodno odparował Komow.

- Ale przecież właśnie ta okoliczność... - z przejęciem zaczął Van der Hoose przyciskając dłoń do piersi.

- Posłuchaj, Jakub - powiedział Komow. - Nikt nie wie, do czego jest zdolny człowiek w sytuacji krytycznej. A zwłaszcza kobieta. Przypomnij sobie historię Marii Priestley. Przypomnij sobie historię Kolesniczenko. I w ogóle przypomnij sobie historię.

Zapanowało milczenie. Van der Hoose siedział z nieszczęśliwą miną bezlitośnie szarpiąc swe bokobrody.

- A mnie wcale nie dziwi, że ta kobieta znalazła się w komorze kesonowej - nagle odezwała się Majka. - Nie rozumiem czegoś innego. Dlaczego pilot starł dziennik pokładowy? Przecież była eksplozja, człowiek umiera...

- No, to akurat... - niepewnie powiedział Van der Hoose. - To akurat może się zdarzyć. Agonia, przesuwając rękami po pulpicie, zaczął o kluczu...

- Punkt o dzienniku pokładowym - powiedział Komow - zostanie włączony do rozdziału o faktach szczególnego znaczenia. Ja osobiście myślę, że ta zagadka nigdy nie zostanie wyjaśniona... jeżeli to w ogóle jest zagadka, a nie zwyczajny zbieg okoliczności. Idziemy dalej. - Szybko przejrzał rozrzucone kartki. -

Właściwie nie mam więcej uwag. Ziemska mikroflora i mikrofauna najwidoczniej zginęła - w każdym razie nie ma po niej żadnych śladów... Tak... Ich papiery. Czytanie ich to nie nasza sprawa, a poza tym są w takim stanie, że możemy je tylko jeszcze bardziej uszkodzić. Jutro je zakonserwuję i przywiozę na statek... Aha! Popow, tu jest coś niecoś z twojej dziedziny. Czy orientujesz się w aparaturze cybernetycznej statków typu "Pelikan"?

- Tak, oczywiście - powiedziałem, spiesznie odsuwając talerz.

- Bądź tak dobry - Komow rzucił mi kartkę papieru - to jest spis znalezionych na statku maszyn cybernetycznych. Sprawdź, czy wszystko jest na miejscu.

Wziąłem spis. Patrzyli na mnie wyczekująco.

- Tak - powiedziałem - chyba wszystko jest na miejscu. Nawet zwiadowcy-inicjatorzy, a zwykle zawsze któregoś brakuje... A tego nie rozumiem. Co to jest: robot remontowy przerobiony na urządzenie szyjące?

- Jakub, wytłumacz mu - zarządził Komow.

Van der Hoose zadarł głowę i wysunął szczękę.

- Rozumiesz, Staszek - powiedział jakby z zadumą. - Tu bardzo trudno coś wyjaśnić. Po prostu robot remontowy został przerobiony na urządzenie szyjące. Urządzenie, które szyje, rozumiesz? Któreś z nich, prawdopodobnie kobieta, miało niezupełnie zwyczajne hobby.

- Aha - powiedziałem i zdziwiłem się. - Ale czy na pewno to był robot remontowy?

- Bez wątplenia - z przekonaniem powiedział Van der Hoose.

- W takim razie na statku był pełny komplet powiedziałem zwracając Komowowi spis. - Zdumiewająco pełny. Zapewne oni ani razu nie lądowali na ciężkich planetach.

- Dziękuję - powiedział Komow. - Kiedy będzie gotowy czystopis ekspertyzy, proszę, żebyś podpisał rozdział o brakach w sprzęcie cybernetycznym.

- Ale przecież nie ma żadnych ubytków - powiedziałem.

Komow nie zwrócił na mnie uwagi, a Van der Hoose wyjaśnił:

- To jest po prostu nazwa rozdziału: "Braki w sprzęcie cybernetycznym". Podpiszesz, że żadnych braków nie ma.

- Tak - powiedział Komow składając po kolei rozrzucone kartki. - Jakub, proszę, doprowadź to wszystko do porządku, potem podpiszemy się i jeszcze dzisiaj będzie to można nadać. A teraz, jeżeli nikt nie ma nic do dodania, wychodzę.

Nikt nie miał nic do dodania i Komow wyszedł. Van der Hoose wstał z ciężkim westchnieniem, zważył na dłoni stos kartek, odrzucając głowę do tyłu spozjrzał na nas i również się oddalił.

- Vander jest wyraźnie niezadowolony - zauważyłem kładąc sobie mięso na talerzu.

- Ja też jestem niezadowolona - powiedziała Majka. - Jakoś nieprzyzwoicie to wszystko wyszło. Nie umiem ci wytłumaczyć, może to naiwne, dziecinne... Ale przecież powinna być... no, chociażby jakaś minuta milczenia, czy co... A tymczasem raz dwa i poszła w ruch maszyna - położenie zwłok, ubytek maszyn, dane topograficzne... Tfu! Jak w szkole na zajęciach praktycznych...

Zgadzałem się z nią w pełni.

- Przecież Komow nie daje nikomu ust otworzyć! - ze złością mówiła dalej Majka. - Wszystko jest dla niego jasne, wszystko jest dla niego oczywiste, a w rzeczywistości wcale to tak nie wygląda. I z meteorem sprawa jest niejasna i przede wszystkim z dziennikiem pokładowym. Zresztą wcale nie wierzę, że dla niego wszystko jest jasne! Moim zdaniem, Komow coś tam kombinuje i Vander też się tego domyśla, tylko nie wie, jak się do niego dobrać... a może uważa, że to nieistotne...

- A może to naprawdę nieistotne... - wymamrotałem niepewnie.

- Ja wcale nie mówię, że istotne! - oświadczyła Majka. - Po prostu nie podoba mi się zachowanie Komowa. Nie rozumiem go. I on sam też mi się nie podoba! Nasłuchiwałem się o nim zachwyty, a teraz chodzę i liczę dni do końca... Nigdy w życiu nie będę z nim więcej pracować!

- Nie tak już wiele zostało - powiedziałem pokojowo. - Jeszcze tylko dwadzieścia dni...

I z tym żeśmy się rozstali. Majka poszła porządkować swoje kwatermistrzowskie szkice, a ja udałem się na mostek, gdzie oczekiwała mnie malutka niespodzianka. Tom informował, że budowa fundamentów została zakończona, i proponował, żebym przyjął robotę. Narzuciłem, doche i pobiegłem na plac.

Słońce już zaszło, szybko zapadał zmierzch. Dziwny tu jest zmierzch - ciemnofioletowy jak rozwodniony tusz. Księżyc nie ma, ale za to zorza polarna w dowolnych ilościach, i to jaka! Gigantyczny wodospad różnobarwnego blasku bezszelestnie rozwiewa się nad czarnym oceanem. Strumienie światła zwijają się, rozwijają, falują i drżą, jakby targane wiatrem mienia się białą, zieloną, różową i nagle gasną w ciągu sekundy i tylko przed oczami jeszcze przepływają niewyraźne kolorowe plamy, potem zorza znowu się rozpala i wtedy znikają gwiazdy, znika zmierzch, wszystko wokół nabiera nienaturalnych, ale czystych barw - mgła nad trzęsawiskiem robi się czerwono-granatowa, lodowiec z oddali błyszczy jak bryły bursztynu, a po plaży przebiegają zielonkawe cienie.

Mocno rozcierając marznący nos i policzki oglądałem przy tym dziwnym świetle gotowe już fundamenty. Tom nieodstępnie mi towarzyszył, usłużnie podając niezbędne dane, a kiedy zorza zgasła, równie usłużnie zapalił reflektory. I jak zawsze było martwo i cicho, tylko chrzęścił pod moimi butami zamarznięty piasek. Potem usłyszałem głosy - Majka i Van der Hoose wyszli odetchnąć świeżym powietrzem i obejrzeć niebiański spektakl. Majce bardzo się podobały zorze polarne - jedyne, co jej się podobało na tej planecie. Byłem dosyć daleko od statku, jakieś sto metrów, nie widziałem rozmawiających, ale głosy słyszałem wyraźnie. Zresztą z początku słuchałem tylko jednym uchem. Majka coś mówiła o uszkodzonych szczytach drzew, a Van der Hoose coś tam mrucał o erozji pokładowych quasi-narządów - widocznie znowu dyskutowali o przyczynach i okolicznościach katastrofy "Pelikana".

W ich rozmowie było coś dziwnego. Powtarzam - z początku nie bardzo się przysłuchiwałem i dopiero później zrozumiałem, na czym to polega. Vander i Majka rozmawiali, jakby nie słysząc się wzajemnie. Na przykład Van der Hoose mówił: "Jeden silnik atmosferyczny musiał ocaleć, inaczej po prostu nie mogliby manewrować w atmosferze". A Majka nie a propos: "Nie, Jakub, co najmniej dziesięć, piętnaście lat. Spójrz na te nacieki..." Zszedłem na dół, żeby zobaczyć spód fundamentu, a kiedy wylazłem, rozmowa stała się bardziej sensowna, ale za to mniej zrozumiała. Jakbym był na próbie jakiejś sztuki.

- A co to znowu takiego? - pytała Majka.

- Powiedziałbym, że to zabawka - odpowiadał Van der Hoose.

- Ja bym też tak powiedziała. Ale po co?

- Hobby. Nie ma w tym nic dziwnego, to bardzo rozpowszechnione hobby.

Zresztą ta dziwna rozmowa dość szybko się skończyła. Głośno cmoknęła błona włazu i znowu nastąpiła cisza. Obejrzałem ostatni fundament, pochwaliłem Toma za solidną robotę i poleciłem mu przełączyć Jacka na następny etap. Zorza zgasła i w zapadłych ciemnościach nic nie było widać, oprócz ostrzegawczych świateł moich robotów. Czując, że za moment odpadnie mi koniuszek nosa, pobiegłem truchtem w stronę statku, namacałem błonę, jednym skokiem znalazłem się w kesonie. Keson to coś wspaniałego. To jedno z najcudowniejszych pomieszczeń na statku. Pewnie dlatego, że komora kesonowa to pierwsze pomieszczenie na statku, które ci daje poczucie domu, już wiesz, że wróciłeś do domu, do rodzinnego, ciepłego, bezpiecznego domu, z obcego, lodowatego, groźnego świata. Z mroku w światło. Zrzuciłem doche, po czym pokaszując i rozcierając zziębnięte ręce poszedłem na mostek.

Van der Hoose już tam siedział obłożony swoimi papierami, głowę pochylił frasośliwie i przepisywał na

czysto kolejną stronę ekspertyzy. Maszyna kodująca żwawo stukotała pod jego palcami.

- A moi wychowankowie już skończyli fundamenty - pochwaliłem się.

- Aha - odezwał się Van der Hoose.

- A co to za zabawki? - zapytałem.

- Zabawki... - z roztargnieniem powtórzył Van der Hoose. - Zabawki? - zapytał nie przestając stukać na maszynie. - Ach, zabawki! - odłożył gotową kartkę i wziął następną.

Odczekałem chwilę i przypomniałem:

- No, więc co to za zabawki?

- Co to za zabawki?... - znaczącym głosem powtórzył Van der Hoose. Zadarł głowę i spojrzał na mnie. - A więc tak stawiasz problem? Widzisz... Zresztą, kto to może wiedzieć, co to za zabawki... Tam na statku...

Przepraszam cię, Staszek, ale może najpierw skończę, jak sądzisz?

Na palcach podszedłem do swojego pulpitu, przez chwilę obserwowałem pracę Jacka, który już się zabrał do murów stacji meteorologicznej, a potem, także na palcach, wyszedłem z mostku, aby złożyć wizytę Majce.

Wszystkie możliwe światła w jej kajucie paliły się, a sama Majka siedziała po turecku na łóżku i była bardzo zajęta. Na stole, na łóżku, na podłodze leżały odbitki stykowe, mapy, szkice, rozciągnięte harmonijki zdjęć lotniczych, wykresy i notatki. Majka po kolei to wszystko oglądała, robiła jakieś adnotacje, czasem łapała lupe, czasem butelkę z sokiem stojącą obok na krześle. Obserwowałem to czas jakiś i wreszcie wybrałem moment, kiedy butelka z sokiem opuściła krzesło, szybko zająłem jej miejsce, tak że kiedy Majka nie patrząc chciała z powrotem odstawić butelkę, trafiła prosto w moją wyciągniętą dłoń.

- Dziękuję - powiedziałem i napiłem się.

Majka uniosła głowę.

- A, to ty - powiedziała z niezadowoleniem. - Czego chcesz?

- Tak sobie wpadłem - powiedziałem dobrodusznie. - Jak było na spacerze?

- Nawet nosa nie wytknęłam - odparła zabierając mi butelkę. - Siedzę jak przymurowana, wczoraj wieczorem nic nie robiłam i teraz mam urwanie głowy... Gdzie mi tam do spacerów!

Oddała mi butelkę, machinalnie wypilem łyk, czując jakiś niewyraźny niepokój i nagle mi spadła zasłona z oczu. - Majka miała na sobie swój ulubiony domowy strój - puszystą bluzkę i szorty, a jej włosy pod chustką były wilgotne.

- Kapałaś się? - zapytałem tępo.

Majka coś mi odpowiedziała, ale ja i tak już wszystko rozumiałem. Wstałem. Starannie postawiłem butelkę na siedzeniu krzesła. Coś wymamrotałem - nie pamiętam co. Nie wiadomo, w jaki sposób znalazłem się w korytarzu, a potem w swojej kajucie, nie wiadomo, po co zgasilem górne światło, zapaliłem nocną lampką, położyłem się na łóżku i odwróciłem twarzą do ściany. Znowu mną trzęsło. Pamiętam, że wirowały mi w głowie jakieś strzępy myśli w rodzaju "teraz to już wszystko przepadło, wszystko na nic, już ostatecznie i nieodwracalnie". Złapałem się na tym, że znowu nadśluchuję. I znowu słyszałem coś niewłaściwego. Wtedy gwałtownie wstałem, sięgnąłem do nocnej szafki, wziąłem proszek nasenny, połknąłem go i znowu się położyłem. Po ścianach biegały jaszczurki, zacieniony sufit powoli się obracał, lampka nocna to gasła, to rozjarzała się niebywale ostrym światłem, umierające muchy rozpaczliwie bzyczały po kątach. Zdaje się, że przychodziła Majka, patrzyła na mnie z niepokojem, przykryła mnie czymś i znikła, a potem zjawił się Wadik usiadł w nogach łóżka i powiedział gniewnie "Czego się wylegujesz? Cała komisja lekarska czeka na ciebie, a ty leżysz". - „Mów głośniej - powiedziała do niego Ninon - on ma coś z uszami i nie słyszy cię". Zrobiłem minę do pokera i powiedziałem, że to wszystko zawracanie głowy. Wstałem i razem weszliśmy do rozbitego "Pelikana", wszystkie narządy uległy erozji i czuć było ostry zapach amoniaku, jak wtedy, w korytarzu. Ale to był niezupełnie "Pelikan", to chyba raczej był plac budowy, moi wychowankowie pracowali i pas startowy cudownie błyszczał w słońcu, a ja ciągle się bałem, że Tom najedzie na dwie mumie, które leżały w poprzek pasa, to znaczy, wszyscy myśleli, że to mumie, a naprawdę to byli Komow i Van der Hoose, tylko trzeba było uważać, żeby się nikt o tym nie dowiedział, ponieważ właśnie rozmawiali ze sobą, a tylko ja ich słyszałem. Ale przed Majką nic się nie ukryje. "Czy nie widzicie, że Staszek źle się czuje?" - powiedziała gniewnie i położyła na mojej twarzy wilgotną chusteczkę, zmoczoną w amoniaku.

Omal się nie udusiłem, potrząsnąłem głową, poderwałem się i usiadłem na łóżku.

Oczy miałem otwarte i w świetle lampki nocnej zobaczyłem przed sobą człowieka. Człowiek ów stał tuż przy łóżku pochylony i uważnie patrzył mi w twarz. W słabym świetle wydawał mi się ciemny, prawie czarny - zrodzona z majaczenia skrzywiona sylwetka bez twarzy, chwiejna, pozbawiona wyraźnych konturów i równie chwiejny, niewyraźny odbłask padający na jej twarz i ramię. Już z góry wiedząc, czym to się skończy, wyciągnąłem rękę i moja dłoń przeszła na wylot jak przez powietrze, upiór zakotłosał się, zaczął tajać i po kilku sekundach znikł bez śladu. Opadłem na plecy i zamknąłem oczy. A czy wiecie, że tatarski chan ma pod nosem wielką brodawkę? Pod samym nosem... Byłem spocony jak ruda mysz i było mi okropnie duszno. Miałem wrażenie, że się duszę.

Rozdział IV UPIORY I LUDZIE

Obudziłem się późno z ciężką głową i z mocnym postanowieniem, że od razu po śniadaniu poproszę Van der Hoosę o rozmowę w cztery oczy i wyznam mu wszystko jak na spowiedzi. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak nieszczęśliwy. Wszystko było dla mnie skończone i dlatego zrezygnowałem nawet z porannej gimnastyki, wziąłem tylko wzmocniony jonowy natrysk i powlokłem się do mesy. Już w progu uprzytomniłem sobie, że na skutek tego całego zamieszania zapomniałem wydać polecenia kucharzowi, i to mnie dobiło ostatecznie. Wymamrotałem coś niewyraźnie na przywitanie, czując, że ze zmartwienia i wstydu jestem czerwony jak rak, usiadłem na swoim miejscu, ponuro obejrzałem stół, unikając wzroku biesiadników. Uczta, spójrzmy prawdzie w oczy, była raczej mało wyszukana, skromna to była uczta. W jadłospisie figurował czarny chleb z mlekiem. Van der Hoose posypał swoją pajdę solą. Majka posmarowała masłem, zaś Komow żuł suchy chleb i nawet nie spojrzał na mleko.

W ogóle nie miałem apetytu - na samą myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze. Nalałem sobie mleka i zacząłem pić. Widziałem, że Majka patrzy na mnie i że ma wielką ochotę zapytać, co się ze mną dzieje i w ogóle. Jednak o nic nie zapytała, a Van der Hoose zaczął rozwlekliwie dowodzić, jak szkodliwe jest obżarstwo z medycznego punktu widzenia i jak to dobrze, że dziś jest właśnie takie śniadanie, a nie jakieś inne...

Wyjaśnił nam szczegółowo, co to jest post i co to takiego wielki post, z szacunkiem wypowiedział się na temat starożytnych chrześcijan, którzy znali się na tym co dobre. Przy okazji omówił problem zapustów, ale należy mu to przyznać, dosyć szybko zauważył, że się nieco zagalopował opisując bliny z kawiozem, z łososiem, śmietaną i innymi smakołykami, przerwał więc wykład i z niejakim zakłopotaniem zaczął gładzić bokobrody. Rozmowa nie kleiła się. Ja się niepokoiłem o siebie, Majka o mnie. Jeżeli zaś chodzi o Komowa to znów, podobnie jak wczoraj, był stanowczo nie w swoim sosie. Powieki miał zaczerwienione, przeważnie patrzył w stół, ale od czasu do czasu nagle unosił głowę i rozglądał się, jakby go ktoś wołał. Nakruszył wokół siebie ogromne ilości chleba i nadal skubał okruszyny, że aż miałem ochotę trzepnąć go po łapach jak dzieciaka. I tak siedzieliśmy smętnie i ponuro, a biedny Van der Hoose na próżno tracił, siły starając się nas rozerwać.

Właśnie mordował się z jakąś tasiemcową historią, którą na poczekaniu wymyślał i w żaden sposób nie mógł wymyśleć do końca, kiedy nagle Komow wydał z siebie dziwaczny dźwięk, jakby kawałek suchego chleba stanął mu wreszcie kością w gardle. Spojrzałem na niego przez stół i przeraziłem się. Komow siedział sztywny i wyprostowany, ściskając oburącz krawędź blatu, zaczerwienione oczy wylazły mu z orbit, patrzył gdzieś poza mnie i z sekundy na sekundę robił się coraz bledszy. Odwróciłem się i zamarłem. Pod ścianą, między filmoteką a stolikiem do gry w szachy, stał mój wczorajszy upiór.

Teraz widziałem go zupełnie wyraźnie. To był człowiek, a w każdym razie humanoid, mały, chudy i doszczętnie nagi. Skórę miał ciemną, prawie czarną, błyszczącą, jakby naoliwiona. Twarzy jego dokładnie nie zobaczyłem, a może nie zapamiętałem, ale od razu rzuciło mi się w oczy, podobnie jak w czasie nocnych koszmarów, że człowiek ten był jakiś przekrzywiony i jakby zamglony. I jeszcze oczy - ciemne, olbrzymie, nieruchome, ślepe jak oczy posągu.

- To on! Tam! - wrzasnął Komow.

Pokazywał palcem w zupełnie innym kierunku i tam dosłownie na moich oczach wprost z powietrza wymaterializowała się nowa postać. To był ciągle ten sam zastygły, lśniący upiór, ale teraz zastygł w biegu, jak na fotografii, która przedstawia startującego sprintera. I w tejże sekundzie Majka rzuciła mu się pod nogi. Fotel z łoskotem odleciał na bok, Majka z bojowym okrzykiem przeleciała przez upiora na wylot i rąbnęła w ekran wideofonu. Zdążyłem jeszcze zauważyć, że upiór zakołysał się i zaczął tajać, a Komow już krzyczał:

- Drzwi! Drzwi!

I zobaczyłem - ktoś małeńki, biały i matowy, jak ściana w mesie, przygięty w bezszelestnym pędzie przemknął przez otwarte drzwi i zniknął w korytarzu. I wtedy rzuciłem się za nim w pościg.

Teraz wstyd o tym wspominać, ale wówczas było mi dokładnie wszystko jedno, co to za istota, skąd, dlaczego i po co tu się zjawiała - czułem tylko nieopisaną ulgę, ponieważ wiedziałem, że od tej chwili skończyły się moje koszmary i strachy i jeszcze za wszelką cenę, ponad wszystko pragnąłem dogonić, schwytać, unieszkodliwić i doprowadzić na statek.

W drzwiach zderzyłem się z Komowem, zbiłem go z nóg, potknąłem się o niego, korytarz sforsowałem na czworakach - był już pusty, tylko ostro i znajomo śmierdziało amoniakiem, za moimi plecami krzyczał coś Komow, stukotały cienkie obcasiki, poderwałem się na nogi, jak strzała przeleciałem przez komorę

kesonową; dałem nura w błonę włazu, który jeszcze nie zdążył z powrotem zarosnąć, i wybiegłem na zewnątrz, w blask liliowego słońca.

Zobaczyłem go od razu. Biegł w stronę budowy, biegł lekko, ledwie muskając bosymi stopami zamrażający piasek, ciągle tak samo przekrzywiony, dziwacznie poruszał w czasie biegu rozstawionymi łokciami, ale teraz nie był ani ciemny, ani matowobiały tylko jasnoliliowy i słońce pobłyskiwało na jego chudych bokach i ramionach. Biegł prosto w stronę robotów, więc nieco zwolniłem, oczekując, że zaraz się przestraszy i skręci w prawo lub w lewo, ale się nie przestraszył, przebiegł o dziesięć kroków od Toma, a ja oczom swoim nie chciałem wierzyć, kiedy ten kilkotonowy kretyn zasygnalizował mu swoje zwykłe: "Oczekuję poleceń".

- W bagno! - krzyczał za mną zdyszany głos Majki. - Zaganiaj go w bagno!

Maleńki tubylec i tak biegł w kierunku grzędawiska. Biegł, trzeba mu to przyznać, w dobrym tempie i odległość między nami zmniejszała się bardzo powoli. Wiatr świstał mi w uszach, z oddali coś krzyczał Komow, ale Majka zagłuszała go skutecznie.

- Z lewej, zachodź go z lewej! - wołała z wielkim zapalem.

Skręciłem w lewo, wbiegłem na pas startowy, ten fragment był już ukończony, równy, czysty, falista powierzchnia bardzo ułatwiała bieg i teraz poszło mi lepiej - zacząłem tamtego dopędzać. "Nie uciekniesz - powtarzałem w myśli - nie, bracie, teraz nie uciekniesz. Zapłacisz mi za wszystko..." Nie spuszczałem z oczu jego szybko poruszających się łopatek, migających gołych nóg, widziałem strzępy pary wylatujące zza jego ramienia. Dopędzałem go i czułem niebywałe uniesienie. Pas startowy skończył się, do szarej waty nad bagnem było nie więcej niż sto kroków, a ja go doganiałem.

Kiedy dobiegł do brzegu grzędawiska, do smętnych szuwarów karłowatej trzciny, przystanął. Kilka sekund stał, jakby się nie mógł na coś zdecydować, potem spojrzał na mnie przez ramię i znowu zobaczyłem jego wielkie ciemne oczy, wcale nie zastygłe, przeciwnie, niezmiernie żywe i nawet jakby roześmiane a potem przykucnął, objął ramionami kolana i potoczył się. Nawet nie od razu zrozumiałem, co się stało. Dopiero co stał tu człowiek, wprawdzie bardzo dziwny człowiek, zapewne zresztą w ogóle nieczłowiek, ale z wyglądu jednak człowiek i nagle nie ma człowieka, a przez grzędawisko, przez martwe straszliwe bagno rozpryskując błoto i mętną wodę toczy się jakiś bezsensowny szary kłębek. I to jak się toczy! Nie zdążyłem dobiec do brzegu, kiedy kłębek już znikł w smugach mgły i tylko z daleka, zza szarej zasłony dobiegały cichnące szelesty, pluski i cieniutki, przenikliwy świst.

Tupocząc nadbiegła Majka, stanęła obok mnie, ciężko sapiała.

- Uciekł - skonstatowała z niezadowoleniem.

- Uciekł - powiedziałem.

Staliśmy kilka sekund wpatrując się w kłęby mętnej mgły. Potem Majka otarła pot z czoła i powiedziała:

- Uciekłem od babci, uciekłem od dziadka...

- A od ciebie, kwatermistrzu, tym bardziej ucieknę - dodałem i obejrzałem się.

Tak. Ten, kto ma w nogach, ten biega, a ten, kto ma w głowie, ten, jak sami rozumiecie, stoi i patrzy.

Byliśmy we dwoje z Majką. Maleńkie figurki Komowa i Van der Hoosego ciemniały daleko obok statku.

- Niezły spacerek powiedziała Majka również patrząc w stronę statku. - Ze trzy kilometry co najmniej, jak pan sądzi, kapitanie?

- Zgadzam się z panem, kapitanie - odpowiedziałem.

- Słuchaj powiedziała Majka z zadumą. - A może to wszystko nam się tylko zdawało?

Objąłem ją za ramiona. Uczucie wyzwolenia, zdrowia, entuzjazmu i wiara w niebywałe świetlane perspektywy eksplodowała we mnie z niezwykłą siłą.

- Co ty się tam na tym znasz, dziecinko! - wrzasnąłem, nieomal płacząc ze szczęścia i potrząsając Majką z całej siły. - Co ty możesz wiedzieć o halucynacjach! Zresztą nie trzeba, żebyś wiedziała! Bądź szczęśliwa i nie myśl o niczym takim!

Stropiona Majka gapiła się na mnie, próbowała się wyrwać, a ja na zakończenie potrząsałem nią raz jeszcze, objąłem i ruszyliśmy w stronę statku.

- Poczekaj - słabo broniła się oszołomiona. - Co ty, jak pragnę zdrowia... Puść mnie, co to za obyczaje!

- Chodźmy, chodźmy - przygadywałem! - Zaraz nam ulubieniec doktora M'Bogi da do wiwatu. Mam przecucie, że popełnił błąd urządzając te wyścigi, trzeba było siedzieć spokojnie.

Majka wyrwała mi się gwałtownie, na sekundę przystanąła, potem kucnęła, opuściła głowę, objęła ramionami kolana i pochyliła się do przodu.

- Nie - powiedziała wstając. - Ja tego nie rozumiem.

- I nie trzeba - powiedziałem. - Komow nam wszystko wytłumaczy. Na początek da nam do wiwatu, przecież myśmy mu kontakt zerwali, ale później jednak wytłumaczy...

- Słuchaj, jest zimno! - powiedziała Majka podskakując w miejscu. - Pobiegnijmy?

I pobiegliśmy. Mój początkowy entuzjazm trochę opadł i zacząłem sobie zdawać sprawę, z tego, co się stało. Okazuje się, że w gruncie rzeczy planeta jest zamieszkała! I to jeszcze jak zamieszkała człowiekopodobne

istoty znacznych rozmiarów, rozumne, a być może nawet cywilizowane...

- Staszek biegnąc zapytała Majka a może to ktoś z Panty?

- Jakim sposobem?

- No... a bo to jest mało sposobów... Przecież nie znamy wszystkich szczegółów projektu. Może przesiedlenie już się zaczęło?

- E, nie - powiedziałem. - On nie jest podobny do tych z Panty. Tamci są rośli, czerwonoskórzy... Poza tym noszą ubrania, a ten był zupełnie nagi!

Zatrzymaliśmy się przed włazem i przepuściłem Majkę przodem.

- B-r-r! - powiedziała rozcierając ramiona. - Teraz Komow nam pokaże, gdzie raki zimują.

- I to jakie raki - powiedziałem.

- Gigantyczne - powiedziała Majka

- Ze szczypcami wielkości krokodyla - uzupełniłem.

Bezszerowo wślizgnęliśmy się na mostek, ale natychmiast zostaliśmy zauważeni. Czekano na nas. Komow spacerował z rękami założonymi do tyłu, a Van der Hoose wysunął do przodu szczękę, patrzył w przestrzeń i nawijał na palce swoje bokobrody - prawy na palec prawej ręki, a lewy - na palec lewej ręki. Kiedy weszliśmy, Komow stanął, ale Majka nie dała mu dojść do słowa:

- Uciekł - zameldowała urzędowo. - Uciekł przez grzędawiska i to w niezwykle sposób...

- Proszę o ciszę! - przerwał jej Komow. Zaraz się zaczniesz, pomyślałem, z góry postanawiając zaprzeczać i nie przyznawać się do niczego. Ale nie zgadłem. Komow kazał nam usiąść, sam też usiadł i zwrócił się wprost do mnie:

- Słucham cię, Popow. Proszę opowiedzieć wszystko, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów.

Ciekawe, że nawet się nie zdziwiłem. Takie postawienie sprawy wydało mi się całkowicie naturalne. Więc opowiedziałem o wszystkim - o szmerach, o zapachach, o płaczu dziecka, o krzykach kobiety, o dziwnym dialogu wczoraj wieczorem i o czarnym upiorze dziś w nocy. Majka słuchała mnie z rozchyłonymi ustami, Van der Hoose chmurzył się i kręcił głową, a Komow nieruchomo patrzył mi w twarz - jego zmrużone oczy w kamiennej twarzy znowu były zimne i uważne, od czasu do czasu przygryzał dolną wargę i splatał dłonie, aż mu palce trzeszczały. Kiedy skończyłem, zapanowało milczenie. Potem Komow zapytał:

- Jesteś pewien, że to płakało dziecko?

- T-tak... w każdym razie to było bardzo podobne...

Van der Hoose głośno zasapał i kilkakrotnie trzepnął dłonią w poręcz fotela.

- I tyś to wszystko wytrzymał! - powiedziała Majka z przerażeniem. - Biedaku!

- Muszę ci powiedzieć, Staszek... - pouczająco zaczął Van der Hoose, ale Komow przerwał mu.

- A kamienie? - zapytał.

- Co kamienie? - nie zrozumiałem.

- Skąd się wzięły kamienie?

- Na budowie? Pewnie roboty naznosiły. Co to ma wspólnego?

- Skąd roboty wzięły kamienie?

- N-no... - zacząłem i umilkłem. Rzeczywiście, skąd?

- Dookoła piaszczysta plaża - mówił dalej Komow. - Nigdzie ani jednego kamyka. Roboty z budowy nie schodziły. A więc skąd na pasie startowym brukowce, skąd gałęzie? - Spojrzał na nas i uśmiechnął się. - To są wszystko retoryczne pytania, rozumie się. Mogę tylko dodać, że tuż za naszą rufą, pod samą latarnią jest całe wysypisko kamieni. Bardzo interesujące wysypisko. Mogę też dodać... Przepraszam, czy już skończyłeś, Staszek? Dziękuję! A teraz posłuchajcie, co mnie się przydarzyło.

Okazuje się, że Komow też dostał za swoje. Wprawdzie jego przeżycia były nieco innego gatunku - rodzaj egzaminu intelektualnego. Drugiego dnia naszego pobytu, kiedy wpuszczał do jeziora ryby z Panty, zauważył oddaloną od niego o jakieś dwadzieścia kroków niezwykle szkarłatną plamę, która rozpląnęła się i znikła, zanim jeszcze zdecydował się do niej zbliżyć. Następnego dnia na samym szczycie wzniesienia znalazł zdechłą rybę z Panty, niewątpliwie jedną z tych, które wczoraj wpuścił do jeziora. Nad ranem czwartego dnia obudził się z uczuciem, że w kajucie znajduje się ktoś obcy. Nikogo obcego nie było, ale Komow usłyszał cmoknięcie błony włazu. Kiedy wyszedł ze statku, zauważył po pierwsze, kamienie za rufą, a po drugie, kamienie i naręcza gałęzi na placu budowy. Po rozmowie ze mną ostatecznie doszedł do przekonania, że coś jest nie w porządku. Był już prawie pewien, że grupy zwiadowców przegapiły na planecie coś niezmiernie istotnego i tylko głębokie przekonanie, że rozumnego życia nie sposób nie zauważyć, powstrzymywało go od bardziej zdecydowanych posunięć. Zrobił tylko wszystko, co było w jego mocy, żeby rejon działania naszej grupy nie stał się obiektem najazdu "żądnych sensacji nierobów". Właśnie dlatego za wszelką cenę starał się tak zredagować tekst ekspertyzy, by nie budziła ona najmniejszych wątpliwości. Zarazem moja depresja i moje nienaturalne podniecenie skłoniły go do przypuszczenia, że nieznane istoty są w stanie przenikać na pokład statku. Komow zaczął przygotowywać się do spotkania z

nimi i doczekał się dzisiaj rano.

- Reasumując - powiedział, jakby kończył wykład - w każdym razie ten rejon planety, wbrew wynikom wstępnych badań, jest zamieszkiwany przez kręgowce znacznych wymiarów i mamy wszelkie podstawy do przypuszczeń, że są to istoty rozumne. Prawdopodobnie są to troglodyci, którzy przystosowali się do życia w podziemnych jaskiniach. Wyciągając wnioski z tego, czego byliśmy świadkami, należy uznać, że przeciętny tubylec pod względem anatomicznym przypomina człowieka, posiada rozwiniętą w znacznym stopniu zdolność mimikry, a także - zapewne w związku z tym, co powiedziałem - umiejętność wytwarzania fantomów odwracających uwagę przeciwnika. Przypominam, że wśród większych kręgowców taką zdolność posiadają tylko niektóre gryzonie na Pandorze, a na Ziemi pewne gatunki głowonogów. A teraz chciałbym szczególnie mocno podkreślić, że bez względu na te obce ludziom i w ogóle humanoidom właściwości, tubylec nie tylko z anatomicznego punktu widzenia, ale również pod względem podobieństw układu nerwowego jest niezwykle bliski ziemskiemu człowiekowi. Skończyłem.

- Jak to skończyłem? zawołałem. - A moje głosy? To znaczy, że miałem halucynacje?

Komow uśmiechnął się:

- Uspokój się - powiedział. - Z tobą jest wszystko w porządku. Twoje "głosy" bardzo łatwo wytłumaczyć, jeśli się założy, że budowa aparatu głosowego tubylców jest identyczna z naszą. Identyczność budowy plus rozwinięta umiejętność imitatorska, plus nadnaturalna pamięć fonetyczna...

- Poczekajcie - powiedziała Majka. - Rozumiem, że oni mogli podsłuchać nasze rozmowy, ale głos umierającej kobiety?

Komow przytaknął.

- Tak. Nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć założenie, że oni byli obecni przy agonii.

Majka gwizdnęła.

- Trochę to za bardzo skomplikowane - mruknęła z powątpiewaniem.

- Chętnie usłyszę wyjaśnienie - zimno zaproponował Komow. - Zresztą niedługo dowiemy się nazwisk poległych. Jeżeli pilot miał na imię Aleksander...

- No dobrze - powiedziałem. - A dziecko?

- Jesteś pewien, że to płakało dziecko?

- A czy to można z czymkolwiek pomylić?

Komow przez chwilę patrzył na mnie, mocno przyciskając palcem górną wargę, i nagle głucho zaszczekał. Właśnie zaszczekał inne określenie nie przychodzi mi do głowy.

- Co to było? - zapytał. - Pies?

- Chyba tak - powiedziałem z szacunkiem.

- A więc to było zdanie w jednym z narzeczy Leonidy.

Zastrzelił mnie, Majkę również. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Wszystko niewątpliwie musiało wyglądać właśnie tak. Koncepcja była precyzyjna, jasna i zgrabnie wymyślona, ale... To oczywiście bardzo przyjemnie, że wszystkie strachy zostały już poza nami i że właśnie nasza grupa miała szczęście odkryć jeszcze jedną rasą człowiekopodobną. Ale zarazem oznaczało to radykalną zmianę naszych losów, zresztą nie tylko naszych. Po pierwsze, gołym okiem widać, że projekt "Arka" nie ma już żadnych szans. Planeta jest zajęta, dla mieszkańców Panty trzeba będzie poszukać innej. Po drugie, jeżeli ostatecznie okaże się, że tubylcy to rozumne istoty, zostaniemy niezwłocznie przepędzeni, a na nasze miejsce przybędzie Komisja Do Spraw Kontaktów. To było oczywiste nie tylko dla mnie, rzecz jasna, ale i dla pozostałych. Van der Hoose z przygnębieniem szarpnął prawy bakenbard i powiedział:

- Dlaczego koniecznie istoty rozumne? Moim zdaniem chwilowo nic na to nie wskazuje, że oni są rozumni. Jak, sadzisz, Giennadij?

- Nie twierdzę, że z całą pewnością są rozumni - oświadczył Komow. - Powiedziałem tylko, że mamy wszelkie podstawy do takich przypuszczeń.

- A jakie właściwie masz podstawy? - nadal zamartwiał się Van der Hoose. Okropnie nie miał ochoty ruszać się z miejsca, do którego już przywykł. Wszyscy znali tę jego słabość - szybko się zadamawiał. Jakie podstawy? Wprawdzie wygląd zewnętrzny...

- Nie chodzi tylko o anatomię - powiedział Komow. - Kamienie pod latarnią ułożone są według określonego systemu, to jakieś znaki. Kamienie i gałęzie na pasie startowym... Nie chciałbym niczego twierdzić kategorycznie, ale wygląda mi to bardzo na próbę nawiązania kontaktu, podejmowaną przez istoty człekopodobne znajdujące się na jaskiniowym szczeblu rozwoju. Tajny zwiad i zarazem ni to dary, ni to ostrzeżenie...

- Tak, na to by wyglądało - wymruczał Van der Hoose i wpadł w prostrację.

Znowu zapadło milczenie, a potem Majka zapytała cicho:

- Aż czego wynika, że te istoty są nam tak szczególnie bliskie pod względem fizjologicznym i psychologicznym?

Komow z zadowoleniem pokiwał głową.

- W tej dziedzinie również dysponujemy tylko poszlakami - powiedział. - Ale to dostatecznie poważne poszlaki. Po pierwsze, tubylcy wchodzą na statek. Statek ich wpuszcza. Dla porównania przypominam, że ani mieszkaniec Tagory, ani nawet Panty przy ich ogromnym podobieństwie do człowieka nie jest w stanie sforsować błony wлізу. Po prostu włuż nie otwiera się przed nimi...

W tym momencie uderzyłem się w czoło.

- Rany koguta! To znaczy, że moje roboty były w najlepszym porządku! Po prostu tubylcy biegali przed Tomem, a on stawał, ponieważ bał się przejechać człowieka... A poza tym pewnie uważali Toma za żywe stworzenie, wymachiwali rękami i przypadkowo zasygnalizowali "Niebezpieczeństwo! Natychmiast na statek!" To przecież bardzo prosty sygnał... - pokazałem wszystkim, jaki prosty. - No i moi wychowankowie pocwałowali pod pokład... Oczywiście tak to musiało wyglądać... Zresztą widziałem na własne oczy. - Tom reagował na tubylca jak na człowieka.

- To znaczy? - szybko zapytał Komow.

- To znaczy, że kiedy tubylec pojawił się w polu jego wizjerów, Tom zasygnalizował: "Czekam na polecenia".

- To bardzo cenna obserwacja - oświadczył Komow. Van der Hoose ciężko westchnął.

- Tak powiedziała Majka. Koniec z "Arką". Szkoda.

- I co teraz będzie? - zapytałem nie zwracając się specjalnie do nikogo.

Nie doczekałem się odpowiedzi. Komow zebrał kartki ze swoimi notatkami, pod kartkami leżał dyktafon.

- Proszę mi darować - powiedział z czarującym uśmiechem. - Żeby nie tracić na darmo czasu, nagrałem naszą dyskusję. Dzięki za precyzyjnie sformułowane pytania. Staszku, proszę to wszystko zakodować i posłać impulsem prosto do Centrum, a kopię na Bazę.

- Biedny Sidorow! - cicho powiedział Van der Hoose. Komow musnął go szybkim spojrzeniem i znowu spuścił oczy na papiery.

Majka odsunęła fotel.

- Tak czy inaczej nie mam już posady kwatermistrza - powiedziała. - Pójdę się pakować.

- Chwileczkę - zatrzymał ją Komow. - Padło pytanie, co będzie dalej. Odpowiadam. Jako pełnomocnik Komisji Do Spraw Kontaktów obejmuję kierownictwo. Ogłaszam cały nasz rejon strefą przewidywanego kontaktu. Jakubie, zredaguj odpowiednią depeszę. Wszystkie prace przy realizacji projektu "Arka" zostają zawieszane. Roboty zostają zdemobilizowane i zmagazynowane pod pokładem. Zabraniam opuszczania statku bez mojego osobistego zezwolenia. Dzisiejsze polowanie z nagonką już stworzyło określone trudności w nawiązywaniu kontaktu. Nowe nieporozumienia byłyby absolutnie niepożądane. A więc Maja wprowadzi glider do hangaru. Staszek, proszę, zajmij się systemem cybernetycznym... - uniósł palec. - Ale w pierwszej kolejności przetelegrafuj dyskusję... - Uśmiechnął się, chciał dodać coś jeszcze, ale w tym momencie odezwał się deszyfrator radiostacji.

Van der Hoose sięgnął, wydobyl ze szczeliny odbiorczej depeszę, przebiegł po niej wzrokiem i uniósł do góry brwi.

- Hm - powiedział. - Rozumieją wszystko bez słowa. Czy przypadkiem nie jesteś induktorem, Giennadij? Podał kartkę Komowowi. Komow również przebiegł ją oczami i również uniósł brwi.

- A tego to już nie rozumiem - powiedział, rzucił depeszę na stół i przespacerował się po mostku założywszy ręce na plecy.

Wziąłem depeszę. Majka z podnieceniem sapała mi nad uchem. Depesza rzeczywiście była zdumiewająca. PILNA; ZERO-ŁĄCZNOŚĆ, CENTRALA, KOMISJA DO SPRAW KONTAKTÓW, GORBOWSKI DO NACZELNIKA BAZY PROJEKTU "ARKA" SIDOROWA. NATYCHMIAST ZAWIESIĆ WSZYSTKIE PRACE PRZY REALIZACJI PROJEKTU. PRZYGOTOWAĆ DO EWAKUACJI ZAŁOGI I APARATURY. ANEKS. DO PEŁNOMOCNIKA KOMISJI KONTAKTÓW KOMOWA. OGŁASZAM REJON EZ-2 STREFĄ PRZEWIDYWANEGO KONTAKTU. ODPOWIEDZIALNYM ZA JEGO REALIZACJĘ MIANOWANO CIEBIE. GORBOWSKI.

- To rozumiem! - powiedziała z podziwem Majka. - Niech żyje Gorbowski!

Komow przystanął i spojrzał na nią spode łba.

- Proszę, aby wszyscy obecni przystąpili do wykonania moich poleceń. Jakub, znajdź mi, proszę, kopię naszej ekspertyzy.

Obaj z Van der Hoosem zagłębili się w studiowanie kopii. Majka wyszła, żeby wprowadzić do hangaru glider, a ja usadowiłem się obok radiostacji i zabrałem się do kodowania naszej dyskusji. Jednak nie minęły nawet dwie minuty, kiedy znowu zaskrzeczał deszyfrator. Komow odepchnął Vandera i jednym skokiem znalazł się przy radiostacji. Przechylony przez moje ramię chciwie czytał słowa pojawiające się na papierze. PILNA, ZERO-ŁĄCZNOŚĆ, CENTRALA, KOMISJA DO SPRAW KONTAKTÓW, BADER. DO KAPITANA EZ-2 VAN DER HOOSE. NATYCHMIAST POTWIERDZIĆ ZNALEZIENIE ZWŁOK

DWOJGA - PODKREŚLAM - DWOJGA LUDZI NA POKŁADZIE STATKU ORAZ STAN DZIENNIKA POKŁADOWEGO OPISANY W WASZEJ EKSPERTYZIE. BADER.

Komow rzucił depeszę Van der Hoosemu i zaczął gryźć paznokcie dużego palca.

- A więc to o to chodzi - powiedział. - Tak, tak... - Odwrócił się do mnie. - Staszek, co teraz robisz?

- Koduję - odpowiedziałem pośpiesznie. Nic nie rozumiałem.

- Daj no mi ten dyktafon - powiedział. - Chwilowo się wstrzymamy. - Schował dyktafon do górnej kieszeni kurtki i starannie zapiął patkę. - A więc tak. Jakub, potwierdź, proszę, to, czego on się domaga. Staszek, nadaj potwierdzenie. A następnie, Jakub, ty się na tym znasz lepiej niż ja... Zrób to dla mnie, pogrzeb trochę w naszej filmotece i przejrzyj całą oficjalną dokumentacją dotyczącą dzienników pokładowych.

- Ja i tak wiem wszystko na temat dzienników pokładowych powiedział Van der Hoose z niechęcią. - Lepiej powiedz mi, co cię interesuje.

- Sam dobrze nie wiem, co mnie interesuje. W każdym razie chciałbym wiedzieć, czy dziennik pokładowy był starty przypadkowo, czy umyślnie. Jeśli umyślnie, to dlaczego? Widzisz przecież, że Badera to również interesuje... Nie leń się, Jakubie! Muszą przecież być jakieś instrukcje dotyczące okoliczności, w których należy zniszczyć dziennik pokładowy!

- Nie ma takich instrukcji - wymruczał pod nosem Van der Hoose, niemniej jednak ruszył do filmoteki.

Komow usiadł, żeby napisać potwierdzenie, a ja ze wszystkich sił nadaremnie próbowałem pojąć, co się właściwie dzieje, skąd taka panika, dlaczego w Centrum potraktowali z niedowierzaniem absolutnie precyzyjne sformułowanie ekspertyzy. Przecież nie mogą nas podejrzewać, że pomyliliśmy zwłoki

Ziemiańszczyzny z ciałem jakiegoś tubylca i od niechcenia dorzuciliśmy dodatkowego trupa... I w jaki sposób, u diabła, Gorbowski wie, co tu się u nas dzieje? Niczego rozsądnego nie mogłem wydedukować, więc tylko smętnie patrzyłem na robocze ekrany, gdzie wszystko było takie jasne i zrozumiałe, i myślałem z goryczą, że tępy człowiek w jakiś żalony sposób przypomina robota. Oto siedzę, wypełniam polecenia, kazali kodować - kodowałem, kazali przerwać - prześó rwałem, a co się dzieje, po co to wszystko, czym to się skończy - nie mam zielonego wyobrażenia. Dokładnie tak jak mój Tom - pracuje teraz, biedak, w pocie czoła, stara się jak najlepiej wykonać moje polecenia i nie wie, że za dziesięć minut przyjdę, zagonię go pod pokład razem z kolegami, cała jego praca okaże się nadaremna, a on sam nie będzie już nikomu potrzebny...

Komow podał mi potwierdzenie, zakodowałem tekst, nadałem i już chciałem usiąść przy swoim pulpicie, kiedy rozległ się sygnał wywoławczy Bazy.

- EZ-dwa? zapytał głuchy, spokojny głos. - Mówi Sidorow.

- EZ-dwa na linii! - odezwał się natychmiast. - Mówi technik-cybernetyk Popow. Kogo mam wezwać?

- Komowa, jeśli można.

Komow już siedział w sąsiednim fotelu.

- Słucham cię, Atos! - powiedział.

- Co tam się u was stało? - zapytał Sidorow.

- Tubylcy - odparł Komow po sekundzie wahania.

- Dokładniej, jeśli można - powiedział Sidorow.

- Przede wszystkim, Atos, chciałbym cię zapewnić - powiedział Komow - że nie wiem i nie rozumiem, skąd Gorbowski dowiedział się o tubylcach. My sami zaczęliśmy pojmywać coś niecoś zaledwie dwie godziny temu. Przygotowałem dla ciebie informację, zacząłem ją już kodować, ale niespodziewanie wszystko tak: się poplątało^ że wręcz zmuszony jestem prosić cię o jeszcze trochę cierpliwości. Stary Bader naprowadził mnie na taką myśl... Jednym słowem, okazał jeszcze trochę cierpliwości...

- Rozumiem - powiedział Sidorow. - Ale sam fakt istnienia tubylców można uznać za niezaprzeczalny?

- Bez najmniejszej wątpliwości - powiedział Komow.

Było słychać, jak Sidorow westchnął.

- No cóż, nie ma rady. Zaczniemy wszystko od początku.

- Jest mi strasznie przykro, że tak wyszło - powiedział Komow. - Słowo honoru, przykro.

- Trudno - powiedział Sidorow. - Jakoś przeżyjemy i to. - Na chwilę umilkł. - Co zamierzasz robić dalej?

Będziesz czekał na Komisję?

- Nie. Zaczę już dzisiaj. I mam do ciebie wielką prośbę, zostaw EZ-dwa razem z załogą do mojej dyspozycji.

- Rozumie się powiedział Sidorow. No, to ci nie przeszkadzam. Jeśli coś będzie potrzebne...

- Dziękuję, Atos. I nie martw się, jeszcze wszystko dobrze się skończy.

- Miejmy nadzieję.

Pożegnali się, Komow znowu zaczął gryźć paznokcie wielkiego palca, spojrzał na mnie z jakimś niepojętym rozdrażnieniem i znowu rozpoczął swój marsz po mostku. Domyślałem się, o co chodzi. Komow i Sidorow byli starymi przyjaciółmi, razem studiowali, razem gdzieś pracowali, ale Komow zawsze i we wszystkim miał szczęście, a Sidorowa nazywali Atos-pechowiec. Nie wiem dlaczego tak się złożyło. W każdym razie

Komow musiał teraz czuć się okropnie głupio. A tu jeszcze na dodatek ta depesza od Gorbowskiego.

Wyszło tak, jakby Komow informował Centrum pomijając Sidorowa...

Cichutko przesiadłem się na swój fotel i zatrzymałem roboty, Komow już znowu siedział przy stole, gryzł paznokcie i gapił się na rozrzucone kartki. Poprosiłem o zezwolenie wyjścia na dwór.

- Po co? - zapytał gniewnie, ale błyskawicznie oprzytomniał. - A, system cybernetyczny... Proszę bardzo. Ale jak tylko skończysz, wracaj natychmiast.

Zagoniłem swoich podopiecznych pod pokład, zdemobilizowałem i zamocowałem na wszelki wypadek, gdybyśmy musieli nagle wystartować, potem przez chwilę stałem koło wjazdu, patrząc na opustoszałą budowę, na białe mury stacji meteorologicznej, która już nigdy nie zostanie dokończona, na lodowiec niezmiernie idealnie gładki i obojętny... Planeta wydawała mi się teraz jakaś inna. Coś się w niej zmieniło. Pojawił się jakiś sens w tej mgłę, w karłowatych zaroślach, w skalistych graniach pokrytych liliowymi plamami śniegu. Cisza oczywiście została, ale pustki już nie było i to było dobrze.

Wróciłem na statek, zajrzałem do mesy - gniewny Van der Hoose grzebał w filmotece. Nie mogłem usiedzieć w miejscu, poszedłem więc po pociechę do Majki. Całą kajutę zaścierał ogromny arkusz odbitek stykowych. Majka leżała na nim z łupą w ręku. Kiedy wszedłem, nawet się nie odwróciła.

- Nic nie rozumiem - powiedziała gniewnie. - Tu nie ma gdzie się ukryć. Wszystkie miejsca jako tako nadające się do życia obłaziliśmy w tę i z powrotem. Chyba nie siedzą w błocie jak kaczki!

- Właściwie dlaczego nie? - zapytałem siadając.

Majka usiadła po turecku i przyjrzała mi się przez lupę.

- Humanoid nie może żyć w bagnie - oznajmiła tonem nie dopuszczającym dyskusji.

- A to czemu? - zapytałem. - Na Ziemi były plemiona, które mieszkaly na jeziorach, w chatkach zbudowanych na palach.

- Ba, gdyby na tym bagnie była chociaż jedna chata... - powiedziała Majka.

- Może oni mieszkają właśnie pod wodą, jak pająki wodne, w takich specjalnych dzwonach?

Majka pomyślała chwilę.

- Nie - powiedziała z żalem. - On byłby zablocony, cały statek by zaświnił...

- A może ich skóra odpycha wodę? Jest błotowoodopychająca?... Widziałas, jak błyszczał? I uciekł nam - dokąd? A ten sposób poruszania się też chyba nie powstał przypadkiem?

W dyskusji najważniejszy jest dobry początek. Pod naciskiem mnóstwa argumentów, które wysuwałem, Majka zmuszona była przyznać, że teoretycznie tubylcy mogą mieszkać w powietrznych dzwonach, ale jednak ona, Majka, jest raczej skłonna przypuszczać, że rację ma Komo w, który uważa, że mamy do czynienia z ludźmi jaskiniowymi. „Żebyś ty widział, jakie tam są groty - powiedziała. - Właśnie teraz nieźle byłoby je przeszukać...” Pokazała mi mapę. Nawet na mapie nie wyglądało to zachęcająco - najpierw pasmo wzgórz zarośniętych karłowatymi drzewkami, za nim rozdarłe nieprzelicznymi przepaściami skały, wreszcie łańcuch szczytów górskich, dzikich, okrutnych, pokrytych wiecznym śniegiem, a za górami bezbrzeżna kamienista równina, posępna, martwa, porysowana wzdłuż i wszerz głębokimi kanionami. To był zamrożony na wieki, zastygły świat, świat kamienny i groźny i na samą myśl o tym, że tu można żyć, biegać bosymi stopami po tym kamiennym szkliwie, dreszcz mi przechodził po plecach.

- To nic strasznego - pocieszała mnie Majka. - Mogę ci pokazać zdjęcia tego terenu zrobione w świetle podczerwonym - pod tym płaskowyzem są dosyć znaczne obszary podziemnego ciepła, więc jeśli oni mieszkają w jaskiniach, to zimno w każdym razie im nie dokucza.

Natychmiast zaatakowałem ją z flanki. - A co oni jedzą?

- Jeżeli istnieją ludzie jaskiniowi - powiedziała Majka - to również mogą istnieć jaskiniowe zwierzęta. No, a oprócz tego mchy, grzyby, że nie wspomnę o roślinach, którym do fotosyntezy wystarczają promienie podczerwone.

Wyobraziłem sobie tę roślinność, żalostną parodię tego, co my uważamy za życie, ospałą, ale upartą walkę o byt, potworną monotonię wrażeń i zrobiło mi się strasznie żal tubylców. W związku z tym oświadczyłem, że opieka nad tą rasą to również bardzo szlachetne i wdzięczne zadanie. Majka nie zgodziła się ze mną, powiedziała, że to zupełnie inna sprawa, że Panta jest skazana na śmierć i że gdyby nie my, ludzie, planeta po prostu przestałaby istnieć, a jeśli chodzi o tutejsze plemiona to jeszcze na dwoje babka wróżyła - czy jesteśmy im potrzebni, czy też i bez nas radzą sobie śpiewająco. To stary spór między nami. Moim zdaniem ludzie wiedzą już wystarczająco dużo, żeby móc powiedzieć, jaki kierunek rozwoju ma przed sobą perspektywa, a jaki nie. A Majka w to wątpi. Uważa, że wiemy przerażająco mało. Weszliśmy w styczność z dwunastoma rozumnymi rasami, a tylko dziewięć z nich to człowiekopodobne. W jakich stosunkach jesteśmy z pozostałymi trzema, chyba nawet sam Gorbowski nie umie powiedzieć. Nie wiemy, czy nawiązaliśmy z nimi kontakt, czy nie, a jeśli nawiązaliśmy, to czy za obopólną zgodą, czy też narzuciliśmy im swoje towarzystwo. Niewykluczone, że tamci w ogóle nie uważają nas za swoich rozumnych braci tylko za niezmiernie rzadkie zjawisko przyrody w rodzaju niezwykłych meteorów. Z humanoidami to co innego, z

nimi wszystko jest jasne - na dziewięć ras tylko trzy zgodziły się mieć z nami coś wspólnego, ale i tak na przykład mieszkańcy Leonidy chętnie dzielą się z nami wszelką informacją. a z naszej grzecznie, ale kategorycznie zrezygnowali. Wydawałoby się zupełnie oczywiste, że quasi-organiczne mechanizmy są ekonomiczniejsze i racjonalniejsze od oswojonych zwierząt, a tymczasem na Leonidzie nie chcą słyszeć o mechanizmach. Dlaczego? Przez czas jakiś dyskutowaliśmy z Majką na ten temat, zaplątaliśmy się w argumentach i niepostrzeżenie diametralnie zmieniliśmy stanowiska (to się mnie i Majce zdarza bardzo często) i wreszcie Majka oświadczyła, że to wszystko zawracanie głowy i że nie o to chodzi. "Czy ty rozumiesz, na czym polega podstawowe zadanie każdego kontaktu? - zapytała. - Czy ty rozumiesz, dlaczego ludzkość już od dwustu lat dąży do nawiązywania kontaktów, cieszy się, kiedy kontakt się uda i martwi się, kiedy nic z tego nie wychodzi?" Oczywiście, że rozumiałem. "Zrozumienie istoty rozumu powiedziałem. Studia nad najwyższym stadium rozwoju przyrody".

- Ogólnie rzecz biorąc masz rację - powiedziała Majka. - Ale to tylko słowa, ponieważ w istocie rzeczy interesuje nas nie problem rozumu jako takiego, ale problem naszego ludzkiego rozumu, inaczej mówiąc najbardziej nas interesujemy my sami. Już od pięćdziesięciu tysięcy lat próbujemy zrozumieć, czym właściwie jesteśmy, ale spojrzenie od wewnątrz uniemożliwia rozwiązanie tego zadania, podobnie jak nie możesz samego siebie podnieść za włosy do góry. Trzeba spojrzeć na siebie z boku, cudzymi oczami, zupełnie cudzymi...

- A po co to komu potrzebne? - zapytałem agresywnie.

- A po to - powiedziała dobitnie Majka - żeby człowiek mógł się stać człowiekiem galaktycznym. Jak ty sobie na przykład wyobrażasz ludzkość za sto lat?

- Jak sobie wyobrażani? - wzruszyłem ramionami. - Tak samo jak i ty... Koniec rewolucji biologicznej, przewyciężenie bariery galaktycznej, wyjście w zero-wszechświat, rozpowszechnienie kontaktowego widzenia, realizacja abstrakcji-P...

- Ja cię nie pytam, jak sobie wyobrażasz osiągnięcia techniczne ludzkości za sto lat. Pytam cię, jak sobie wyobrażasz samą ludzkość za sto lat?

Gapilem się na nią stropiony, nie umiałem uchwycić różnicy. Majka patrzyła na mnie zwycięsko.

- Słyszałeś o teorii Komowa? - zapytała. - Pionowy postęp i tak dalej...

- Pionowy postęp? - coś podobnego obilo mi się o uszy. - Poczekaj... To zdaje się Borowik, Mikawa... Tak? Majka otworzyła szufladę i zaczęła w niej grzebać.

- Kiedy tańczyłeś w barze ze swoją Tatianą, Komow zebrał wszystkich w bibliotece... Masz! - wręczyła mi krystalofon. - Posłuchaj.

Niechętnie przyczepiłem kryształek do ucha. Było to coś w rodzaju wykładu, mówił Komow i nagranie zaczynało się w pół słowa. Komow wykladał niespiesznie, prosto i bardzo przystępnie, dostosowując się widocznie do poziomu audytorium. Wynikało z tego, co następuje:

Ziemiński człowiek rozwiązał wszystkie postawione przed sobą zadania i staje się człowiekiem galaktycznym. Ludzkość sto tysięcy lat wygrzebywała się z jaskini, przez kamienne zwały, przez zarośla, umierała pod lawinami, trafiała w ślepe zaułki, ale zawsze w oddali widać było błękit, światło i cel, i oto wreszcie wydostaliśmy się z kamiennego wąwozu na otwartą przestrzeń, rozpostarło się nad nami błękitne niebo i rozproszyliśmy się po równinie. Tak, równina jest wielka, mamy dokąd iść. Ale teraz widzimy, że to równina, a nad nią jest niebo. Inny, nowy wymiar. Tak, na równinie jest przyjemnie, można dowolnie pracować nad realizacją abstrakcji-P. I wydawałoby się, że żadna siła nie pcha nas w górę, w nowy wymiar... Ale człowiek galaktyczny to nie zwyczajny ziemski człowiek, który żyje w przestrzeniach galaktycznych według ziemskich praw. To już coś więcej. Ma inne cele i kieruje się innymi prawami. A przecież nie znamy ani tych praw, ani tych celów. A więc w istocie rzeczy chodzi o to, żebyśmy sobie zdali sprawę, jaki ma być ideał galaktycznego człowieka. Ideał ziemskiego człowieka powstawał w ciągu tysiącleci z doświadczeń naszych przodków, z doświadczeń wszystkich form życia na naszej planecie. Ideał człowieka galaktycznego najwidoczniej powstanie w oparciu o doświadczenia galaktycznych form życia, z doświadczeń historii istot rozumnych całej galaktyki. Na razie nie wiemy, z której strony należy przystąpić do rozwiązywania tego problemu, a przecież kiedyś będziemy musieli go rozwiązać i to rozwiązać tak, żeby sprowadzić do minimum ilość możliwych błędów i ofiar. Ludzkość nigdy nie stawia przed sobą zadań, których nie jest w stanie rozwiązać. To jest niewątpliwie słuszne, ale może właśnie dlatego takie trudne... Nagranie kończyło się znowu w pół słowa.

Jeśli mam być szczery, nie bardzo to wszystko do mnie przemawiało. Co znowu za galaktyczny ideał? Moim zdaniem ludzie w kosmosie wcale nie stają się ni stąd, ni zowąd jacyś galaktyczni. Powiedziałbym, że na odwrót - ludzie niosą w kosmos Ziemię, ziemski komfort, ziemskie normy, ziemską moralność. Jeśli już o tym mowa, to dla mnie i dla wszystkich moich znajomych ideałem przyszłości jest nasza maleńka planetka, której udało się osiągnąć granice Galaktyki, a która kiedyś może nawet potrafi je przekroczyć. Ale kiedy próbowałem wyłożyć Majce swoje poglądy, zauważyliśmy, że w kajucie - już zapewne od jakiegoś czasu -

jest również Van der Hoose. Stał oparty o ścianę, skubał swe rysie bokobrody i wpatrywał się w nas zamglonym i roztargnionym wzrokiem zadumanego wielbłąda. Wstałem i podałem mu krzesło.

- Dziękuję - powiedział Van der Hoose - wolę sobie postać.

- A co ty o tym myślisz? - wojowniczo zapytała Majka.

- O czym?

- O pionowym postępie.

Van der Hoose milczał czas jakiś, następnie westchnął i powiedział:

- Nie wiadomo, kto pierwszy odkrył wodę, ale jest pewne, że nie zrobiły tego ryby.

Zamyśliliśmy się głęboko. Potem Majka rozpromieniła się, podniosła palec i powiedziała:

- O!

- To nie ja wymyśliłem - z melancholią wyznał Van der Hoose. - To bardzo stary aforyzm. Od dawna mi się podobał, ale ciągle nie miałem okazji, żeby go przytoczyć. - Przerwał na chwilę, a później powiedział: W związku z dziennikiem pokładowym. Wyobraźcie sobie, że rzeczywiście istniał taki przepis.

- Jaki dziennik pokładowy? zapytała Majka. - Co ma w tym wspólnego dziennik pokładowy?

- Komow prosił, żebym znalazł instrukcje dotyczące okoliczności, w których należy zniszczyć dziennik pokładowy - smutnie wyjaśnił Van der Hoose.

- No i co? - zapytaliśmy jednocześnie.

Van der Hoose znowu przez chwałę milczał, a potem machnął ręką.

- Hańba - powiedział. - Okazuje się, że jest taki przepis. A ściśle mówiąc był. W starym "Zbiorze instrukcji". W nowym nie ma. Skąd mogłem wiedzieć? Nie jestem historykiem...

Popadł w dłuższą zadumę. Majka kręciła się niecierpliwie.

- Tak powiedział Van der Hoose. A więc jeżeli uległeś katastrofie na nieznanym planecie zamieszkałej przez rozumnych ahumanoidów lub też humanoidów w stadium wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej, jesteś obowiązany zniszczyć wszystkie mapy kosmiczne i dzienniki pokładowe.

Spojrzeliliśmy z Majką po sobie.

- Biedak, dowódca statku - mówił dalej Van der Hoose - musiał znać na pamięć wszystkie stare przepisy.

Ten ma co najmniej ze dwieście lat, wymyślono go w zaraniu astronautyki, wymyślono z głowy, starając się wszystko przewidzieć. A czy można przewidzieć wszystko? - westchnął. - Oczywiście, można było się domyśleć, co się stało z tym dziennikiem pokładowym. Na przykład Komow się domyślił... A wiecie, jak zareagował, kiedy mu powiedziałem, o co chodzi?

- Nie - powiedziałem. - Jak?

- Kiwnął głową i przeszedł do następnej sprawy - powiedziała Majka.

Van der Hoose spojrzał na nią z podziwem.

- Zgadłaś! - powiedział. - Właśnie kiwnął i właśnie przeszedł. Ja bym na jego miejscu przez cały dzień puszył się jak paw, że jestem taki domyślny...

- No i co z tego wynika? - zapytała Majka. - Wynika, że jest to albo rasa ahumanoidalna, albo humanoidalna w stadium wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej. Nic nie rozumiem. Ty coś rozumiesz? - zwróciła się do mnie.

Bardzo mnie bawi, kiedy Majka z dumą oświadcza, że nic nie rozumie. Sam tak często robię.

- Podjechali do statku na rowerach - powiedziałem.

Majka niecierpliwie machnęła dłonią.

- Cywilizacji technicznej tu nie ma - wymamrotała pod nosem. - Ahumanoidów również...

Głos Komowa przez głośnik polecił:

- Van der Hoose, Głumowa, Popow! Wszyscy na mostek.

- Zaczęło się! - zrywając się na równe nogi powiedziała Majka.

Jednocześnie wpadliśmy na mostek. Komow stał przy stole i wkładał do plastikowego futerału podręczny przekaźnik. Sądząc z położenia przełączników, przekaźnik był podłączony do pokładowego komputera.

Twarz Komowa miała niezwykły u niego wyraz zatroskania, była bardzo ludzka, pozbawiona właściwego mu lodowatego skupienia.

- Teraz wychodzę - oznajmił. - Pierwszy zwiad. Jakub, ty przejmiesz dowództwo. Najważniejsze jest zapewnienie ciągłej obserwacji i niezakłóconej pracy pokładowego komputera. Jeśli się pojawią tubylcy, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Proponuję dyżurować przy ekranach na trzy zmiany. Majka, niezwłocznie obejmij dyżur przy ekranach. Staszek, tam leżą moje depesze. Proszę je nadać jak najszybciej. Myślę, że nie ma potrzeby tłumaczyć, dlaczego nikt nie powinien opuszczać statku. To wszystko. Bierzmy się do roboty.

Usiadłem przy radiostacji i zabrałem się do roboty. Komow i Van der Hoose cicho rozmawiali o czymś za moimi plecami. Majka na drugim końcu mostku regulowała ekrany panoramiczne. Przejrzałem depesze.

Tak, póki rozwiązywaliśmy problemy filozoficzne, Komowa nieźle szarpali. Prawie wszystkie depesze to

były odpowiedzi. Hierarchię ważności w braku specjalnych poleceń ustanawiałem sam.

EZ-2, KOMOW CENTRUM, GORBOWSKI. DZIĘKUJĘ ZA ZASZCZYTNĄ PROPOZYCJĘ, NIE CZUJĘ SIĘ W PRAWIE ODRYWAĆ CIĘ OD ZNACZNIE WAŻNIEJSZYCH ZAJĘĆ, O WSZYSTKICH SZCZEGÓŁACH BĘDĘ INFORMOWAĆ NA BIEŻĄCO.

EZ-2, KOMOW - CENTRUM, BADER. NIE MOGĘ PRZYJAĆ STANOWISKA GŁÓWNEGO KSENOLOGA PROJEKTU "ARKA". REKOMENDUJĘ AMIRADŻIBI.

EZ-2, KOMOW - BAZA, SIDOROW BŁAGAM, UCHRONŃ MNIE PRZED OCHOTNIKAMI.

EZ-2, KOMOW - EUROPEJSKI OŚRODEK PRASOWY, DOMBINI. OBECNOŚĆ WASZEGO KOMENTATORA NAUKOWEGO NA EZ-2 JEST NIEPOŻĄDANA. O INFORMACJE PROSZĘ ZWRACAĆ SIĘ DO CENTRUM, KOMISJA DO SPRAW KONTAKTÓW.

I tak dalej, i tak dalej. Pięć depeesz było do Centralnego Ośrodka Informacyjnego. Nie zrozumiałem z nich ani słowa.

Moja praca była w pełnym toku, kiedy znowu zatrzeszczał deszyfrator.

- Skąd? - zapytał Komow z drugiego końca mostku. Stał obok Majki i obserwował okolicę.

- "CENTRUM WYDZIAŁ HISTORYCZNY..." - przeczytałem.

- Nareszcie! - powiedział Komow i zbliżył się do mnie.

...PROJEKT "ARKA" - czytałem. - EZ-2. VAN DER HOOSE, KOMOW. INFORMACJA. STATEK KTÓRY ZNALEŻLIŚCIE NUMER

REJESTRACYJNY..... TO EKSPEDYCYJNY

GWIAZDOLOT "PIELGRZYM". PORT MACIERZYSTY DEJMOS, WYSTARTOWAŁ DRUGIEGO STYCZNIA DWIEŚCIE TRZYDZIESTEGO PIERWSZEGO ROKU NA WOLNY REKONESANS DO STREFY "C". OSTATNI

SYGNAŁ ZOSTAŁ ODEBRANY SZÓSTEGO MAJA DWIEŚCIE TRZYDZIESTEGO CZWARTEGO ROKU Z OBSZARU "CIEN". ZAŁOGA: SIEMIONOWA MARIA-LUIZA I SIEMIONOW ALEKSANDER PAWŁOWICZ. OD DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO KWIETNIA DWIEŚCIE TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO ROKU PASAŻER: SIEMIONOW PIERRE ALEKSANDRO-WICZ. ARCHIWUM "PIELGRZYMA"...

Tam było coś jeszcze, ale nagle Komow roześmiał się za moimi plecami, a ja odwróciłem się z niesłychanym zdumieniem. Komow śmiał się, Komow promieniał.

- Tak właśnie myślałem! - powiedział z triumfem, a my wszyscy gapiliśmy się na niego z otwartymi ustami.

- Tak właśnie myślałem! To człowiek! Rozumiecie! To jest człowiek!

Rozdział V

LUDZIE I NIELUDZIE

- Wszyscy na miejsca! - wesoło rozkazał Komow, złapał futerały z aparaturą i wyszedł. Spojrzałem na Majkę. Majka stała jak słup, wzrok miała zamglony i bezdźwięcznie poruszała wargami - starała się coś zrozumieć. Spojrzała na Van der Hoosę. Brwi miał uniesione niezmiernie wysoko, baki bojowo sterczały i po raz pierwszy od kiedy go znałem, nie był podobny do ssaka tylko do ryby-diabła morskiego, wyciągniętego z wody. Na ekranie obserwacyjnym Komow obwieszony aparatami rzeško maszerował wzdłuż budowy w stronę bagna.

- Tak-tak! - powiedziała Majka. - A więc dlatego były tam zabawki...

- Dlaczego? - żywo zainteresował się Van der Hoose.

- On się nimi bawił - wyjaśniła Majka.

- Kto? - zapytał Van der Hoose. - Komow?

- Nie. Siemionow.

- Siemionow? - ze zdumieniem powtórzył Van der Hoose. - Hm... No i co z tego?

- Siemionow-junior powiedziałem niecierpliwie. - Pasażer. Dziecko.

- Jakie dziecko?

- Dziecko Siemionowów powiedziała Majka. - Teraz rozumiesz, po co im było urządzenie szyjące?

Czepeczki, różne tam kaftaniki, śpioszki...

- Śpioszki! - powtórzył wstrząśnięty Van der Hoose. - A więc urodziło się im dziecko! Tak-tak-tak! A ja się dziwiłem, skąd oni wzięli pasażera i to na dodatek o tym samym nazwisku! Nawet mi do głowy... Ależ oczywiście!

Rozległ się sygnał wywoławczy. Machinalnie odpowiedziałem. To był Wadik. Mówił szybko i półgłosem, widocznie bał się, że go nakryją.

- Co tam u was, Staszek? Tylko szybko, zaraz startujemy...

- Szybko się nie da - powiedziałem z niezadowoleniem.

- Spróbuj w dwóch słowach. Znaleźliście Statek Wędrowców?
- Jakich Wędrowców? - zdumiałem się. - Gdzie?
- No tych... których szuka Gorbowski.
- Kto znalazł?
- Znaleźliście przecież ten statek? - głos Wadika nagle się zmienił. - Sprawdzam linię - powiedział surowo. - Proszę się wyłączyć.

- Co tam znowu znaleźli? - zapytał Van der Hoose. - Jaki znów statek?
Machnąłem ręką.

- To tylko tak, jacyś ciekawscy... A więc on się urodził w kwietniu trzydziestego trzeciego, a ostatni sygnał nadali w maju trzydziestego czwartego... Jak często powinni byli wychodzić w eter, Jakubie?

- Raz na miesiąc - powiedział Van der Hoose. - Jeżeli statek udaje się na wolny rekonesans...

- Chwileczkę - powiedziałem. - Maj, czerwiec...

- Trzynaście miesięcy - powiedziała Majka.

Nie uwierzyłem i policzyłem sam.

- Tak - powiedziałem.

- Nie do uwierzenia, prawda?

- Co nie do uwierzenia? - ostrożnie zapytał Van der Hoose.

- W dniu katastrofy powiedziała Majka - dziecko miało trzynaście miesięcy. Jak ono wyżyło?

- Tubylcy - powiedziałem. - Siemionow stał dziennik pokładowy. To znaczy, że kogoś zobaczył... I po co było na mnie czekać! To był prawdziwy płacz dziecka! Co ja, rocznych dzieci nie słyszałem?... Tubylcy to wszystko nagrali, a kiedy wyrósł, dali mu przesłuchać...

- Żeby nagrać, trzeba dysponować techniką - powiedziała Majka.

- No, to nie nagrali, tylko zapamiętali - powiedziałem. - To nie jest takie ważne.

- Aha - odezwał się Van der Hoose. - Siemionow zobaczył ahumanoidów albo humanoidów w stadium rozwoju cywilizacji technicznej. I dlatego stał dziennik pokładowy. Zgodnie z instrukcją.

- To tutaj nie przypomina cywilizacji technicznej - powiedziała Majka.

- W takim razie rasa ahumanoidalna... - Nagle do mnie dotarło. - Słuchajcie - powiedziałem - skoro tak, to mamy do czynienia z czymś tak niezwykłym, że słów mi brak... Człowiek-pośrednik, rozumiecie? On jest człowiekiem i nie jest nim, humanoid i ahumanoid! Czegoś takiego jeszcze nigdy nie było. O czymś takim nikt nawet by nie śmiał marzyć!

Opanowało mnie uniesienie. Majkę też. Perspektywy oślepiły nas - były mgliste, niejasne, ale nieodmiennie wspaniałe. Szło nie tylko o to, że po raz pierwszy w historii stał się możliwy i prawie pewny kontakt z ahumanoidami. Ludzkość otrzymała unikalne zwierciadło, przed ludzkością otwierały się drzwi i niedostępny do tej pory, hermetycznie zamknięty świat diametralnie odmiennej psychologii i niesprecyzowane teorie pionowego postępu Komowa mogły wreszcie otrzymać eksperymentalne podstawy...

- Z jakiej racji oni mieliby niańczyć ludzkie dziecko? - w zadumie zapytał Van der Hoose. - Po co im to? I czy w ogóle potrafiliby coś takiego zrobić?

Perspektywy nieco przyblakły, ale Majka natychmiast powiedziała z wyzwaniem:

- Na Ziemi są znane przypadki, kiedy nawet nierozumne istoty wychowywały ludzkie dzieci.

- Tak, ale to na Ziemi! - powiedział Van der Hoose smutnie.

Miał rację. Wszystkie znane rozumne rasy ahumanoidalne były bez porównania odleglejsze od człowieka niż wilki, niedźwiedzie czy nawet ośmiornice. Taki poważny specjalista jak Kriiger twierdził przecież, że rozumne mięczaki Harroty nie uważają człowieka wraz z jego całą techniką za część realnego świata, ale za produkt swej niewyobrażalnej wyobraźni...

- Niemniej jednak on ocalał i wyrósł! - powiedziała Majka.

I też miała rację.

Jestem człowiekiem z natury dosyć sceptycznym. Nie lubię zapędzać się i przesadnie fantazjować, przeciwnie niż Majka. Ale tym razem to było jedyne rozsądne wytłumaczenie. Roczne dziecko. Lodowata pustynia. Sam jeden. Przecież jasne jest, że nie mógł żyć o własnych siłach. A z drugiej strony starty dziennik pokładowy. Co tu jeszcze można wymyśleć? Jacyś humanoidalni przybysze z kosmosu przypadkowo znaleźli się w pobliżu, odchowali dzieciaka, a potem odlecieli... Nonsens!

- A może on nie przeżył? - zapytała Majka. - Może po nim został tylko jego płacz i głosy rodziców?

Na sekundę wydało mi się, że wszystko przepadło. Ta Majka musi zawsze coś wymyśleć! Ale natychmiast znalazłem kontrargumenty:

- A jak on dostaje się na statek? Jak wydaje rozkazy moim robotom? Nie, moi drodzy - albo spotkaliśmy w kosmosie dokładną, rozumiecie, idealnie dokładną replikę ludzkości albo też jest to kosmiczny Mowgli. Nie wiem, co jest bardziej nieprawdopodobne.

- I ja nie wiem - powiedziała Majka.

- Ani ja - dodał Van der Hoose.

W głośniku odezwał się głos Komowa:

- Na pokładzie! Wyszedłem na stanowisko. Nie przerywać obserwacji. Stąd widzę bardzo niewiele.

Nadeszły jakieś depesze?

Zajrzałem.

- Cała paczka - powiedziałem.

- Cała paczka - powiedział Van der Hoose w mikrofon.

- Staszek, czy nadałeś moje radiogramy?

- A... jeszcze nie wszystkie - odpowiedziałem pośpiesznie, siadając przy radiostacji.

- Jeszcze nie wszystkie - oświadczył Van der Hoose w mikrofon.

- Burdel na pokładzie! - stwierdził Komow. - Kończcie filozofowanie i bierzcie się do roboty. Majka, pilnuj ekranów. Zapomnij o wszystkim i pilnuj ekranów. Popow, żeby moja ostatnia depesza za dziesięć minut była w eterze. Jakub, przeczytaj, co tam do mnie przyszło...

Kiedy skończyłem nadawać i rozejrzałem się, wszyscy byli zajęci swoimi sprawami. Majka siedziała przy ekranach - na jednym było widać Komowa - małeńka figurka przy samym brzegu bagna, nad trzęsawiskiem falowała mgła i żadnego innego ruchu w promieniu siedmiu kilometrów nie dało się zauważyć. Komow siedział plecami do nas prawdopodobnie oczekiwał, że nasz Mowgli wyjdzie z bagna. Majka powoli odwracała głowę z boku na bok, przepatrując okolicę i od czasu do czasu dawała maksymalne powiększenie, kiedy jakiś odcinek wydawał się jej podejrzany, i wtedy na ekranach małych monitorów pojawiał się przywiedły krzak albo liliowy cień wydmy na roziskrzonym piasku, albo nie wyjaśniona plama w rzadkiej szczecinie karłowatych drzew.

Van der Hoose monotonicznie buczał w mikrofon: „... wariant psychotypu dwukropek szesnaście N na trzydzieści dwa dzeta albo szesnaście em... jak mama... na trzydzieści jeden ipsylon...” - "Starczy - mówi Komow - następna". - „Ziemia Londyn Cartwright szanowny kolego Giennadij jeszcze raz przypominam o obietnicy zaopiniowania...” "Starczy. Następna". - "Centrum prasowe..." - "Starczy. Czytaj tylko to, co przyszło z Centrum albo z Bazy", Pauza. Van der Hoose przegląda kartki. "Centrum Bader zamówiona aparatura idzie zero transportem na Bazę proszę przysłać pańskie wstępne założenia według punktów pierwszy inne przypuszczalne strefy rozmieszczenia tubylców..." - "Starczy. Dalej..."

W tym momencie wezwała mnie Baza. Sidorow chciał mówić z Komowem.

- Komow jest na kontakcie - powiedziałem z przykrością.

- Kontakt się zaczął?

- Jeszcze nie. Czekamy. Sidorow zakasłał.

- No dobrze, później się z nim połączę. To nic pilnego. - Na chwilę zamilkł. - Denerwujecie się?

Zastanowiłem się, jak sprecyzować swoje wrażenia.

- Nie żebyśmy się denerwowali... Tylko jakoś straszno. Jak we śnie. Jak w bajce.

Sidorow westchnął.

- Nie będę wam przeszkadzać - powiedział. - Życzę powodzenia.

Podziękowałem. Następnie położyłem łokcie na pulpicie, wsparłem brodę na dłoniach i znowu próbowałem określić swoje wrażenia. Tak bardzo to dziwne. Człowiek i nieczłowiek. Właściwie to nie można go nazwać człowiekiem. Ludzkie dziecko wychowane przez wilki wyrasta na wilka. Przez niedźwiedzie - na niedźwiedzia. A gdyby do wychowywania takiego malca zabrała się ośmiornica? Zamiast zjeść zaczęłaby go wychowywać... Zresztą nawet nie o to chodzi. I wilk, i niedźwiedź, i ośmiornica - są pozbawione rozumu. W każdym razie tego, co ksenologowie zwykli nazywać rozumem. A jeśli naszego Mowgli wychowały istoty rozumne, ale jednocześnie do pewnego stopnia ośmiornice? A nawet znacznie bardziej nam obce niż ośmiornice... A przecież to one nauczyły go wytwarzania obronnych fantomów mimikry - ludzki organizm nie dysponuje niczym, co umożliwiłoby takie sztuki, a więc nauczono go tego specjalnie... Poczekajcie, a po co mu mimikra? Przed kim on ma się bronić? Planeta jest przecież pusta! A więc nie jest pusta.

Wyobraziłem sobie ogromne jaskinie, zalane widmowym liliowym światłem, ponure zaułki, w których czai się śmiertelne niebezpieczeństwo, i małego chłopca skradającego się wzdłuż lepkiej ściany, gotowego w każdej chwili zniknąć, roztopić się w niepewnym blasku i porzucić na pastwę wroga tylko swój drgający niewyraźny cień. Biedny mały! Trzeba go natychmiast stąd zabrać!... Stop. To wszystko zawracanie głowy. Tak nigdy nie bywa. Nigdy nie jest tak, żeby istniało złożone rozumne życie na wysokim szczeblu rozwoju i żeby wokół niego nie kipiało życie inne mniej skomplikowane, bardziej uproszczone, zwykłe głupie życie. Ile tu odkryto gatunków żywych istot? Ni to jednaście, ni to dwanaście - a rozpiętość od wirusa do ludzkiego dziecka. Coś tu nie gra. Dobra, niedługo się dowiemy. Mały nam wszystko opowie. A jeśli nie opowie? Czy ludzkie wilczęta dużo opowiedziały ludziom o wilkach? A więc na co liczy Komow? Ogarnęło mnie pragnienie, żeby zaraz, natychmiast zapytać Komowa, na co właściwie liczy?

Van der Hoose odczytał ostatnią depezę, wyciągnął się w fotelu, założył dłonie na kark i powiedział w zadumie:

- Przecież ja znałem Siemionowów. Muszę wam powiedzieć, że to byli wspaniali i zarazem bardzo dziwni ludzie. Romantycy. Oczywiście, Szura znał wszystkie starodawne prawa i wiecznie je cytował. Nam wydawały się śmieszne i głupie, ale on znajdował w nich jakiś urok... Katastrofa, agonia, na statek wdzierają się straszne potwory... Zniszczyć dziennik pokładowy, zatrzeć swój ślad w przestrzeni - przecież na drugim końcu śladu jest Ziemia! Tak, to bardzo do niego podobne. - Van der Hoose zamilkł. - Zresztą takich, którzy szukają samotności, jest znacznie więcej, niż nam się zdaje. Przecież samotność to nie taka zła rzecz, jak sądzicie?

- Nie dla mnie - krótko powiedziała Majka nie odrywając oczu od ekranu.

- To dlatego, że jesteś młoda - powiedział Van der Hoose. - W twoim wieku Szura Siemionow też lubił się przyjaźnić z wieloma ludźmi, po to, by wielu ludzi przyjaźniło się z nim. I po to, żeby razem pracować - w dużym wesołym towarzystwie. I żeby organizować tajfuny mózgów i pracować na najwyższych obrotach, żeby ze wszystkimi współzawodniczyć, wszystko jedno w jakiej dziedzinie - w skokach na skrzydłach, w ilości dowcipów na jednostkę czasu, w zapamiętywaniu ogromnych tablic matematycznych... we wszystkim. A wi przerwach śpiewać na całe gardło pod neofon piosenki własnego pióra... - Van der Hoose westchnął. - Ale później to zwykle mija, kiedy przychodzi pierwsza prawdziwa miłość... Zresztą ja akurat niewiele wiem na ten temat. Wiem tylko, że w dwudziestym pierwszym roku Szura z Mary weszli w skład grupy wolnego rekonesansu. Od tego czasu właściwie już ich więcej nie widziałem. Tylko raz jeden rozmawiałem z nimi jeszcze przez wideo... Byłem wtedy dyspozytorem i Szura prosił o pozwolenie na start z Pandory. - Van der Hoose znowu westchnął. - Nawiasem mówiąc, ojciec Szury, Paweł Aleksandrowicz, żyje do dzisiaj. Trzeba będzie koniecznie do niego wpaść, kiedy wrócimy... - Umilkł na chwilę. - Jeśli chcecie wiedzieć - oświadczył - zawsze byłem przeciwnikiem wolnego rekonesansu. Archaizm. Włóczą się samotnie po kosmosie, zewsząd grozi niebezpieczeństwo, pożytek dla nauki minimalny, a czasami nawet przeszkadzają innym... Pamiętacie historię z Kamerherrem? Tacy jak on udają, że kosmos już jest opanowany, że my ludzie czujemy się w kosmosie jak w domu. To nieprawda. I nigdy nie będzie prawdą. Kosmos zawsze będzie kosmosem, a człowiek zawsze zostanie tylko człowiekiem. Będzie dysponował coraz większym doświadczeniem, ale nawet największe doświadczenie nie sprawi, że kosmos stanie się naszym domem... Moim zdaniem Szura i Mary w końcu niczego w kosmosie nie znaleźli, w każdym razie niczego takiego, o czym warto by opowiadać choćby podczas obiadu w niesie.

- Ale za to byli szczęśliwi - nie odwracając głowy powiedziała Majka.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo inaczej by wrócili! Nie musieli niczego szukać, i tak byli szczęśliwi? - Majka gniewnie spojrzała na Van der Hoosego. - Czego w ogóle warto szukać oprócz szczęścia?

- Mógłbym ci odpowiedzieć, że ten, kto jest szczęśliwy, niczego nie szuka - powiedział Van der Hoose - ale nie jestem przygotowany do takich głębokich rozważań, zresztą i ty również, nie sądzisz? Wcześniej czy później, zaczniemy przenosić pojęcie szczęścia na ahumanoidów...

- Na pokładzie! - rozległ się głos Komowa. - Nie przerywać obserwacji!

- To właśnie chciałem powiedzieć - stwierdził Van der Hoose i Majka znowu się odwróciła.

Teraz patrzyliśmy na ekrany wszyscy troje. Słońce było całkiem nisko, wisiało nad samymi szczytami i na wzgórzach leżały już cienie. Jarzył się blaskiem pas startowy, czapa mgły nad grzędawiskiem zdawała się ciężka i nieruchoma, a sam jej czubek prześwietlony słonecznym światłem nabrał barwy jaskrawofioletowej. Wszystko wokół było nieruchome, nawet Komow.

- Piąta godzina - niegłośno powiedział Van der Hoose. - Czy to przypadkiem nie pora na obiad? Giennadij, kiedy chcesz jeść?

- Nic mi nie potrzeba - powiedział Komow. - Wszystko, co może się przydać, zabrałem ze sobą. Ale wy zjedzcie, potem możecie mieć co innego na głowie.

Wstałem.

- Idę gotować. Co zamawiacie?

W tym momencie odezwał się Van der Hoose.

- Widzę.

- Gdzie? - natychmiast zapytał Komow.

- Idzie brzegiem w naszym kierunku od strony lodowca. Jakies sześćdziesiąt stopni w lewo, jeśli patrzeć od ciebie w stronę statku.

- Aha - powiedziała Majka. - Ja też widzę. Idzie rzeczywiście.

- Nie widzę! - niecierpliwie powiedział Komow. - Podajcie współrzędne według dalmierza.

Van der Hoose wsunął twarz w ramę dalmierza i podyktował współrzędne. Teraz ja też zobaczyłem - samym skrajem czarnej wody, bez pośpiechu, jakby niechętnie, posuwała się w stronę statku zielonkawa, dziwnie

przekrzywiona figurka.

- Nie, nie widzę - powiedział Komow z irytacją. - Mówcie, co widzicie.

- A więc... - zaczął Van der Hoose i odkaslnął. - Idzie powoli, patrzy na nas., niesie naręcz jakichś patyków... przystanął... grzebie stopą w piasku... Drrr, w taki mróz, zupełnie nago... Ruszył dalej... Patrzy w twoją stronę, Giennadij... Ciekawe, jego budowa anatomiczna jest odmienna od naszej, a ściślej niezupełnie taka sama... Znowu się zatrzymał i bez przerwy patrzy w naszą stronę. Czy go naprawdę nie widzisz, Giennadij? Przecież on jest prosto na twoim trawersie, bliżej ciebie niż nas...

Pierre Aleksandrowicz Siemionow, kosmiczny Mowgli, zbliżał się. Teraz odległość między nami wynosiła ze dwieście metrów i kiedy Majka powiększała obraz na monitorze, można było nawet zobaczyć jego rzęsy. Zachodzące słońce "właśnie wyjrzało przez szczelinę między dwoma szczytami, znowu zrobiło się zupełnie widno i długie cienie legły na zastygłej plaży.

To było dziecko, dwunastoletni chłopiec, niezgrabny wyrostek, kościsty, długonogi, miał chude ramiona i ostre łokcie, ale na tym kończyło się podobieństwo do ziemskiego nastolatka. Już jego twarz nie była dziecinna - rysy ludzkie, ale absolutnie nieruchome, skamieniałe, zastygłe jak maska. Tylko jego oczy były żywe, wielkie i ciemne, strzelał nimi na prawo i na lewo, jakby przez otwory w masce. Uszy miał wielkie, odstające, prawe znacznie większe niż lewe, a od lewego ucha, przez szyję, do obojczyka ciągnęła się ciemna nierówna blizna - ślad po głębokiej źle zagojonej ranie. Rudawe skołtunionie włosy spadały mu na twarz i ramiona, sterczały w różne strony, a zadzierzasty czub powiewał na czubku głowy. Nieprzyjemna, budząca grozę twarz, w dodatku w trupim sinozielonym odcieniu, błyszczące, jakby wysmarowana jakimś tłuszczem. Zresztą nie tylko twarz, całe jego ciało tak lśniło. Był zupełnie nagi i kiedy podszedł bardzo blisko do statku i rzucił na piasek naręcz patyków, zobaczyliśmy, jaki jest żyłasty, bez śladu tej wzruszającej dziecięcej bezbronności. Tak, był kościsty, ale nie chudy, zadziwiająco, po dorosłymu silny, nie muskularny, nie atletyczny, ale właśnie żyłasty i jeszcze zobaczyliśmy blizny po szarpanych ranach - na lewym boku od żeber do samego biodra - właśnie dlatego był taki przekrzywiony - jeszcze jedną na prawej nodze i głębokie wgłębienie na klatce piersiowej. Tak, widać nie było mu tu łatwo. Planeta starannie modelowała i kasała ludzkie dziecko, ale w końcu widocznie dostosowała je do siebie.

Był teraz dwadzieścia kroków przed martwym polem. Patyki leżały u jego nóg, a on stał opuściwszy ręce i patrzył na statek. Oczywiście nie mógł widzieć obiektów, ale wydawało się, że patrzył nam prosto w oczy. I stał też nie jak człowiek. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Po prostu ludzie nie stoją w takiej pozie. Nigdy. Ani wtedy, kiedy odpoczywają, ani kiedy oczekują na coś, ani kiedy się boją. Lewą nogę lekko zgiętą w kolanie odstawił odrobinę do tyłu, ale całym swym ciężarem spoczywał właśnie na niej. I do przodu wysunął również lewe ramię. Podobną pozę na mgnienie oka przybiera człowiek, który chce rzucić dyskiem - ale długo tak nie wystoisz, to bardzo niewygodnie, zresztą też nieładnie wygląda, on zaś stał tak i stał przez kilka minut, a potem nagle przysiadł i zaczął przekładać swoje patyki. Powiedziałem - przysiadł, ale to nie jest ściśle - oparł się na lewej nodze, prawą zaś, nie zginając jej, wysunął do przodu - nawet patrzeć na niego było niewygodnie, szczególnie kiedy pomagając sobie palcami prawej stopy zaczął wojować z patykami. Potem uniósł twarz i wyciągnął ku nam ręce - w każdej dłoni trzymał po patyku i wtedy zaczęło się coś takiego, czego w ogóle nie podejmuję się opisać.

Mogę powiedzieć tylko tyle - twarz jego ożyła, nie po prostu ożyła - eksplodowała życiem. Nie wiem, czy człowiek ma dużo mięśni na twarzy, ale u niego wszystkie, ile ich tam jest, poszły w ruch i każdy mięsień poruszał się samodzielnie, nieprzerwanie i w sposób niezmiernie skomplikowany. Nie wiem do czego to porównać. Być może do wody, którą marszczy wiatr w blasku słońca, tylko że zmarszczki na wodzie są jednostajne i chaotyczne, jednostajne w swoim chaosie, a tu przez fajerwerk mikroskopijnych drgań przezierał jakiś określony rytm, jakiś celowy ład. To nie były chorobliwe, konwulsyjne drgawki mięśni, agonia, panika. To był taniec, jeżeli można tak się wyrazić. I taniec ten zaczął się od twarzy, następnie zatańczyły ramiona, pierś, zaśpiewały ręce i suche patyki zadygotały w zaciśniętych pięściach, zaczęły walczyć, przeplatać się i krzyżować - z szelestem, terkotem, stukotem werbla - jakby tysiące świerszczy urządziło sobie pod statkiem wiec. Trwało to nie dłużej niż minutę, ale przed oczami zaczęły mi latać plamy i niemal ogłuchłem. A potem zaczęło ucichać. Taniec i śpiew z patyków wsączył się w dłonie, z dłoni w ramiona wreszcie w twarz i wszystko się skończyło. Znowu patrzyła na nas nieruchoma maska. Chłopiec lekko wstał, przeskoczył przez wiązkę patyków i nagle zniknął w martwym polu.

- Dlaczego nic nie mówicie? - krzyczał Komow. - Jakub! Jakub! Czy mnie słyszysz? Dlaczego milczycie? Co się stało?

Van der Hoose odezwał się nie od razu.

- Nie podejmuję się ci opowiedzieć - powiedział. - Może któreś z was?

- On rozmawiał! - oznajmiła Majka zduszonym głosem. - On w ten sposób rozmawiał!

- Słuchajcie! - powiedziałem. - A może on poszedł do włazu?

- Możliwe - powiedział Van der Hoose. - Giennadij, chłopiec wszedł w martwe pole. Możliwe, że poszedł

do włazu...

- Obserwujcie właz - szybko polecił Komow. - Jeżeli on wejdzie, natychmiast mnie zawiadomcie, a sami zamknijcie się na mostku... - Zamilkł. - Czekam na was za godzinę - powiedział innym totem, jakby obok mikrofonu. - Godzina wam wystarczy?

- Nie zrozumiałem - powiedział Van der Hoose.

- Zamknijcie się na mostku! - z rozdrażnieniem krzyknął Komow w mikrofon. - Rozumiesz? Zamknijcie się, jeżeli on wejdzie na statek!

- To zrozumiałem - powiedział Van der Hoose. - Ale gdzie na nas czekasz za godzinę?

Nastąpiło milczenie.

- Czekam na was za godzinę - znowu odwróciwszy się od mikrofonu rzeczowo powtórzył Komow. - Godzina wam wystarczy?

- Gdzie? - zapytał Van der Hoose. Gdzie na nas czekasz?

- Jakub, słyszysz mnie? - głośno i z niepokojem zapytał Komow.

- Słyszę cię bardzo dobrze - powiedział Van der Hoose i spojrzał na nas stropiony. - Powiedziałeś, że czekasz na nas za godzinę. Gdzie?

- Ja nie mówiłem... - zaczął Komow, ale tu przerwał mu głos Van der Hoose, podobnie przygłuszony, jakby bardzo daleko od mikrofonu:

- Czy nie czas na obiad? Staszek pewnie nie może się nas doczekać, jak sądzisz, Majka?

Majka zachichotała nerwowo.

- To przecież on... - powiedziała pokazując palcem ekran. - To przecież on... tam...

- Jakub, co się u was dzieje? - ryknął Komow.

Dziwny głos, nawet nie od razu zorientowałem się czyj, powiedział:

- Ja cię, staruszkule, wyleczę, na nogi postawię, zrobię z ciebie człowieka...

Majka ukryła twarz w dłoniach, brodę wcisnęła w kolana i dławiała się nerwowym śmiechem.

- Nic takiego się nie dzieje, Giennadij - powiedział Van der Hoose wycierając chusteczką spocone czoło. - Nieporozumienie. Klient rozmawia naszymi głosami. Słyszemy go przez zewnętrzne mikrofony. Zaszło małe nieporozumienie, Giennadij.

- Widzicie go?

- Nie... Zresztą właśnie się pokazał.

Chłopiec znowu stał przy swoich patykach, już w innej, ale równie niewygodnej pozycji. Znowu patrzył nam prosto w oczy. Potem otworzył usta, dziwnie wykrzywił wargi, pokazując zęby i dziąsła w lewym kącie ust i usłyszeliśmy głos Majki:

- Koniec końców, gdybym miała twoje bokobrody, być może mój stosunek do życia byłby zupełnie odmienny...

- Teraz przemawia głosem Majki - z niezmaconym spokojem oznajmił Van der Hoose. - A teraz spojrzał w naszą stronę. Ciągle jeszcze go nie widzisz?

Komow milczał. Chłopiec stał z głową zwróconą w jego stronę, całkowicie nieruchomy, jakby skamieniały - dziwaczna sylwetka w gęstniejącym mroku. I nagle zrozumiałem, że to nie on. Sylwetka rozmywała się. Można już było zobaczyć skrawek ciemnej wody.

- Aha, widzę! - z zadowoleniem powiedział Komow. - Stoi jakieś dwadzieścia kroków od statku, tak?

- Tak - powiedział Van der Hoose.

- Nie tak - powiedziałem.

Van der Hoose przyjrzał się uważnie.

- Rzeczywiście, chyba nie tak... przyznał. - To chyba będzie... jak ty to nazywasz, Giennadij? Fantom?

- Poczekaj - powiedział Komow. - Teraz go widzę naprawdę. Zbliża się do mnie.

- Widzisz go? - zapytała Majka.

- Nie - odparłem. - Już jest ciemno.

- To nie dlatego, że ciemno - powiedziała Majka.

Zapewne miała rację. Słońce wprawdzie już zaszło i mrok zgęstniał, ale Komowa na ekranie rozróżniałem, wyraźnie widziałem topniejący fantom i pas startowy, ale chłopca już nie mogłem zobaczyć.

Potem zauważyłem, że Komow usiadł.

- Zbliża się - powiedział półgłosem. - Teraz będę zajęty. Nie przeszkadzajcie mi. W dalszym ciągu uważnie obserwujcie okolice, ale bez lokatorów i w ogóle żadnych aktywnych działań. Musza wam wystarczyć noktowizory. Skończyłem.

- Szczęśliwych łowów powiedział Van der Hoose do mikrofonu i wstał. Wyglądał niezmiernie uroczyście.

Surowo spojrzał na nas z góry, wprawnym płynnym ruchem dłoni nastroszył bokobrody i oznajmił:

- Stado w obórce, a my jesteśmy wolni aż do porannej zorzy...

Majka spazmatycznie ziewnęła i powiedziała:

- Spać mi się chce, czy co? A może to z nerwów?

- Nawiasem mówiąc, odnoszę wrażenie, że niewiele będziemy mieli czasu na sen oświadczył Van der Hoose. - Proponuję, żebyśmy zrobili tak: Majka niech idzie odpocząć. Ja zostaję przy ekranach, a Staszek niech śpi przy radiostacji. Za cztery godziny cię obudzę, jak sądzisz, Staszek?

Nie miałem nic przeciwko temu, chociaż wątpiłem, czy Komow tak długo wytrzyma - na mrozie. Majka nadal ziewała i też nie zgłaszała sprzeciwów. Kiedy wyszła, zaproponowałem Van der Hoosemu, że zaparzę kawę, ale on odmówił pod jakimś śmiesznym pretekstem - prawdopodobnie chciał, żebym trochę pospał. Więc ulokowałem się obok radiostacji, przejrzałem nowe depesze, nie znalazłem nic pilnego i przekazałem je Van der Hoosemu.

Przez jakiś czas milczeliśmy. Spać nie chciało mi się ani trochę. Na różne sposoby starałem się wyobrazić sobie wychowawców Pierre Siemionowa. Dziecko człowieka, które wychował wilk, biega na czworakach i warczy. Jeśli wykarmi je niedźwiedź - tak samo. W ogóle wychowanie określa modus vivendi wszelkiej żywej istoty. To znaczy być może nie w pełni, ale w znacznej mierze. Dlaczego więc nasz Mowgli chodzi na dwóch nogach? To naprowadza na określone wnioski. Chodzi na nogach, aktywnie posługuje się rękami - a to wcale nie są cechy wrodzone, to rezultaty wychowania. Może mówić. Oczywiście nie rozumie tego, co mówi, ale jest jasne, że ta część mózgu, w której znajduje się ośrodek mowy, funkcjonuje u niego bez zarzutu... I chłopiec zapamiętuje wszystko od jednego razu! Dziwne, bardzo dziwne... Ahumanoidy, o których słyszałem, byłyby absolutnie niezdolne do wychowania w ten sposób ludzkiego dziecka. Wykarmić, oswoić - to tak. Przebadać w swoich dziwnych laboratoriach przypominających gigantyczny model przewodu pokarmowego - również. Ale zobaczyć w nim człowieka, zidentyfikować go jako człowieka - raczej nie. Czyżby to pomimo wszystko była rasa człowiekopodobna? Nic nie rozumiem.

- W każdym razie - powiedział nagle Van der Hoose - oni są humanitarni w najszerszym znaczeniu tego słowa, jakie tylko można sobie wyobrazić, jeżeli uratowali życie niemowlęciu. Są też genialni, ponieważ umieli wychować je tak, że stało się podobne do człowieka, nic, być może, nie wiedząc ani o rękach, ani o nogach. Jak sądzisz, Staszek?

Mruknąłem coś nieokreślonego i Van der Hoose umilkł.

Na mostku było cicho. Baza nas nie niepokoiła. Komow też nie zgłaszał się w eterze, na ciemnym ekranie zapalały się i migotały tęczowe pasma zorzy i w ich widmowym świetle Komow był ledwie widoczny - siedział kompletnie bez ruchu, ale chłopca do końca nie udało się zobaczyć ani razu. Najwyraźniej jednak szło im dobrze, ponieważ pokładowy komputer od czasu do czasu cichutko cmokał i pomrukiwał trawiąc i opracowując otrzymaną informację. Potem zdrzemnąłem się i jak pamiętam, śniły mi się jakieś niezadowolone, źle ogolone ośmiornice w granatowych sportowych garniturach i z parasolami - uczyły mnie chodzić, mnie zaś tak to śmieszyło, że bez przerwy przewracałem się wywołując ich ogromne niezadowolenie. Obudziło mnie łagodne i nieprzyjemne ukłucie w sercu. Coś zaszło. Coś niepokojącego. Van der Hoose przywarł do ekranu zaciskając dłonie na poręczach fotela.

- Staszek! - zawołał półgłosem.

- Tak?

- Spójrz na ekran.

I tak już patrzyłem na ekran, ale na razie nie widziałem niczego szczególnego. Jak poprzednio wybuchały i migotały ognie na nieboskłonie. Komow siedział w poprzedniej pozycji, daleki lodowiec mienił się różowo i zielono. Potem zobaczyłem.

- Nad górami? - zapytałem szeptem.

- Tak. Właśnie nad górami.

- Co to takiego?

- Nie wiem.

- Od dawna?

- Nie wiem. Zauważyłem to ze dwie minuty temu. Może wiry powietrzne?

W pierwszej chwili też pomyślałem, że to wir powietrzny. Nad spłowiełą szczybatą linią gór na tle tęczowych płacht sterczało coś w rodzaju długiej cienkiej szpicruty - czarna krzywa linia niby rysa na ekranie. Ta szpicruta ledwie dostrzegalnie wibrowała, gięła się, chwilami jakby osiadała i prostowała się znowu, a wtedy widać było, że nie jest gładka, że przypomina lodygę bambusa. Wznosiła się nad grzbietami gór, odległych co najmniej o dziesięć kilometrów, jakby ktoś wystawił nad skałami gigantyczne wędzisko. I znajomy pejzaż na ekranie przypominał teraz dekorację w teatrze lalkowym. Rozgrywało się widowisko sprzeczne z naturą, przerażające, śmieszne zarazem, tak jakby nad górskim łańcuchem ukazała się niebywałych rozmiarów fizjonomia. W ogóle to było coś nie mieszczącego się w żadnych wyobrażeniach, coś poza wszelkimi pojęciami o proporcjach, coś nieprawdopodobnego...

- To oni? - zapytałem szeptem.

- Niemożliwe, żeby to było naturalne... - powiedział Van der Hoose. - I niemożliwe, żeby to było sztuczne.

Miałem identyczne uczucie.

- Trzeba zawiadomić Komowa - powiedziałem.

- Komow się wyłączył - odpowiedział Van der Hoose. Regulował dalmierz. - Odległość się nie zmienia.

Czternaście kilometrów. I to dziwadło strasznie wibruje, całe się trzęsie. Amplituda co najmniej sto metrów. Coś podobnego po prostu nie może istnieć.

- Jaką to ma wysokość? - zapytałem.

- Około sześciuset metrów.

- Rany koguta - wymamrotałem.

Van der Hoose nagle zerwał się z fotela i nacisnął jednocześnie dwa klawisze - zewnętrznego sygnału alarmowego „wszyscy wrócić na pokład” i wewnętrznego sygnału "wszyscy na mostek". Potem odwrócił się do mnie i nieznanym, ostrym głosem rozkazał:

- Staszek! Biegiem na stanowisko DSB. Przygotuj do strzelania dziobowe DPM. Siedź i czekaj. Bez mojej komendy - nawet kichnąć ci nie wolno.

Jednym susem byłem w korytarzu. Za drzwiami kajut rozległy się krótkie przygłuszone dzwonki alarmowe. Korytarzem pędziła Majka, w biegu naciągała kurtkę. Była w pantoflach na bose stopy.

- Co się stało? - zapytała mnie jeszcze z daleka, głosem ochryplym ze snu.

Machnąłem ręką i zbiegłem po trapie na stanowisko dowodzenia środkami bojowymi. Trochę mnie trzęsło, ale właściwie byłem spokojny. W pewnym sensie czułem nawet dumę - sytuacja była niezwykła, do takiego stopnia niezwykła, że byłem pewien, iż od momentu pierwszego startu tego statku niczyja noga jeszcze nie postąpiła na stanowisku DSB, może tylko mechanicy na kosmodromach od czasu do czasu sprawdzali automaty.

Upadłem na fotel, włączyłem ekran panoramiczny, odłączyłem automat DPM i jednocześnie zablokowałem działko na rufie, żeby w zamieszaniu nie puścić serii w nadir. Następnie położyłem dłonie na pokrętlach i czarny krzyż zaczął przesuwac się po ekranie - najpierw przed moimi oczami przejechał zębaty lodowiec, później mglista wata nad bagnem, potem Komow - teraz stał plecami do nas, oświetlony rozbłyskami zorzy i patrzył w stronę gór... Jeszcze troszeczkę wyżej. Jest. Czarna, drgająca, bezsensowna, zupełnie nieprawdopodobna. A obok druga, trochę krótsza, ale rośnie w oczach, wydłuża się, wygina... Rany koguta, jak oni to robią? Jakie olbrzymie moce są potrzebne i z czego to jest zrobione? Ale widowisko! Teraz to wyglądało tak, jakby potworny karaluch schował się za górami i wysuwał stamtąd swoje wąsy. Obliczyłem mniej więcej kąt rażenia i ustawiłem krzyż w taki sposób, żeby jedną salwą porazić oba cele. Teraz wystarczyło tylko nacisnąć nogą pedał...

- Stanowisko DSB! - ryknął Van der Hoose.

- Stanowisko DSB słucha! - zgłosiłem się.

- Gotów do akcji? - Tak jest!

Moim zdaniem bardzo to nam ładnie wyszło. Jak w kinie.

- Widzisz oba cele? - normalnym głosem zapytał Van der Hoose.

- Tak. Oba nakrywam jednym impulsem.

- Zwróć uwagę - czterdzieści stopni na wschód - trzeci cel.

Spojrzałem. Jeszcze jeden gigantyczny wąs wyginał się i drżał w niepewnym świetle zorzy. To mi się nie spodobało. Zdażają, czy nie? Co tam, powinienem zdażyć... Przeciwczyłem sobie w myśli, jak wysyłam impuls, jak następnie dwoma ruchami naprowadzam działko na trzeci cel. Dobrze jest, zdażę.

- Widzę trzeci cel - powiedziałem.

- To dobrze - powiedział Van der Hoose. - Ale nie gorączkuj się. Strzelać tylko na moją komendę.

- Tak jest - burknąłem.

A jak przysuną w statek jakimś tam... no tym... co zwija przestrzeń, akurat doczekam się od ciebie komendy.

- Trzęsło mnie już całkiem solidnie. Zacisnąłem dłonie, żeby się opanować. Potem postanowiłem zobaczyć, jak tam Komow. Komow był w najlepszym porządku. Znowu siedział w poprzedniej pozycji, bokiem do' gigantycznego karalucha. Od razu uspokoiłem się, tym bardziej że wreszcie zobaczyłem obok Komowa maleńką czarną figurkę. Zrobiło mi się głupio. Co się ze mną dzieje? Jak właściwie mam podstawy do paniki? No, wystawiali wąsy... Ogromne wąsy, nie przeczę - powiedziałbym nawet - osłupiająco wielkie wąsy. Ale, koniec końców, to najprawdopodobniej nie są żadne wąsy, tylko coś w rodzaju anten. Być może oni po prostu nas obserwują. My ich, a oni nas. I nawet właściwie chyba nie nas obserwują, tylko swego wychowanka, Pierre'a Aleksandrowicza Siemionowa - patrzą, jak się tu u nas czuje i czy go przypadkiem nie krzywdzimy. W ogóle, jeśli tak na spokojnie pomyśleć, takie działko przeciwmeteorytowe to straszliwa broń i bardzo nie miałbym ochoty jej tutaj użyć. Co innego zrównać z ziemią jakieś tam skały, żeby oczyścić teren pod lądowisko, albo, powiedzmy, zasypać wąwóz, kiedy potrzebny jest zbiornik słodkiej wody, a zupełnie inna sprawa - ot, tak wywalić do czegoś, co żyje... A czy w ogóle kiedyś stosowano DPM do obrony? Zdaje się, że tak. Był wypadek, nie pamiętam gdzie, kiedy w ciężarowym automacie zepsuł się

system kierowniczy i automat zaczął spadać prosto na obóz - trzeba go było spalić. A jeszcze, pamiętam omawiano taki incydent - na jakiejś biologicznie aktywnej planecie statek zwiadowczy znalazł się w "polu ukierunkowanego i nie dającego się przezwyciężyć działania biosfery", to znaczy, nie wiadomo czy się znalazł, czy też nie, ale kapitan zdecydował, że się znalazł, i rąbnął z przedniego działka. Wypalił wokół siebie wszystko, aż do samego horyzontu, tak, że potem, kiedy przeprowadzono badania, eksperci tylko ręce rozkładali. Kapitan, o ile pamiętam, długo potem nie latał... Tak, co tu dużo gadać, straszna to broń DPM. Ostateczna.

Żeby przepędzić tego rodzaju myśli, przeprowadziłem pomiary odległości do celów i obliczyłem ich wysokość i grubość. Odległość wynosiła: czternaście, czternaście i pół i szesnaście kilometrów. Wysokość od pięciuset do siedmiuset metrów, a grubość wszystkich była mniej więcej jednakowa - u podstawy około pięćdziesięciu metrów, a na samym koniuszku wąsa - mniej niż metr. I wszystkie rzeczywiście miały kolanka - jak łodyga bambusa albo jak antena teleskopowa. I jeszcze wydało mi się, że dostrzegam na ich powierzchni jakiś ruch skierowany od dołu do góry, coś w rodzaju perystaltyki, ale być może to była po prostu gra światła. Spróbowałem określić właściwości materiału, z którego mogłyby się składać takie twory, ale rezultaty moich analiz były kretyńskie. Tak, nieźle byłoby je pomacać próbnikiem-lokatorem, tylko oczywiście nie wolno. Nie wiadomo, jak oni to potraktują. Zresztą nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że tutejsza cywilizacja to jednak cywilizacja techniczna. Na wysokim szczeblu rozwoju. Nie trzeba lepszego potwierdzenia! Niezrozumiałe jest tylko, po co oni wleźli pod ziemię, dlaczego porzucili swoją ojczystą planetę na pastwę ciszy i pustki. Zresztą, jeśli się zastanowić, każda cywilizacja ma swoje własne wyobrażenia o optymalnych warunkach egzystencji. Na przykład na Tagorze...

- Stanowisko DSB! - ryknął Van der Hoose nad samym moim uchem, że aż podskoczyłem. - Jak widzisz cele?

- Widzę cele... - odezwałem się automatycznie i nagle urwałem. Wąsów nad górami nie było. - Nie ma celów - powiedziałem złamanym głosem.

- Spisz na posterunku!

- Wcale nie śpię... Przed sekundą były, widziałem na własne oczy...

- Co mianowicie widziałeś na własne oczy? - zainteresował się Van der Hoose.

- Cele. Trzy cele.

- A teraz?

- Teraz ich nie ma.

- Hm... - powiedział Van der Hoose. - Bardzo dziwnie to się odbyło, nie sądzisz?

- Tak - powiedziałem ze współczuciem. - Bardzo dziwnie. Były - i nagle nie ma.

- Komow wraca - oznajmił Van der Hoose. - Może on coś rozumie?

Rzeczywiście, Komow obwieszony futerałami szedł niezgrabnie - widocznie zdrewniały mu nogi - wracał na statek. Co pewien czas odwracał głowę - należy przypuszczać, że żegnał się z Pierre'em Aleksandrowiczem, ale samego Pierre'a Aleksandrowicza nie było widać.

- Koniec alarmu - powiedział Van der Hoose. - Zostaw wszystko, jak jest, leć do kabuza, przygotuj coś rozgrzewającego i coś do jedzenia. Giennadij na pewno zamarzył na sople. Ale głos ma zadowolony, jak sądzisz, Majka?

Błyskawicznie znalazłem się w kuchni i zacząłem pośpiesznie przyrządzać grzane wino, kawę i lekką zakąskę. Bardzo się bałem przepuścić choć słowo z tego, co będzie opowiadać Komow. Ale kiedy pędem wtoczyłem stolik na mostek, Komow jeszcze niczego nie opowiedział. Stał przy stole, rozcierał zmarznięty policzek, a na blacie leżała, największa i najdokładniejsza mapa naszego rejonu, Majka zaś pokazywała mu palcem te miejsca, z których wysunęły się nasze wąsy-anteny.

- Tu nic nie ma - z podnieceniem mówiła Majka. - Tylko zamarzone skały, kaniony stumetrowej głębokości, przepaści wulkaniczne i ani jednej żyjącej istoty. Przelatywałam tędy dziesiątki razy. Tu nawet krzewy nie rosną.

Komow skinął mi głową z roztargnioną wdzięcznością, wziął w obie dłonie filizankę z grzonym winem, zanurzył w nią twarz i zaczął głośno siorbać, parząc się, chrząkając i sapiąc z rozkoszą.

- I te skały są bardzo kruche - mówiła dalej Majka - w żadnym razie nie wytrzymałyby takich konstrukcji. Przecież to dziesiątki, a być może setki tysięcy ton!

- Tak - powiedział Komow i ze stukiem postawił pustą filizankę na stole. - Co tu mówić, bardzo dziwne. - Zatarł dłonie. - Zmarzłem jak pies - zawiadomił nas; To był znowu zupełnie odmienny Komow - rumiany, czerwononosy, życzliwy, a i oczy błyszczały mu wesoło. - Dziwne, moi drodzy, dziwne. Ale wcale nie takie znów najdziwniejsze, mało to dziwnych rzeczy zdarza się na obcych planetach? - Opadł na fotel i wyciągnął przed siebie nogi. - Dzisiaj, wiecie, trudno wam będzie mnie zadziwić. W ciągu tych czterech godzin nasłuchiwałem się takich rzeczy... To i owo oczywiście trzeba będzie posprawdzać, ale na początek macie dwa fundamentalne fakty, które, jeśli można się tak wyrazić, już teraz leżą na samej powierzchni. Po pierwsze

Mały... on się nazywa Mały... już nauczył się biegle mówić i praktycznie rzecz biorąc, rozumieć wszystko, co się do niego mówi. I to chłopiec, który przez całe swoje życie ani razu nie zetknął się z ludźmi!

- Co to znaczy biegle? - zapytała z niedowierzaniem Majka. - Po czterech godzinach nauki - biegle?

- Tak, po czterech godzinach nauki - biegle! - z triumfem potwierdził Komow. - Ale to zaledwie po pierwsze. A po drugie, Mały żyje w absolutnym przekonaniu, że jest jedynym mieszkańcem tej planety. Nie rozumieliśmy.

- Dlaczego jedynym? - zapytałem. - Jak to jedynym?

- Mały jest pewien - z naciskiem powiedział Komow - że oprócz niego nie ma na tej planecie ani jednego rozumnego tubylca.

Zapanowała cisza. Komow wstał.

- Czeka nas mnóstwo pracy powiedział. - Jutro rano Mały zamierza nam złożyć oficjalną wizytę.

Rozdział VI

NIELUDZIE I PYTANIA

Pracowaliśmy przez całą noc. W mesie został zmontowany improwizowany diagnostograf z indykatorem emocji. Razem z Van der Hoosem skonstruowaliśmy go dosłownie z niczego. Aparacik wyszedł słabutki, o małej mocy, czułość miał fatalną, ale niektóre parametry fizjologiczne mierzył jako tako zadowolająco, a indyktor wskazywał zaledwie trzy podstawowe pozycje - gwałtownie uzewnętrznione negatywne emocje (czerwona lampka na pulpicie), gwałtownie uzewnętrznione pozytywne emocje (zielona lampka) i cała gama wszystkich innych emocji (biała lampka). A co mieliśmy robić? W ambulatorium stał znakomity stacjonarny diagnostograf, ale było jasne, że Mały nie zgodzi się tak, ni z tego ni z owego, spocząć w białym sarkofagu z masywną hermetyczną pokrywą. Krótko mówiąc około dziewiętej byliśmy jako tako przygotowani i wtedy w całej okazałości stanął przed nami problem dyżuru na stanowisku DSB.

Van der Hoose jako kapitan statku, odpowiedzialny za bezpieczeństwo, całość i nietykalność załogi, kategorycznie sprzeciwił się odwołaniu dyżuru. Majka, która przesiedziała na posterunku drugą połowę nocy, rzecz jasna ludziła się nadzieją, że kto jak kto, ale ona niezawodnie będzie obecna w czasie pierwszej oficjalnej wizyty. Jednakże spotkało ją gorzkie rozczarowanie. Okazało się, że fachowo obsługiwać diagnostograf może tylko Van der Hoose. Okazało się dalej, że wykwalifikowaną pomoc diagnostografowi, który mógł wsiąść w każdej chwili, potrafię okazać tylko ja. I wreszcie okazało się, że Komow z jakichś niejasnych ksenopsychologicznych względów uznał za niepożądaną obecność kobiety przy pierwszej rozmowie z Małym. Krótko mówiąc, blada z furii Majka wróciła na swój posterunek, a Van der Hoose, który do końca zachował zimną krew, nie omieszkał odprowadzić jej tubą diagnostografu i wszyscy chętni mogli się upewnić, że indyktor emocji działa - czerwona lampka paliła się, póki Majka nie znikła w korytarzu. Zresztą na stanowisku DSB przez głośnik ze wzmacniaczem można było słyszeć wszystko, co mówiono w mesie.

O dziewiętej piętnaście według czasu pokładowego Komow wyszedł na środek mesy i rozejrzał się dookoła gospodarskim okiem. Wszystko było gotowe. Diagnostograf był wyregulowany i włączony, na stole rozstawiono talerzyki ze słodyczami, oświetlenie imitowało miejscowe światło dzienne. Komow krótko powtórzył instrukcję dotyczącą naszego zachowania w czasie kontaktu, włączył aparaturę rejestrującą i poprosił, żebyśmy zajęli swoje miejsca. Komow i ja usiedliśmy przy stole naprzeciw drzwi, Van der Hoose wcisnął się za pulpit diagnostografu i rozpoczęło się oczekiwanie.

Mały zjawił się o dziewiętej czterdzieści pięć według czasu pokładowego.

Przystanął w drzwiach wczepiwszy się lewą dłonią w futrynę i podkulił prawą nogę. Na pewno co najmniej przez minutę stał tak oglądając nas wszystkich po kolei przez otwory swojej martwej maski. Panowała taka cisza, że słyszałem jego oddech - rytmiczny, potężny i spokojny, jakby pracował starannie wyregulowany mechanizm. Z bliska, w jaskrawym świetle, chłopiec robił jeszcze dziwniejsze wrażenie. Dziwne w nim było wszystko - i poza według ludzkich pojęć kompletnie nienaturalna, a zarazem zupełnie swobodna, i błyszcząca zielonkawoniebieska, jakby pokryta lakierem skóra, i przykre dysproporcje w rozmieszczeniu mięśni i ścięgien, i niezwykle potężne kolana, i zdumiewająco wąskie i długie stopy. I to, że wcale nie był taki malutki - był wzrostu Majki I to, że na palcach lewej dłoni nie miał paznokci. I to, że w prawej pięści trzymał pęk świeżych liści. Wreszcie wzrok jego zatrzymał się na Van der Hoosem. Patrzył na niego tak długo i tak uważnie, aż przyszła mi do głowy nieprawdopodobna myśl, że Mały orientuje się w przeznaczeniu diagnostografu - a nasz dzielny kapitan w końcu z pewną nerwowością nastroszył zgiętym palcem swoje bokobrody i wbrew instrukcji lekko się skłonił.

- Fenomenalne! - głośno i wyraźnie powiedział Mały głosem Van der Hoosiego. Na indykatorkę zapaliła się zielona lampka.

Kapitan znowu nerwowo rozwichrzył bokobrody i uśmiechnął się niepewnie. I natychmiast twarz Małego

ożyła. Van der Hoose został nagrodzony całą serią przerażających grymasów następujących po sobie z nieprawdopodobną szybkością. Na czole Van der Hoosiego wystąpił zimny pot. Nie wiem, czym by się to wszystko skończyło, ale w tym momencie Mały odlepił się wreszcie od framugi, przemknął pod ścianą i zatrzymał się przed ekranem wideofonu.

- Co to? - zapytał.

- Wideofon - odpowiedział Komow.

- Tak - powiedział Mały. - Wszystko się rusza i nic nie ma. Wizerunki.

- To jest jedzenie - poinformował go Komow. - Chcesz coś zjeść?

- Jedzenie - oddzielnie? - niezrozumiale zapytał Mały i zbliżył się do stołu. - To jest jedzenie? Niepodobne. Szarada.

- Niepodobne do czego?

- Niepodobne do jedzenia.

- Może jednak spróbuj - poradził Komow podsuwając mu talerz z krewetkami.

Wówczas Mały nagle upadł na kolana i otworzył usta wyciągając przed siebie ręce. Milczeliśmy speszzeni.

Mały również trwał bez ruchu. Oczy miał zamknięte. Trwało to nie dłużej niż kilka sekund, potem nagle miękko opadł na plecy, usiadł i gwałtownym ruchem rozrzucił po podłodze zmięte liście. Przez jego twarz przebiegły rytmiczne drgania. Szybkimi i niezwykle precyzyjnymi muśnięciami palców zaczął przesuwając liście, od czasu do czasu pomagając sobie nogą. Komow i ja unieśliśmy się z foteli i wyciągając szyje obserwowaliśmy Małego. Liście, jakby same z siebie ułożyły się w dziwaczny wzór, niewątpliwie zamierzony, ale stanowczo nie wywołujący żadnych skojarzeń. Na mgnienie oka Mały zastygł w bezruchu i niespodziewanie jednym gwałtownym gestem zgarnął liście na stos. Jego twarz zamarła.

- Rozumiem - oznajmił. - To jest wasze jedzenie. Ja tak nie jem.

- Patrz, jak to się robi - powiedział Komow.

Wyciągnął rękę, wziął krewetkę, celowo zwolnionym ruchem podniósł ją do ust, ostrożnie odgryzł kawałek i demonstracyjnie powoli zaczął ją przeżuwać. Po zmartwiałej twarzy Małego przebiegł skurcz.

- Nie wolno! - prawie wykrzyknął. - Niczego nie wolno kłaść rękami do ust. Będzie źle.

- A spróbuj - zaproponował znowu Komow, ale spojrzął na diagnostograf i urwał. - Masz rację. Nie trzeba. Co będziemy robić?

Mały przysiadł na lewej pięcie i głębokim barytonem powiedział:

- Świerszcz za kominem. Szmer. Objaśnij mi znowu, kiedy stąd odchodzicie?

- Teraz to wyjaśnić trudno - miękko odpowiedział Komow. - Dla nas jest bardzo, bardzo ważne, żeby się wszystkiego o tobie dowiedzieć. Przecież nic o sobie nie opowiedziałeś. Kiedy dowiemy się o tobie wszystkiego, odejdziemy stąd, jeśli zechcesz.

- Ty wiesz o mnie wszystko - oznajmił Mały głosem Komowa. - Ty wiesz, jak ja powstałem. Wiesz, jak tu trafiłem. Wiesz, po co do ciebie przyszedłem. Ty wiesz o mnie wszystko.

Oczy zrobiły mi się wielkie jak filizanki, a Komow jakby się wcale nie zdziwił.

- Dlaczego myślisz, że ja wiem to wszystko? - zapytał spokojnie.

- Ja rozmyślałem. I zrozumiałem.

- To fenomenalne - spokojnie powiedział Komow. - Ale to niezupełnie jest tak. Na przykład nic nie wiem o tym, co się z tobą tu działo, zanim przyleciałem.

- Odejdziecie od razu, jak tylko dowiecie się o mnie wszystkiego? Tak?

- Tak. Jeśli zechcesz.

- To pytaj - powiedział Mały. - Pytaj szybko, bo ja też chcę ciebie zapytać.

Spojrzałem na indyktor. Po prostu tak spojrzełem, bez żadnej specjalnej myśli. I zrobiło mi się nieswojo.

Dopiero co paliło się białe neutralne światelko, a teraz ostrym rubinowym ogniem jarzył się sygnał negatywnych emocji. Kątem oka dostrzegłem twogę na twarzy Van der Hoosiego.

- "Najpierw mi opowiedz - powiedział Komow - dlaczego tak długo się ukrywałeś?"

- Kurwispat - wyraźnie wymówił Mały i przesiadł się na prawą piętę. - Ja - dawno wiedziałem, że ludzie znowu przyjdą. Czekalem, było mi źle. Potem zobaczyłem - ludzie przyszli. Zaczęłem rozmyślać i rozumiałem - jeżeli ludziom powieść, oni odejdą i wtedy będzie dobrze. Na pewno odejdą, ale nie wiedziałem - kiedy. Czworo ludzi. Bardzo dużo. Nawet jeden bardzo dużo. Ale lepiej niż czworo.

Wchodziłem do jednego i rozmawiałem w dzień. Wchodziłem do jednego i rozmawiałem w nocy. Szarada.

Wtedy pomyślałem - jeden człowiek nie może mówić. Przyszedłem do czterech. Znowu szarada. Wieczorem zobaczyłem - jeden siedzi oddzielnie. Ty. Pomyślałem i zrozumiałem - ty czekasz na mnie. Podszedłem.

Cheshire kot! Tak to było.

Mówił ostro, urwanymi zdaniem, głosem Komowa i tylko te nie związane z kontekstem słowa wymawiał nieznanym głębokim barytonem. Jego ręce, palce ani na sekundę nie zaznały spokoju, a i on sam bez przerwy poruszał się i ruchy jego były szybkie, płynne, dosłownie przelewał się z jednego położenia w

następne. Było to zgoła fantastyczne widowisko - przytulna znajoma mesa, waniliowy zapach ciastek, wszystko takie zwyczajne, domowe - i tylko to dziwne liliowe światło, i w tym świetle na podłodze, giętki, elastyczny maleńki potwór. I trwożne, rubinowe światelko na pulpicie.

- Skąd wiedziałeś, że ludzie przyjdą znowu? - zapytał Komow.

- Ja rozmyślałem i zrozumiałem.

- A może ktoś ci opowiedział?

- Kto? Kamienie? Słońce? Krzaki? Jestem sam. Ja i moje wizerunki. Ale one milczą. Z nimi można tylko się bawić. Nie. Ludzie przyszli i odeszli. - Mały szybkim ruchem przesunął kilka liści na podłodze. -

Pomyślałem i zrozumiałem - ludzie znowu przyjdą.

- A dlaczego było ci źle?

- Dlatego, że ludzie.

- Ludzie nigdy nikomu nie szkodzą. Ludzie chcą, żeby wszystkim dookoła było dobrze.

- Ja wiem - powiedział Mały. - Przecież już mówiłem, ludzie odejdą i będzie dobrze.

- Jakie czynności ludzi powodują, że jest ci źle?

- Wszystkie. Ludzie są albo mogą przyjść - to źle. Odejdą na zawsze - to dobrze.

Czerwona lampka na pulpicie uwierała mnie jak cierń. Nie wytrzymałem i lekko trąciłem Komowa nogą pod stołem.

- Skąd się dowiedziałeś, że jeżeli ludziom powiesz, to oni odejdą? - zapytał Komow ignorując mnie całkowicie.

- Ja wiedziałem - ludzie chcą, żeby wszystkim dookoła było dobrze.

- Ale skąd się o tym dowiedziałeś? Przecież nigdy nie stykałeś się z ludźmi.

- Dużo rozmyślałem. Długo nie rozumiałem. Potem zrozumiałem.

- Kiedy zrozumiałeś? Dawno?

- Nie, niedawno. Kiedy odszedłeś z jeziora, złapałem rybę. Bardzo się zdziwiłem. Ona nie wiadomo dlaczego umarła. Zacząłem rozmyślać i zrozumiałem, że na pewno odejdziecie, jeżeli wam powiem. Komow przygryzł dolną wargę.

- Zasnąłem na brzegu oceanu - powiedział nagle. - Kiedy się obudziłem, zobaczyłem obok na mokrym piasku ślady ludzkich stóp. Chwilę rozmyślałem i zrozumiałem - kiedy spałem, obok mnie przeszedł człowiek. Skąd się dowiedziałeś? Przecież nie widziałem człowieka, zobaczyłem tylko ślady. Rozmyślałem - poprzednio śladów nie było, a teraz są. To znaczy, że zjawily się wtedy, kiedy spałem. To ludzkie ślady, a nie ślady fal, ani nie ślady kamienia, który stoczył się na piasek. To znaczy, że obok mnie przeszedł człowiek. Wtedy, kiedy spałem, obok mnie przeszedł człowiek. Tak my rozmyślamy. A jak ty rozmyślasz? Oto przylecieli ludzie. Ty nic o nich nie wiesz. Ale pomyślałeś i dowiedziałeś się, że ludzie na pewno odlecają na zawsze, jeżeli z nimi porozmawiasz. W jaki sposób rozmyślałeś?

Mały milczał długo, ze trzy minuty. Na jego twarzy i piersi znowu zatańczyły mięśnie. Zwinne palce poruszały i przemieszczały liście. Potem odepchnął liście nogą i powiedział głośno głębokim barytonem:

- To jest pytanie. Na bim-bom-bramsel!

Van der Hoose bezsilnie zakasłał w swoim kącie i Mały natychmiast spojrzał na niego.

- Fenomenalne! - zawołał ciągle tym samym barytonem. - Zawsze chciałem się dowiedzieć, dlaczego takie długie włosy na policzkach?

Zapanowała cisza. I w tej ciszy zobaczyłem, że rubinowe światło zgasło i zapaliło się szmaragdowe.

- Odpowiedz mu, Jakub - spokojnie poprosił Komow.

- Hm... - odparł Van der Hoose i poróżnowiał. - Jakby ci powiedzieć, mój chłopcze... - Machinalnie nastroszył bokobrody. - To ładne, mnie się podoba... moim zdaniem to wystarczające objaśnienie, jak sądzisz?

- Ładne... podoba się... - powtórzył Mały. - Dzwoneczek! - powiedział nagle z czułością. - Nie, nie wyjaśniłeś. Ale tak bywa. Dlaczego tylko na policzkach? Dlaczego nie ma na nosie?

- Na nosie byłoby nieładnie - pouczająco oświadczył Van der Hoose. - I do ust włożą przy jedzeniu...

- Racja - przyznał Mały. - Ale jeżeli na policzkach i jeżeli idziesz przez krzaki, musisz się zacześcić. Ja się zawsze czepiam włosami, chociaż mam je tylko u góry.

- Hm - powiedział Van der Hoose. - Widzisz, ja bardzo rzadko chodzę przez krzaki.

- Nie chodź przez krzaki - powiedział Mały. - Będzie bolało. Świerszcz za kominem.

Van der Hoose nie znalazł stosownej odpowiedzi, ale widać było, że jest zadowolony. Na indykatorze paliła się zielona lampka, Mały wyraźnie zapomniał o swoich troskach i nasz dzielny kapitan, który bardzo lubił dzieci, niewątpliwie rozczulił się. Oprócz tego bardzo mu, jak sądzę, pochlebiało, że jego bokobrody, które do tej pory służyły wyłącznie jako obiekt mniej lub bardziej płaskich dowcipów, odegrały tak znaczną rolę w przebiegu kontaktu. Ale tu nieoczekiwanie nastąpiła moja kolej. Mały nagle spojrzał mi w oczy i wypalił:

- A ty?

- Co ja? - zapytałem, zaskoczony i dlatego agresywny.

Komow natychmiast z wyraźną satysfakcją kopnął mnie w kostkę.

- Mam pytanie do ciebie - oznajmił Mały. - Też zawsze chciałem. Ale ty się bałeś. Jeden raz o mało mnie nie zabiłeś - zasyczałeś, zaryczałeś, uderzyłeś mnie powietrzem. Biegłem do samych wzgórz. To wielkie, ciepłe, z lampkami, które robi równą ziemię - co to jest?

- Maszyny powiedziałem i odkaszlnąłem. - Roboty.

- Roboty - powtórzył Mały. - Żywe?

- Nie - odparłem. - To maszyny. Zbudowaliśmy je.

- Zbudowaliście? Takie wielkie? I rusza się? Fenomenalne! Ale przecież one są ogromne!

- Bywają i większe - powiedziałem.

- Jeszcze większe?

- Znacznie większe - powiedział Komow. - Większe niż lodowiec.

- I one też się ruszają?

- Nie - powiedział Komow. - Rozmyślają.

I Komow zaczął opowiadać, co to takiego maszyny cybernetyczne. Bardzo jest mi trudno oceniać wrażenia Małego. Jeżeli wychodzić z założenia, że jego odczucia tak czy inaczej odzwierciedlały się w ruchach jego ciała, można było uznać, że Mały jest wstrząśnięty do głębi. Miotał się po mesie niby kot Tomka Sawyera po wypiciu „mordercy cierpień”. Kiedy Komow wytłumaczył mu, dlaczego moje roboty nie mogą być uważane ani za żywe, ani za martwe, Mały wdrapał się na sufit i zawisł tam bezsilnie przysawszy się do plastyku stopami i dłońmi. Informacja o maszynach, o gigantycznych maszynach, które rozmyślają szybciej niż ludzie, liczą szybciej niż ludzie, odpowiadają na pytania milion razy szybciej niż ludzie zwinęła Małego w kłębek, rozwinęła i wystrzeliła na korytarz i po sekundzie znowu rzuciła do naszych nóg, głośno dyszącego z ogromnymi, pociemniałymi oczami, a wszystkie mięśnie jego twarzy płąsały w szaleńczym tańcu. Nigdy przedtem i nigdy potem nie spotkałem tak wdzięcznego słuchacza. Szmaragdowa lampka na pulpicie indykatora świeciła jak kocie oko, a Komow mówił, mówił precyzyjnymi, jasnymi i maksymalnie prostymi zdaniami, równym, spokojnym głosem i od czasu do czasu wstawiał intrygujące "Bardziej szczegółowo porozmawiamy o tym później", albo "W rzeczywistości jest to znacznie bardziej skomplikowane i interesujące, ale ty przecież na razie jeszcze nie wiesz, co to takiego hemostatyka".

Gdy tylko Komow zakończył, Mały wskoczył na fotel, objął się swoimi długimi żylastymi rękami i zapytał:

- A czy można zrobić tak, żebym ja mówił, a roboty słuchały?

- Ty już tak robiłeś - powiedziałem.

Mały bezszelestnie, jak cień opadł na stół przede mną.

- Kiedy?

- Skakałeś przed nimi i ten największy - na imię mu Tom - przystawał i pytał ciebie, jakie będą polecenia.

- Dlaczego nie słyszałem pytania?

- Widziałeś pytanie. Pamiętasz, tam migало czerwone światelko? To było pytanie. Tom zadawał je po swojemu.

- Fenomenalne! - powiedział cichutko moim głosem. - To zabawa. Fenomenalna zabawa. Szczygiełek.

- Co to znaczy "Szczygiełek"? - nagle zapytał Komow.

- Nie wiem - powiedział Mały niecierpliwie. - Po prostu słowo. Przyjemnie wymawiać. Szczygiełek. Cheshire kot.

- A skąd ty znasz te słowa?

- Pamiętam. Dwoje ludzi, dużych, serdecznych. Znacznie więksi od was... Na bim-bom-bramsel!

Szczygiełek... Świerszczyk za kominem. Ma-ry, Ma-ry! Świerszczyk jest głodny!

Mówiąc szczerze, mróz mi przeszedł po skórze, a Van der Hoose pobladł i jego bokobrody obwisły. Mały wykrzykiwał te słowa głębokim barytonem - wystarczyło zamknąć oczy, żeby zobaczyć przed sobą ogromnego, rubasznego, pełnego życia mężczyznę, nieustraszonego, silnego, dobrego... Potem w intonacji głosu coś się zmieniło i Mały cichutko wymruczał z niewypowiedzianą czułością:

- Moje słoneczko, mój maleńki... - i nagle czułym kobiecym głosem - Świerszczyk! Znowu mokry...

Mały zamilkł postukując palcem po nosie.

- I ty to wszystko pamiętasz? - z lekka zmienionym głosem zapytał Komow.

- Oczywiście - powiedział Mały głosem Ko-mowa. - A czy ty nie pamiętasz wszystkiego?

- Nie - odparł Komow.

- To dlatego, że ty rozmyślasz nie tak jak ja - z przekonaniem powiedział Mały. - Ja pamiętam wszystko.

Wszystko, co było dookoła mnie kiedykolwiek - już nie zapominam. A kiedy zapominam, trzeba tylko dobrze porozmyśleć i wszystko się przypomina. Jeśli jesteś ciekaw o mnie, potem opowiem. A teraz odpowiedz mi: co jest na górze? Wczoraj powiedziałeś - gwiazdy. Co to gwiazdy? Z góry spada woda.

Czasami nie chcę, a ona spada. Skąd woda? I skąd statki? Bardzo dużo pytań, bardzo dużo rozmyślałem. Tak dużo odpowiedzi, że niczego nie rozumiem. Nie, nie tak. Dużo różnych odpowiedzi i wszystkie splątane ze

sobą jak liście... - Mały zgarnął liście na podłodze w chaotyczny stos. - Jedne zasłaniają drugie, przeszkadzają jeden drugiemu. Odpowiesz?

Komow zaczął odpowiadać i Mały znowu drząc ze wzburzenia miotał się po mesie. W oczach mi się troiło, przymknąłem powieki i zacząłem się zastanawiać, jak to się stało, że tubylcy nie wyjaśnili Małemu najprostszyczych rzeczy, jak im się udało go oglupić do takiego stopnia, że nawet nie podejrzewa ich istnienia, jak Mały potrafi zapamiętywać tak dokładnie wszystko, co słyszał nawet w niemowlęctwie, i jakie to w istocie rzeczy straszne - nie rozumieć nic z tego, co się pamięta.

W tym momencie Komow nagle zamilkł, poczułem ostry zapach amoniaku, otworzyłem oczy. Małego w mesie nie było, tylko niewyraźny przezroczysty fantom szybko tajał nad garścią rozsypanych liści. W oddali słabo cmoknęła błona wjazdu. Zaniepokojony głos Majki zapytał przez głośnik:

- Dokąd on tak poleciał? Czy, coś się stało?

Spojrzałem na Komowa. Komow zacierał dłonie z zadumany uśmiechem.

- Tak - powiedział. - Powstała ciekawa sytuacja... Majka! - zawołał. - Wąsy się pokazały?

- Osiem sztuk - powiedziała Majka. - Dopiero teraz zniknęły, a tak to przez cały czas sterczały wzdłuż całego łańcucha... i to różnokolorowe - żółte, zielone... Zrobiłam kilka zdjęć.

- Brawo - pochwalił ją Komow. - Teraz weź pod uwagę, że przy następnym spotkaniu koniecznie musisz być obecna... Jakub, weź rejestrogramy i pójdziemy do mnie. A ty, Staszek... - Komow wstał i przeszedł w kąt, w którym stał blok wideofonografu. - Tu masz kasetę i przekaz wszystko pośpiesznym impulsem prosto do Centrum. Kopię zatrzymam, trzeba to przeanalizować... Gdzie ja tu widziałem projektor? Aha, jest. Myślę, że mamy do dyspozycji jeszcze trzy, cztery godziny, a potem znowu przyjdzie... Aha, Staszek! Przejrzyj przy okazji depesze. Jeżeli tam jest coś istotnego... Tylko z Centrum, z Bazy albo osobiście od Gorbowskiego, czy od M'Bogi.

- Miałem przypomnieć - powiedziałem wstając - o prośbie Sidorowa.

- Ach, tak! - skruszonym głosem powiedział Komow. - Wiesz, Staszek, może to niezupełnie zgodne z przepisami... Zrób mi przysługę i przekaz nagranie od razu na dwóch kanałach - nie tylko do Centrum, ale i na Bazę poufnie, do rąk własnych Sidorowa. Na moją odpowiedzialność.

- Mogę i na swoją - burknąłem już za drzwiami. Poszedłem na mostek, wstawiłem kasetę w automat, włączyłem nadawanie i przejrzałem depesze. Tym razem było ich niewiele - raptem trzy, najwidoczniej w Centrum zrobili, co należy. Jedna, z Centralnego Ośrodka Informacyjnego, składała się z liczb, greckich liter i znaków, które widywałem tylko wtedy, kiedy regulowałem urządzenie drukujące. Druga z Centrum - Bader nadal uporczywie domagał się określenia przypuszczalnych stref rozmieszczenia tubylców, podania przewidywanych typów kontaktów według klasyfikacji Biilowa i tak dalej. Trzecia depesza była z Bazy, od Sidorowa - Sidorow oficjalnie zapytywał Komowa, w jakiej kolejności ma być dostarczona do strefy kontaktu zamówiona aparatura. Zastanowiłem się chwilę i zadecydowałem, że pierwsza depesza może się Komowowi przydać, trzecią trzeba przekazać ze względu na Sidorowa, a ta od Badera niech sobie na razie poleży. Też mi coś, przypuszczalne strefy!

Po pół godzinie automat zasygnalizował, że nadawanie zakończone. Wyjąłem kasetę, zabrałem, dwie depesze i poszedłem do Komowa. Kiedy wszedłem, Komow i Van der Hoose siedzieli przed projektorem. Na ekranie w tę i z powrotem jak błyskawica przelatywał Mały, a z boku widniały dwie napięte i nieruchome fizjonomie - moja i Komowa. Van der Hoose siedział z nosem w ekranie, łokcie oparł na stole, a w garściach zaciskał bokobrody.

- ...Gwałtowny wzrost temperatury - dudnił. - Dochodzi do czterdziestu trzech stopni... A teraz zwróć uwagę na encefalogram, Giennadij... O, to jest fala Petersona, znowu się pojawiła...

Przed nimi na stole leżały rulony rejestrogramów naszego diagnostografu, reszta rulonów poniewierała się na łóżku i na podłodze.

- Aha... - mówił w zamyśleniu Komow wodząc palcem po wykresie. - Aha... Chwileczkę, a co tu u nas wtedy było? - Zatrzymał projektor, odwrócił się, by wziąć jeden z rulonów i zauważył mnie. - Tak? - zapytał z niezadowolaniem

Położyłem przed nim depesze.

- Co to jest? zapytał zirytowany. - A - przejrzał odpowiedź z Ośrodka Informacyjnego, uśmiechnął się i odrzucił ją na bok.

- Wszystko nie to - powiedział. - Zresztą skąd oni mogą wiedzieć... - Potem przeczytał depeszę od Sidorowa i podniósł na mnie oczy. - Nadałeś?

- Tak - odpowiedziałem.

- Dobrze, dziękuję. Zredaguj w moim imieniu odpowiedź, że aparatura na razie jest niepotrzebna. Aż do odwołania.

- Dobrze - odpowiedziałem i wyszedłem.

Zredagowałem i nadałem radiogram na Bazę, a następnie postanowiłem zobaczyć, co też tam słychać u

Majki. Ponura Majka metodycznie obracała pokręta. O ile zrozumiałem, trenowała naprowadzanie działka na cele rozproszone.

- Beznadziejna sprawa - oznajmiła na mój widok. - Jeżeli one wszystkie pluną na nas jednocześnie, koniec z nami. Po prostu nie zdążymy.

- Po pierwsze, można zwiększyć kąt rażenia - powiedziałem podchodząc. - Oczywiście, efektywność zimniejszy się trzy lub czterokrotnie, ale za to można objąć czwartą część horyzontu, a odległości są niewielkie... A po drugie, czy ty rzeczywiście wierzysz, że oni mogą w nas plunąć?

- A ty?

- Raczej mi na to nie wygląda...

- Jeśli nie wygląda, to po diabła ja tu siedzę?

Usadawiłem się na podłodze obok jej fotela.

- Szczerze mówiąc nie wiem - powiedziałem. - Tak czy inaczej musimy prowadzić obserwację. Skoro już planeta okazała się aktywna biologicznie, trzeba przestrzegać instrukcji. Wartownika-zwiadowcy nie pozwalają przecież wypuścić...

Przez chwilę milczeliśmy.

- Żal ci go? - nagle zapytała Majka.

- N-nie wiem. - powiedziałem. - Dlaczego żal? Raczej... zgroza. Żałować go... Dlaczego właściwie miałbym go żałować? Jest żywotny, dziarski... nie wzbudza litości.

- Nie o to mi chodzi. Nie wiem, jak to sformułować... Słuchałam was i robiło mi się niedobrze. Jak ten Komow się zachowuje! Dzieciak go absolutnie nic a nic nie obchodzi...

- Co to znaczy - nie obchodzi? Komow chce nawiązać kontakt. Realizuje określony plan... Sama chyba rozumiesz, że bez Małego kontaktu nie nawiążemy...

- Rozumiem. I dlatego pewnie robi mi się niedobrze. Mały przecież nic nie wie o tubylcach... Ślepe narzędzie!

- No, nie wiem - powiedziałem. - Moim zdaniem stajesz się sentymentalna. On przecież mimo wszystko nie jest człowiekiem. On jest tutejszy. Próbowaliśmy nawiązać z nim kontakt. W tym celu trzeba przezwyciężyć pewne trudności, rozwiązać niektóre zagadki. Należy to traktować trzeźwo i rzeczowo. Uczucia w takich sprawach są nie na miejscu. Jeżeli mam być zupełnie szczery, to Mały również nie płonie do nas miłością. Inaczej zresztą być nie może. W końcu - co to jest kontakt? Zderzenie dwóch strategii.

- Och! - powiedziała Majka. - Nudnie mówisz. Regulaminowo. Nadajesz się tylko do programowania maszyn. Cybernetyk!

Nie obraziłem się. Widziałem, że Majka nie ma żadnych merytorycznych argumentów i czułem, że naprawdę coś ją dręczy.

- Znowu masz przecucia - powiedziałem. - Ale przecież sama świetnie rozumiesz, że Mały to jedyna nić, która nas wiąże z tymi niewidzialnymi. Jeżeli nie spodobamy się Małemu, jeżeli go sobie nie pozyskamy...

- Właśnie, właśnie - przerwała mi Majka. - O to właśnie chodzi. Cokolwiek Komow mówi, cokolwiek robi, widać na kilometr, że tylko jedno go interesuje - kontakt. Wszystko dla wielkiej idei pionowego postępu!

- A jak należy postępować?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może tak jak Jakub... W każdym razie Jakub - jedyny z was - rozmawiał z Małym po ludzku.

- No, wiesz - powiedziałem, nieco urażony - kontakt na poziomie bokobrodów - to już w ogóle...

Milczeliśmy oboje obrażeni na siebie wzajemnie. Majka z przesadną pedanterią naprowadzała czarny krzyż na zaśnieżone zęby skał. - Naprawdę, Majka - powiedziałem wreszcie. - Czy ty nie chcesz, żebyśmy nawiązali kontakt?

- Pewnie chcę - powiedziała Majka bez żadnego entuzjazmu. - Przecież widziałeś, jak bardzo się ucieszyłam, kiedy pierwszy raz zrozumieliśmy, o co chodzi... Ale słuchałam tej waszej rozmowy... i nie wiem. Może to dlatego, że jeszcze nigdy nie byłam obecna przy kontakcie... Nie tak to sobie wyobrażałam.

- Nie - powiedziałem. - Tu nie o to chodzi. Domyślam się, co ci doskwiera. Zdaje ci się, że on jest człowiekiem...

- Już to mówiłeś - powiedziała Majka.

- Nie, dosłuchaj do końca. Przez cały czas widzisz w nim to, co ludzkie. A spróbuj podejść do tego od innej strony. Nie będziemy mówić o fantomach, o mimikrze - ale co w nim w ogóle jest nasze? Do pewnego stopnia wygląd zewnętrzny, to, że chodzi na dwóch nogach... Może struny głosowe... No i co jeszcze? Nawet muskulatura jest nieczłowiecza, chociaż zdawałoby się, że to akurat jest zakodowane w genach... Ciebie po prostu zbija z tropu fakt, że on umie dobrze mówić. Rzeczywiście, mówi wspaniale... ale i to, jeżeli się dobrze zastanowić, też nie jest ludzkie! Żaden człowiek nie jest w stanie nauczyć się biegle mówić w ciągu czterech godzin. Problem nawet nie polega na słownictwie - trzeba opanować intonację, frazeologię... To odmieniec, jeśli chcesz wiedzieć, ale nie człowiek! Mistrzowska imitacja. Pomyśl tylko -

pamiętać to, co działo się z tobą w niemowlęctwie, a może, kto wie, w łonie matki... Czy to jest ludzkie? Czy widziałaś kiedyś robota-androida? Oczywiście nie widziałaś, a ja widziałem.

- No i co? - ponuro zapytała Majka.

- A to, że teoretycznie idealny robot-android może być zrobiony wyłącznie na wzór człowieka. To będzie supermyśliciel, to będzie supersiłacz, superuczuciowiec, wszystko, co chcesz, w tym i superczłowiek, ale w żadnym razie nie człowiek...

- Chcesz mi zdaje się udowodnić, że tubylcy przekształcili go w robota? - zapytała Majka z krzywym uśmiechem.

- Ależ skąd - powiedziałem z rozdrażnieniem. - Chcę cię tylko przekonać, że wszystko co ludzkie jest w nim przypadkowe, że to po prostu właściwości surowca. Powiedz sobie, że pertraktujesz z tymi kolorowymi wąsami.

Majka nagle złapała mnie za ramię i powiedziała półgłosem:

- Patrz, wraca!

Uniosłem się i spojrzałem na ekran. Od grzędzawiska prosto na statek szybko przebijając nogami pędziła z całej siły przekrzywiona figurka. Krótki, czarnoliliowy cień miotał się przed nią po ziemi, brudny kosmyk nad czołem połyskiwał rudo. Mały wracał, Mały się śpieszył. Swymi długimi rękami obejmował i przyciskał do brzucha coś w rodzaju wielkiego plecionego koszyka wypełnionego kamieniami. Strasznie ciężki musiał być ten koszyk.

Majka włączyła mikrofon.

- Stanowisko DSB, do Komowa - powiedziała głośno. - Mały się zbliża.

- Zrozumiałem - natychmiast odpowiedział Komow. - Jakub, idziemy na miejsce...:

Popow, zmienisz Głumową na stanowisku DSB. Maja, do mesy.

Majka niechętnie wstała.

- Idź, idź - powiedziałem. - Przyjrzyj mu się z bliska, naczynie boleści.

Majka gniewnie parsknęła i wbiegła na trap. Usiadłem na jej miejscu. Mały był już bardzo blisko. Teraz zwolnił biegu, spojrzał na statek i znowu miałem wrażenie, że patrzy mi prosto w oczy.

I w tym momencie zobaczyłem, że nad grzbietami gór, na szaroliliowym niebie z niczego, jak na wywołanej fotografii wystrzeliły potworne wąsy potwornych karaluchów. Jak poprzednio wyginały się powoli, kurczyły się, drgały. Naliczyłem ich sześć sztuk.

- Stanowisko DSB - odezwał się Komow. - Ile wąsów na horyzoncie?

- Sześć - odpowiedziałem. - Trzy białe, dwa czerwone i jeden zielony.

- No widzisz, Jakub powiedział Komow. - Żelazna prawidłowość. Mały do nas - wąsy w górę.

Przygłuszony głos Van der Hoosego powiedział:

- Podziwiam twoją przenikliwość, Giennadij, niemniej jednak dyżur uważam chwilowo za konieczny.

- Masz prawo - krótko odparł Komow. - Majka, siadaj tutaj.

Zameldowałem:

- Mały zniknął w martwym polu. Przydzwigał wielki kosz kamieni.

- Rozumiem - powiedział Komow. - Proszę się przygotować, koledzy!

Cały zamieniłem się w słuch i drgnąłem, kiedy z głośnika zagrział przeciągły łoskot. Nie od razu dotarło do mnie, że to Mały wysypał na podłogę wszystkie swoje kamienie za jednym zamachem. Słyszałem jego potężny oddech i nagle odezwał się zupełnie dziecinny głosik:

- Mam-ma! i z znowu - mam-ma...

A następnie rozdarł uszy znajomy zachłystujący się płacz rocznego dziecka. Zdrętwiałem, zbyt dobrze jeszcze pamiętałem swoje niedawne strachy i w tejże sekundzie zrozumiałem, co się stało - Mały zobaczył Majkę. Trwało to nie dłużej niż pół minuty, płacz ustał, znowu zagrzmiały kamienie i głos Komowa rzeczowo oznajmił:

- Oto pytanie. Dlaczego wszystko mnie interesuje? Wszystko dookoła... Dlaczego bez przerwy pojawiają się pytania? Przecież z nimi nie jest mi dobrze. One mnie swędzą. Dużo pytań. Dziesięć pytań dziennie, dwadzieścia pytań dziennie. Staram się uciec: biegam, cały dzień biegam albo pływam - nie pomaga. Wtedy zaczynam rozmyślać. Czasami przychodzi odpowiedź. To przyjemność. Czasami odpowiedź nie przychodzi. To zmartwienie. Bardzo swędzi. Szszarada. Najpierw myślałem, że pytania przychodzą od środka. Ale potem rozmyślałem i zrozumiałem - wszystko, co idzie od środka, powinno robić mi przyjemność. To znaczy, że pytania przychodzą z zewnątrz? Mam rację? Rozmyślam tak jak ty. Ale jeśli tak - gdzie one leżą, gdzie one wiszą, gdzie ich punkt?

Pauza. Potem znowu rozległ się głos Komowa - prawdziwego Komowa. Bardzo podobny, tylko że prawdziwy Komow mówił nie tak urywanie i głos jego brzmiał nie tak ostro. W gruncie rzeczy można to odróżnić, jeżeli się wie, o co chodzi.

- Mógłbym już teraz odpowiedzieć na twoje pytanie - powoli mówił Komow. - Ale boję się pomylić. Boję

się odpowiedzieć źle albo niedokładnie. Kiedy dowiem się o tobie wszystkiego, będę mógł odpowiedzieć bezbłędnie.

Pauza. Znowu zagruchotały przesuwane po podłodze kamienie.

- F-fragment - powiedział Mały. - Jeszcze pytanie. Skąd się biorą odpowiedzi? Ty zmusiłeś mnie do myślenia. Zawsze uważałem - jest odpowiedź - to przyjemność, nie ma odpowiedzi - zmartwienie.

Opowiedziałeś mi, jak rozmyślasz ty. Przypominałem sobie j przypomniałem, że ja też często tak rozmyślam i często przychodzi odpowiedź. Widać, jak ona przychodzi. Tak, ja robię kształt kamieni. O taki. ("Koszyk" - podpowiedział Komow). Tak, koszyk. Jeden pręt zaczepia się o drugi, drugi - o trzeci, trzeci - dalej i wychodzi... koszyk. Widać - jak. Ale znacznie częściej rozmyślam - znowu łoskot kamieni - i wychodzi gotowa odpowiedź. Jest wiązka prętów i nagle - gotowy koszyk. Dlaczego?

- I na to pytanie - powiedział Komow - będę mógł odpowiedzieć dopiero, kiedy dowiem się o tobie wszystkiego.

- To się dowiaduj! - zażądał Mały. - Dowiaduj się szybciej! Dlaczego nie dowiadujesz się? Ja sam opowiem. Był statek, tylko większy od twojego, teraz się skurczył, a był bardzo wielki. To sam wiesz. Potem było tak. Z głośnika doleciał rozdzierający chrzęst i trzask i natychmiast na przeraźliwie wysokiej nucie zakrzyczało dziecko. I poprzez ten pisk, poprzez zacichające trzaski, uderzenia, dźwięki tłuczonego szkła zachrypiał męski, zduszony głos:

- Mary... Mary... Ma... ry...

Dziecko krzychało zanosząc się i przez jakiś czas nic więcej nie było słyhać. Potem coś zaszeleściło, usłyszałem stłumiony jęk... Ktoś czołgał się po zasypanej gruzem i odłamkami podłodzi, coś potoczyło się z chrobotem. Znajomy, straszliwie znajomy głos kobiecy wyjęczał:

- Szura... Gdzie jesteś, Szura?... Boli... Co się stało? Gdzie jesteś? Nic nie widzę, Szura... Odezwij się, Szura! Jak boli! Pomóż mi, ja nic nie widzę...

I to wszystko poprzez nieustający krzyk dziecka. Potem kobieta ucichła, a po jakimś czasie ucichło również dziecko.

Odetchnąłem głęboko i dopiero wtedy zauważyłem, że pięści mam zaciśnięte, paznokcie wbite w dłonie i że szczęki mi zdrętwiały.

- Tak było długo - powiedział Mały uroczyście. - Zmęczył mnie krzyk. Usnąłem. Kiedy się obudziłem, było ciemno jak przedtem. Było mi zimno. Chciałem jeść. Tak mocno chciałem jeść i żeby było ciepło, że tak się stało.

Wodospad dźwięków runął z głośnika - zupełnie nieznanym dźwięków. Równomierne, narastające buczenie, często powtarzające się szczekanie, pogłos przypominający echo, basowe, na progu słyszalności, mamrotanie, pisk, skrzyp, brzęczenie, miedziane gongi, trzaski... Trwało to długo, kilka minut. Potem wszystko jednocześnie ucichło i Mały lekko zadyszany powiedział:

- Nie. Tak ja nic nie opowiem. Tak będą opowiadać, tyle czasu, ile żyją. Co robić?

- I nakarmili cię? Ogrzali? - zapytał Komow równym głosem.

- Stało się tak, jak chciałem. I od tej pory zawsze było tak, jak chciałem. Póki nie przyleciał pierwszy statek.

- A co to było? - zapytał Komow, moim zdaniem bardzo udatnie naśladowując dźwiękową kaszę, którą słyszeliśmy przed chwilą.

Pauza.

- A, rozumiem - powiedział Mały. - Ty zupełnie nie umiesz, ale ja cię zrozumiałem. Ale ja nie mogę odpowiedzieć. Przecież ty sam nie masz słów, żeby nazwać. A ty znasz więcej słów niż ja. Daj mi słowa. Ty mi dałeś dużo słów, ale wszystkie nie te.

Pauza.

- Jakiego to było koloru? - zapytał Komow.

- Żadnego. Kolor to wtedy, kiedy patrzysz oczami. Tam nie można patrzeć oczami.

- Gdzie - tam?

- U mnie. Głęboko. W ziemi.

- A jak tam jest na dotyk?

- Wspaniale - powiedział Mały. - Przyjemność. Cheshire kot! U mnie jest najlepiej. To było, póki nie przyszli ludzie.

- Ty tam śpisz? - zapytał Komow.

- Ja tam wszystko. Śpię, jem, rozmyślam. Tylko bawię się tu dlatego, że lubię patrzeć oczami. I jeszcze tam jest ciasno do zabawy. Jak w wodzie, tylko jeszcze ciaśniej.

- Ale przecież w wodzie nie można oddychać - powiedział Komow.

- Dlaczego nie można? Można. I bawić się można. Tylko ciasno.

Pauza.

- Teraz już wiesz o mnie wszystko? - zapytał Mały.

- Nie zdecydowanie powiedział Komow. - Niczego się o tobie nie dowiedziałem. Widzisz sam, że nie mamy wspólnych słów. Być może masz swoje słowa?

- Słowa... - powoli powtórzył Mały. - To wtedy, kiedy ruszają się usta, a potem można słyszeć uszami. Nie. To tylko u ludzi. Ja wiedziałem, że są słowa, dlatego że pamiętam. Na bim-bom-bramsel. Co takiego? Ja nie wiem. Ale teraz wiem, po co jest dużo słów. Przedtem nie wiedziałem. Było przyjemnie mówić. Zabawa.

- Teraz ty wiesz, co znaczy słowo "ocean" - powiedział Komow. - Ale ocean widziałeś i przedtem. Jak go nazywałeś?

Pauza.

- Słucham - powiedział Komow.

- Czego słuchasz? Po co? Ja nazwałem. Tak nie można usłyszeć. To wewnątrz.

- Być może, potrafisz pokazać? - zapytał Komow. - Masz kamienie, pręty...

- Kamienie i pręty nie po to, żeby pokazywać - oznajmił Mały, jak mi się wydało gniewnie. - Kamienie i pręty po to, żeby rozmyślać. Jeżeli trudne pytanie - kamienie i pręty. Jeśli nie wiesz, jakie pytanie - liście. Tu jest dużo różnych rzeczy. Woda, lód - lód dobrze topnieje, dlatego... - Mały zamilkł. - Nie ma słów - oświadczył. - Dużo różnych rzeczy. Włosy... i dużo tego, na co nie ma słów. Ale to tam, u mnie. Usłyszałem ciężkie, długie westchnienie. Moim zdaniem to był Van der Hoose. Majka nagle zapytała:

- A kiedy tak poruszasz twarzą? Co ta?

- Mam-ma... powiedział Mały czułym miaukliwym głosikiem. - Twarz, ręce, ciało - mówił dalej głosem Majki - to też rzeczy do rozmyślenia. Tych rzeczy jest dużo. Za długo nazywać wszystkie.

Pauza.

- Co robić? - zapytał Mały. - Wymyśliłeś?

- Wymyśliłem - odparł Komow. - Weźmiesz mnie do siebie. Popatrzę i od razu dużo się dowiem. Być może nawet wszystkiego.

- Rozmyślałem o tym - powiedział Mały. - Ja wiem, że ty chcesz do mnie. Ja też chce, ale ja nie mogę. To pytanie! Kiedy ja chcę, wszystko mogę. Tylko nie z ludźmi. Ja nie chcę, żeby oni byli, a oni są. Ja chcę, żebyś ty przyszedł do mnie, ale nie mogę. Ludzie - to zmartwienie.

- Rozumiem powiedział Komow.

W takim razie zabiorę cię do siebie. Chcesz?

- Dokąd?

- Do siebie. Tam, skąd przyszedłem. Na Ziemię, gdzie mieszkają wszyscy ludzie. Tam też mogę się wszystkiego o tobie dowiedzieć i to dosyć szybko.

- Ale przecież to daleko - powiedział Mały. - Albo cię nie zrozumiałem?

- Tak, to bardzo daleko - powiedział Komow. - Ale mój statek...

- Nie! - powiedział Mały. - Ty nie rozumiesz. Ja nie mogę daleko. Ja nie mogę nawet trochę daleko, a już zupełnie nie mogę bardzo daleko. Jeden raz bawiłem się na krach. Zasnąłem. Obudziłem się od strachu. Wielki strach, ogromny! Nawet krzyknąłem. Fragment! Kra odpływała i widziałem tylko szczyty gór. Pomyślałem, że ocean połknął ziemię. Oczywiście wróciłem. Bardzo chciałem wrócić i kra od razu z powrotem do brzegu. Ale teraz wiem, że mi nie wolno daleko. Ja nie tylko się bałem. Było mi źle. Jak z głodu, tylko znacznie gorzej. Nie, ja nie mogę do ciebie.

- No, dobrze - powiedział Komow sztucznie wesołym głosem. - Na pewno znudziło ci się odpowiadać i odpowiadać. Ja wiem, że lubisz zadawać pytania. Zadawaj, a ja będę odpowiadać.

- Nie - powiedział Mały. - Ja mam dużo pytań do ciebie. Dlaczego spada kamień? Co to takiego gorąca woda? Dlaczego palców jest dziesięć, a żeby liczyć wystarczy jeden? Dużo pytań. Ale ja nie będę teraz pytać. Teraz jest źle. Ty nie możesz do mnie, ja nie mogę do ciebie i słów nie ma. Więc ty nie możesz dowiedzieć się o mnie wszystkiego. Szszarada! To znaczy, że nie możesz odejść. Proszę cię - myśl, co zrobić. Jeśli sam nie możesz szybko myśleć, niech myślą twoje maszyny - milion razy szybciej. Ja odchodzę. Nie można rozmyślać, kiedy rozmawiasz. Rozmyślaj szybciej dlatego, że jest mi bardziej źle niż wczoraj. A wczoraj było gorzej niż przedwczoraj.

Z łoskotem potoczył się kamień. Van der Hoose znowu ciężko i przeciągle westchnął. Nie zdążyłem nawet mrugnąć, a już Mały jak wicher pędził w kierunku wzgórz, przez plac budowy. Widziałem, jak przeskoczył pas startowy i nagle znikł, jakby go nigdy nie było. I w tej samej sekundzie, jakby na komendę znikły różnokolorowe wąsy nad górami.

- Tak - powiedział Komow. - Nie ma innego wyjścia. Jakub, proszę cię, nadaj depezę do Sidorowa. Niech przysyłają aparaturę. Widzę, że bez encefaloskopu się nie obejdu.

- Dobrze - zgodził się Van der Hoose. - Ale chciałbym zwrócić twoją uwagę, Giennadij... W ciągu całej rozmowy na indykatorze ani razu nie zapaliła się zielona lampka.

- Widziałem - powiedział Komow.

- Ale to nie są zwyczajne negatywne napięcia emocjonalne, Giennadij. To najwyższe napięcie negatywnych

emocji...

Odpowiedzi Komowa nie usłyszałem.

Przesiedziałem na stanowisku cały wieczór i połowę nocy. Ani wieczorem, ani w nocy Mały więcej się nie pokazał. Wąsy również się nie pokazały. Ani Majka.

Rozdział VII

PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI

Przy śniadaniu Komow był bardzo rozmowny. W nocy moim zdaniem nie spał w ogóle, oczy miał czerwone, policzki zapadnięte, ale był wesoły i podniecony. Pił ogromne ilości mocnej herbaty i referował nam swoje wstępne spostrzeżenia i wnioski.

Według jego słów teraz nie było już żadnych wątpliwości, że tubylcy poddali organizm chłopca zasadniczej przebudowie. Okazali się zdumiewająco odważnymi i sprawnymi eksperymentatorami - przekształcili jego fizjonomię, a po części i budowę anatomiczną, nieprawdopodobnie uaktywnili jego mózg, a ponadto wyposażyli Małego w nowe mechanizmy fizjologiczne, których współczesna nauka ziemską nie jest w stanie wykształcić w ludzkim organizmie. Cel tych anatomo-fizjologicznych operacji być może jest oczywisty - tubylcy starali się po prostu przystosować bezradne ludzkie dziecko do nieludzkich warunków egzystencji na planecie. Niezupełnie jasna jest chwilowo odpowiedź na pytanie, dlaczego tak poważnie wtrącili się w funkcjonowanie centralnego systemu nerwowego. Można, rzecz jasna, przypuścić, że te efekty osiągnęli przypadkowo, jako uboczny skutek zmian anatomo-fizjologicznych. Ale można przypuścić również, że tubylcy wykorzystali rezerwy ludzkiego organizmu w określonym celu. Przy takim założeniu mamy do dyspozycji cały wachlarz hipotez. Na przykład: tubylcy starali się, aby Mały zachował swoje niemowlęce wspomnienia i wrażenia po to, by ułatwić mu późniejszą wtórną adaptację, jeżeli znowu powróci do ludzkiego społeczeństwa. Istotnie Mały zdumiewająco łatwo oswoił się z nami i nie wydajemy się mu ani potworami, ani cudakami. Ale nie jest również wykluczone, że niezwykła pamięć Małego i jego fenomenalnie rozwinięte ośrodki mowy są zaledwie rezultatem ubocznym pracy tubylców nad jego mózgiem. Jest możliwe, że tubylcy przede wszystkim starali się osiągnąć stabilną łączność psychiczną między nimi a centralnym systemem nerwowym Małego. To, że taka łączność istnieje, wydaje się w najwyższym stopniu prawdopodobne, w każdym razie inaczej trudno wytłumaczyć takie fakty, jak spontaniczne, alogiczne powstawanie odpowiedzi na pytania, o czym opowiadał Mały, bezwzględne wypełnianie wszystkich świadomych, a nawet podświadomych życzeń Małego, to, że nie może oddalić się od tego, określonego rejonu planety. Do tego kompleksu problemów należy zaliczyć stan napięcia psychicznego, w którym znajduje się Mały w związku z przybyciem ludzi. Sam Mały nie jest w stanie wyjaśnić, w czym właściwie przeszkadzają mu ludzie. Najwidoczniej przeszkadzamy nie jemu. Przeszkadzamy tubylcom. I w tym momencie zbliżamy się do najistotniejszego problemu dotyczącego natury mieszkańców tej planety.

Elementarna logika każe nam przypuścić, że tubylcy są albo istotami mikroskopijnymi, albo gigantami - tak czy inaczej są niewspółmierni z fizycznymi rozmiarami Małego. I właśnie dlatego Mały traktuje przejawy ich działalności i ich samych jak żywo, jak część przyrody otaczającej go od dzieciństwa. (Kiedy zapytano go o "wąsy", Mały obojętnie oświadczył, że "wąsy" widzi po raz pierwszy, ale przecież codziennie widzi coś po raz pierwszy. Zaś słowa na określenie podobnych zjawisk nie udało się znaleźć). On, Komow, osobiście jest skłonny przypuszczać, że tubylcy to niebywałych rozmiarów superorganizmy, nadzwyczaj dalekie zarówno od humanoidów, jak i od struktur ahumanoidalnych, z którymi człowiek miał okazję stykać się do tej pory. Jak dotąd, wiemy o nich katastrofalnie mało. Widzieliśmy potworne konstrukcje (czy też organizmy?) nad horyzontem, których pojawienie się i znikanie jest wyraźnie związane z wizytami Małego. Słyszeliśmy nie r wywołujące żadnych skojarzeń dźwięki, przy których pomocy Mały opisywał swój "dom". Zrozumieliśmy, że zarówno teoretyczna, jak i praktyczna wiedza tubylców znajduje się na niebywale wysokim poziomie sądząc z tego, w co udało się im przekształcić zwyczajne ziemskie niemowlę. I to wszystko, co wiemy. Na razie nawet pytań mamy niewiele, chociaż są to pytania fundamentalne. Dlaczego tubylcy uratowali i nadal wychowują Małego, dlaczego w ogóle zainteresowali się nim i czego od niego chcą? Skąd znają ludzi - i to, należy sądzić, nieźle znają, orientują się przecież w ich psychologii i socjologii? Dlaczego pomimo to tak kategorycznie odmawiają wszelkich kontaktów z człowiekiem? Jak pogodzić niewątpliwie wysoki poziom wiedzy z absolutnym brakiem śladów jakiegokolwiek rozumnej działalności? Czy obecny opłakany stan planety jest właśnie rezultatem tej działalności? A może ten stan jest właśnie rezultatem tej działalności? A może ten stan jest opłakany tylko z naszego punktu widzenia? Oto właściwie wszystkie podstawowe pytania. On, Komow, ma swoje zdanie na ten temat, ale przypuszcza, że chwilowo jest jeszcze za - wcześniej, by je wypowiedzieć.

W każdym razie jasne jest, że dokonano odkrycia i to odkrycia pierwszorzędnej wagi, należy je bezwzględnie zdyskontować, a to będzie możliwe tylko za pośrednictwem Małego. Niedługo powinien nadejść encefaloskop i reszta specjalistycznej aparatury. Wykorzystać ją w stu procentach uda nam się tylko wtedy, jeśli Mały będzie miał do nas całkowite zaufanie, a nawet więcej - jeżeli staniemy mu się po prostu niezbędni.

- Postanowiłem dzisiaj nie kontaktować się - z nim - oświadczył Komow odsuwając pustą szklanekę. - Dziś wasza kolej. Staszek, pokażesz mu swojego Toma. Majka, będziesz z nim grała w piłkę i przewieziesz go na gliderze. Traktujcie go normalnie, wesoło, po prostu. Wyobraźcie sobie, że to wasz młodszy brat, wunderkind... Jakub, będziesz musiał posiedzieć na dyżurze. W końcu to był twój pomysł... No a jeśli Mały jakoś cię dopadnie, zbierz siły i pozwól mu zbadać twoje bokobrody - było widać, że go okropnie interesują. A ja zaczaję się jak pająk, będę wszystko obserwował i rejestrował. Dlatego, moi młodzi koledzy, zostaniecie odpowiednio wyekwipowani i zaopatrzcie się w "trzecie oko". Jeżeli Mały zapyta o mnie, odpowiedzcie mu, że rozmyślam. Śpiewajcie mu piosenki, pokażcie mu filmy... Staszek, zademonstrujesz mu komputer, pokażesz, jak działa, spróbujesz z nim liczyć na wyścigi. Myślę, że tu nas czeka niespodzianka... I niech Mały dużo pyta, niech pyta jak najwięcej. Im więcej, tym lepiej... No, młodzież, do roboty!

Zerwał się z krzesła i wybiegł. Spojrzeliśmy po sobie.

- Czy będą jakieś pytania, panie technik? - zapytała Majka. Zimno zapytała, nieprzyjaźnie. To były jej pierwsze słowa tego ranka. Nawet nie przywitała się dzisiaj ze mną.

- Nie, panie kwatermistrzu - powiedziałem. Nie mam pytań, panie kwatermistrzu. Widzę pana, ale nie słyszę.

- Wszystko to oczywiście bardzo pięknie - odezwał się z zadumą Van der Hoose. - Bokobrodów mi nie szkoda. Ale...

- O, właśnie - powiedziała Majka wstając. - Ale?...

- Chcę powiedzieć - mówił dalej Van der Hoose - że wczoraj wieczorem przyszła depecha od Gorbowskiego. W wyjątkowo delikatnym tonie, ale zupełnie niedwuznacznie prosił Komowa o nieforsowanie kontaktu. I znowu dawał do zrozumienia, że chętnie się do nas przyłączy.

- A co na to Komow? - zapytałem.

Van der Hoose zadarł głowę i gładząc lewy bakenbard spojrzął na mnie z góry.

- Komow wypowiedział się o tej propozycji bez przesadnego szacunku - odparł Van der Hoose. -

Oczywiście ustnie. Zaś oddepeszował Gorbowskiemu w tym duchu, że dziękuje za radę.

- I co? - zapytałem. Miałem wielką ochotę zobaczyć Gorbowskiego. Nigdy do tej pory nie widziałem go z bliska.

- I to wszystko - powiedział Van der Hoose również wstając.

Majka i ja poszliśmy do arsenału. Tam odszukaliśmy i założyliśmy na czoła szerokie plastikowe przepaski z "trzecim okiem" - mam na myśli te portatywne telenadajniki dla samotnych zwiadowców, z ich pomocą można nieprzerwanie nadawać wizualną i akustyczną informację, wszystko, co widzi i słyszy sam zwiadowca. Prosta, ale praktyczna sztuczka, dopiero od niedawna jest na wyposażeniu EZ. Musieliśmy się trochę pomęczyć, zanim dopasowaliśmy przepaski tak, żeby nie uciskały skroni, nie spadały na nos i żeby kaptur nie ekranował obiektywu.

Potem Majka poszła do swojej kajuty po piłkę, a ja wypuściłem na wolność Toma i wygoniłem go na pas startowy. Słońce już wstało, nocny mróz nieco zelżał, ale nadal było bardzo zimno. Małego nigdzie nie zauważyłem.

Przegoniłem Toma kilkakrotnie po pasie startowym dla rozgrzewki. Tom czuł się zaszczycony moją uwagą i z wdzięczności ciągle pytał o polecenia. Potem nadeszła Majka z piłką i żeby nie zamarznąć pograliśmy z pięć minut - szczerze mówiąc nie bez przyjemności. Ciągle miałem nadzieję, że Majka jak zwykle wciągnie się do gry, ale nic z tego nie wyszło. W końcu zbrzydło mi i zapytałem wprost, co się stało. Majka położyła piłkę na ziemi, usiadła na piłce, podciągnęła docheć i frasobliwie oparła policzek na dłoni.

- Może jednak dowiem się, o co chodzi? - powtórzyłem.

Majka spojrzała na mnie i odwróciła się.

- A może jednak odpowiesz? - zapytałem podnosząc głos.

- Wiatr jest dzisiaj - powiedziała z roztargnieniem spoglądając na niebo.

- Co? - zapytałem. - Jaki wiatr?

Majka stuknęła się palcem w czoło obok obiektywu "trzeciego oka" i powiedziała:

- Ka-ba-ka-łwan. Ka-nas ka-prze-ka-cież ka-sły-ka-szą.

- Ka-sa-ka-ma ka-ba-ka-łwan - odpowiedziałem. - Ka-tam ka-ma-ka-ją ka-prze-ka-ka-żnik.

- Też racja - powiedziała Majka. - Mówię przecież - mamy dziś wiatr.

- Tak - potwierdziłem - rzeczywiście mamy wiatr.

Stałem tak chwilę z uczuciem diabelnego skrepowania, starając się wymyśleć jakiś neutralny temat do rozmowy, ale nic oprócz tegoż wiatru nie wymyśliłem i wtedy wpadło mi do głowy, że nieźle byłoby się przespacerować. Jeszcze ani razu nie chodziłem po okolicy - prawie już tydzień tu jestem, a po tej ziemi właściwie nie chodziłem, widziałem ją tylko na ekranach. Zresztą mieliśmy szansę natknąć się gdzieś w zaroślach na Małego, zwłaszcza jeśli on sam tego zechce, i tym sposobem połączymy przyjemne z pożytecznym - zaczniemy z nim pogawędkę w znanym mu otoczeniu. Wszystko to wyłożyłem Majce. Majka w milczeniu wstała i ruszyła w stronę bagna, a ja chowając nos w futrzanym kołnierzu, a ręce głęboko w kieszeniach, poszedłem za nią. Tom omdlewając z usłużności przyczepił się w pierwszej chwili do nas, ale kazałem mu zostać na miejscu i oczekiwać na dalsze polecenia.

Wydało mi się, że widzę jakiś ruch w gęstych zaroślach po prawej stronie. Stałem, zawołałem "Mały!", ale nikt się nie odezwał. Otaczała nas zamarznięta, lodowata cisza. Ani szelestu liści, ani brzęczenia owadów, jakbyśmy błądzili wśród teatralnych dekoracji. Obeszliśmy długi język mgły wypływający z gorącej topieli i zaczęliśmy włączyć na zbocze pagórka. Właściwie była to piaszczysta wydma umocniona krzakami. Im wyżej, tym twardsza stawała się piaszczysta ziemia pod naszymi nogami. Kiedy dotarliśmy na samą górę, rozejrzeliśmy się dookoła. Statek skrywały obłoki mgły, ale pas startowy widać było bardzo dobrze. Wesoło i osłepiająco jarzyła się w słońcu jego falista powierzchnia, sieroco czerniała na samym środku porzucona piłka i potężny Tom niezdecydowanie dreptał wokół niej - wyraźnie próbował rozwiązać problem przekraczający jego siły, a mianowicie - czy uprzątnąć z pasa ten postronny przedmiot, czy też raczej w razie wypadku oddać życie w obronie rzeczy pozostawionej przez człowieka.

Wtedy zobaczyłem ślady na zamarzniętym piasku - ciemne, wilgotne plamy na srebrzystej oszronionej ziemi. Tędy przechodził Mały, przechodził bardzo niedawno. Siedział na szczycie wydmy, a potem wstał i zszedł na dół zboczem, oddalając się od statku. Siady prowadziły w krzewy zarastające wąwóz między wydmami. Znowu zawołałem "Mały!" i znowu nikt się nie odezwał. Wtedy zacząłem schodzić na dół. Znalazłem go od razu. Leżał na brzuchu, wyciągnięty, wtulony policzkiem w ziemię, oburącz ściskając głowę. Wydawał się niemożliwy i zdumiewający w tym miejscu, w żaden sposób nie pasował do tego lodowatego krajobrazu, zaprzeczał mu. W pierwszym momencie nawet się przeraziłem - myślałem, że coś się stało. Było tu zbyt zimno i martwo. Przykucnąłem obok Małego, przemówiłem do niego, a później, kiedy w dalszym ciągu milczał, leciutko klepnąłem go po gołym, chudym tyłku. Wtedy pierwszy raz dotknąłem go i omal nie wrzasnąłem zaskoczony - wydał mi się gorący jak żelazko.

- On wymyślił? - nie podnosząc głowy zapytał Mały.

- On rozmyśla - odparłem. - Trudne pytanie.

- A jak ja się dowiem, co on wymyślił?

- Przyjdiesz i on ci od razu powie.

- Mam-ma - nagle powiedział Mały.

Podniosłem oczy. Obok stała Majka.

- Mam-ma - powtórzył Mały nie ruszając się.

- Tak, słoneczko - powiedziała Majka cicho.

Mały usiadł - przepłynął z pozycji leżącej w siedzącą.

- Powiedz jeszcze raz! - zażądał.

- Tak, słoneczko powiedziała Majka. Twarz jej pobladła i wyraźnie wystąpiły na niej piegi.

- Fenomenalne! - oświadczył Mały oglądając ją od dołu do góry. - Szczygiełek!

Odkaslnąłem.

- Czekaliście na ciebie, Mały - powiedziałem.

Teraz patrzył na mnie. Z wielkim wysiłkiem powstrzymałem się od odwrócenia oczu. Straszna jednak miał twarz.

- Po co na mnie czekałeś?

- Jak to po co... - Nieco się speszyłem, ale nagle mnie olśniło. - Nudno nam bez ciebie. Źle nam bez ciebie.

Żadnej przyjemności nie ma, rozumiesz?

Mały poderwał się na nogi i zaraz znowu usiadł. Bardzo niewygodnie usiadł, ja bym nawet dwóch minut tak nie przesiedział.

- Tobie jest źle beze mnie?

- Tak - stwierdziłem stanowczo.

- Fenomenalne - powiedział Mały. - Tobie jest źle beze mnie, a mnie jest źle bez ciebie. Sz-szarada!

- Dlaczego szarada? - zmartwiłem się. - Gdybyśmy nie mogli być razem, to wtedy byłaby szarada. Ale teraz spotkaliśmy ciebie, możemy się bawić... Ty przecież lubisz się bawić, a dotąd zawsze bawiłeś się sam...

- Nie - powiedział Mały. - Tylko na początku bawiłem się sam. A potem bawiłem się na jeziorze i zobaczyłem swoje odbicie w wodzie. Chciałem się z nim bawić, ale ono się rozpadło. Wtedy bardzo chciałem mieć swoje wizerunki, dużo wizerunków, żeby się z nimi bawić. I tak się stało.

Zerwał się i zaczął biegać wkoło, zostawiając za sobą swoje dziwaczne fantomy - czarne, białe, żółte, czerwone... a potem usiadł w środku i dumnie spojrzał na nas. Muszę wam powiedzieć, że był to widok niezwykle - nagi chłopiec na piasku, wokół niego tuzin kolorowych figur w najróżniejszych pozach.

- Fenomenalne - powiedziałem i spojrzałem na Majkę, zapraszając ją do wzięcia udziału w rozmowie. Było mi głupio, że ja przez cały czas mówię, a ona milczy. Ale Majka nie odezwała się, tylko patrzyła ponuro, a fantomy powoli topniały roztaczając zapach amoniaku.

- Zawsze chciałem zapytać - oznajmił Mały. - Po co się zawijacie? Co to takiego? - podskoczył do mnie i szarpnął za poję dochy.

- Ubranie - odpowiedziałem.

- Ubranie - powtórzył. - Po co?

Opowiedziałem mu o ubraniu. Nie jestem Komowem. W życiu nie robiłem wykładu o strojach. Ale mogę wyznać bez fałszywej skromności, że wykład odniósł sukces.

- Wszyscy ludzie są w ubraniach? - zapytał Mały, wstrząśnięty.

- Wszyscy - odparłem, żeby skończyć z tym problemem. Niezupełnie rozumiałem, co nim właściwie tak wstrząsnęło.

- Ale ludzi jest dużo? Ile?

- Piętnaście miliardów.

- Piętnaście miliardów - powtórzył, wystawił przed siebie palec bez paznokcia, zaczął go zginać i prostować.

- Piętnaście miliardów! - powiedział i obejrzał się na przezroczyste resztki fantomów. Jego oczy pociemniały. - I wszyscy w ubraniach... A co jeszcze?

- Nie rozumiem.

- Co oni jeszcze robią?

Nabrałem powietrza w płuca i rozpocząłem opowieść o tym, co robią ludzie. Dziwne, ale jakoś nigdy nie zastanawiałem się nad tym zagadnieniem. Obawiam się, że Mały odniósł wrażenie, że ludzkość głównie zajmuje się cybernetyką. Zresztą pomyślałem, że jak na początek poszło zupełnie nie najgorzej. Mały wprawdzie nie miotał się jak w czasie wykładów Komowa, nie zawiązywał się na supeł, ale i tak słuchał jak zaczarowany. A kiedy skończyłem po kilku rozpaczliwych próbach wyjaśnienia mu, czym jest sztuka, Mały natychmiast zadał następne pytanie:

- Tak dużo zajęć - powiedział. - Po co przyszlście tutaj?

- Majka, opowiedz mu - wychrypiałem błagalnie. - Nos mi całkiem zamarzł.

Majka spojrzała na mnie wrogo, ale jednak zaczęła bez zapału i według mojej opinii nieciekawie opowiadać o świętej pamięci projekcie "Arka". Nie wytrzymałem i zacząłem jej przerywać, próbując ożywić wykład malowniczymi szczegółami, uściślałem, wnosilem poprawki i w końcu okazało się, że znowu mówię sam. Swoją opowieść uznałem za stosowne zakończyć morałem.

- Sam widzisz - powiedziałem. - Realizowaliśmy wielki projekt, ale jak tylko okazało się, że twoja planeta jest zajęta, natychmiast zrezygnowaliśmy z naszych planów.

- To znaczy, ludzie umieją wiedzieć, co będzie? - zapytał Mały. - Ale to nieścisle. Gdyby ludzie umieli, dawno by stąd odeszli.

Nie wymyśliłem zręcznej odpowiedzi. Temat wydał mi się śliski.

- Wiesz, Mały - powiedziałem raźnie - chodź, pobawimy się. Zobaczysz, jak fajnie bawić się z ludźmi.

Mały milczał. Groźnie spojrzałem na Majkę - co ona wyprawia, jak Boga kocham, nie mogę przecież sam ciągnąć całego kontaktu!

- Chodź, pobawimy się, Mały - bez żadnego entuzjazmu poparła mnie Majka. - Albo, jeżeli chcesz, przewiozę cię na latającej maszynie?

- Będziesz latać w powietrzu - wtrąciłem się - a wszystko będzie na dole - góry, bagno, lodowiec...

- Nie - powiedział Mały. - Latać to zwyczajna przyjemność. To ja sam mogę.

Aż podskoczyłem.

- Jak to sam?

Przez jego twarz przeleciała błyskawiczna fala drgań, ramiona uniosły się i opadły.

- Nie ma słów powiedział. Kiedy chcę - latam...

- No więc poleć! - wyrwało mi się.

- Teraz nie chcę - powiedział niecierpliwie. - Teraz dla mnie przyjemność - z wami. - Zerwał się na nogi. -

Chcę się bawić! - oznajmił. - Gdzie?

- Pobiegnijmy do statku - zaproponowałem.

Mały wydał z siebie przerażający okrzyk i echo nie zdążyło jeszcze zamrzeć wśród wydym, kiedy jak na wyścigi - pędziliśmy przez krzaki. Na Majkę ostatecznie machnąłem ręką - niech robi, co chce.

Mały śmigał między krzakami jak promień światła. Według mnie nie potrafił nawet jednej gałązki i ani razu nie dotknął stopą ziemi. Ja, zamotany w podgrzewaną elektrycznością dochę, przedzierałem się przez

zarośla jak czołg pustynny. Próbowałem dogonić Małego, ale bez przerwy zbijały mnie z tropu fantomy, które zostawiał za sobą. Na skraju zarośli Mały przystanął, poczekał na mnie i powiedział:

- U ciebie też tak bywa? Budzisz się i wspominasz, że przed chwilą coś widziałeś? Czasami to jest dobrze znane. Na przykład jak latam. Czasami zupełnie nowe, czego nigdy nie widziałeś.

- Owszem, bywa odparłem łapiąc powietrze. - To się nazywa sen. Śpisz i widzisz sny.

Poszliśmy wolniej. Gdzieś z tyłu przez krzaki przedzierała się Majka.

- Skąd się to bierze? - zapytał Mały. - Co to takiego - sny?

- Niezwykłe kombinacje zwykłych wrażeń - wyrecytowałem.

Mały oczywiście nie zrozumiał i trzeba było zrobić mu jeszcze jeden wykład o tym, czym są sny, jak powstają, po co są potrzebne i jak źle byłoby ludziom, gdyby nie było snów.

- Cheshire kot! Ale ja ciągle nie rozumiem, dlaczego widzę we śnie to, czego nigdy nie widziałem.

Majka dogoniła nas i w milczeniu poszła razem z nami.

- Na przykład? - zapytałem.

- Czasem mi się śni, że jestem wielki, ogromny, że rozmyślam, że pytania przychodzą do mnie jedno za drugim, olśniewające pytania, zupełnie niezwykle i że ja znajduję odpowiedzi, niezwykle odpowiedzi i że bardzo dobrze widzę, jak z pytania powstaje odpowiedź. To największa przyjemność, kiedy wiesz, jak z pytania powstaje odpowiedź. Ale kiedy się budzę, nie pamiętam ani pytań, ani odpowiedzi. Pamiętam tylko przyjemność.

- Ta-ak powiedziałem wymijająco. Interesujący sen. Ale nie umiem ci go wytłumaczyć. Zapytaj Komowa. Może on będzie umiał.

- Komowa... Co to takiego - Komow?

Musiałem mu wytłumaczyć nasz system imion. Już bagno zostało za nami, mieliśmy przed sobą statek i pas startowy. Kiedy skończyłem mówić, Mały nagle odezwał się ni z tego, ni z owego.

- Dziwne. Nigdy jeszcze tak ze mną nie było.

- Jak?

- Żebym czegoś chciał dla siebie i nie mógł.

- A czego ty chcesz?

- Chcę się rozdzielić na pół. Teraz jestem jeden, a chcę żeby było dwa.

- E, bracie - powiedziałem. - Nie masz nawet co się starać. To niemożliwe.

- A gdyby możliwe? Dobrze czy źle?

- Źle, oczywiście - powiedziałem. - Niezbyt dokładnie rozumiem, co chcesz powiedzieć... Można rozerwać się na pół. To bardzo źle. Można zachorować, to się nazywa rozdwojenie jaźni. To też źle, ale można poprawić.

- Boli? - zapytał Mały.

Weszliśmy już na pas. Tom sunął nam na spotkanie tocząc przed sobą piłkę i radośnie migając światełkami sygnalizacyjnymi.

- Daj sobie z tym spokój powiedziałem. - W całości też jesteś dobry.

- Nie. Niedobry - zaprzeczył Mały, ale w tym momencie nadjechał Tom i zaczęła się zabawa.

Jak grad posypały się pytania. Nie nadażalem z odpowiedziami. Tom nie nadażał z wypełnianiem poleceń. Piłka nie nadażała dotykać ziemi. Tylko Mały nadażał ze wszystkim.

Z boku wyglądało to na pewno bardzo wesoło. Zresztą naprawdę było nam wesoło, nawet Majka w końcu jakoś się wpiągnęła. Zapewne robiliśmy wrażenie podrostków, którzy zwagarowali z lekcji i pobiegli na brzeg oceanu. Początkowo czuliśmy jeszcze skrępowanie, przeszkadzała nam świadomość, że to nie jest zabawa, tylko praca, że każdy nasz ruch jest śledzony, że między nami a Małym legło coś ciężkiego, niedopowiedzianego, ale potem jakoś to wszystko poszło w niepamięć. Została tylko piłka lecąca ci prosto w twarz, entuzjazm po udanym rzucie, została złość na niezgrabnego Toma, zostało dzwonienie w uszach od dziarskiego pohukiwania i ostry, urywany śmiech Małego - pierwszy raz usłyszeliśmy wtedy jego śmiech, nieopanowany, zupełnie dziecienny...

To była dziwna zabawa. Mały sam na poczekaniu wymyślał jej zasady. Okazał się nieprawdopodobnie wytrzymały i zawzięty, nie przepuszczał żadnej okazji, żeby nam zademonstrować swoją przewagę fizyczną, narzucił nam współzawodnictwo, i jakoś tak samo przez się wyszło, że grał sam jeden przeciwko naszej trójce, a myśmy ciągle przegrywali. Najpierw Mały wygrywał, ponieważ chcieliśmy, żeby wygrał. Potem wygrywał, ponieważ nie rozumieliśmy jego zasad. Potem zrozumieliśmy zasady, ale Majce i mnie przeszkadzały dochy. Potem doszliśmy do wniosku, że Tom jest zbyt niezgrabny i wyrzuciliśmy go z gry. Majka wpadła w zapał i zaczęła grać na pełny regulator, ja również robiłem, co w mojej mocy, ale nadal traciliśmy punkt za punktem. Nic nie mogliśmy zrobić z tym błyskawicznym diabełkiem, który odbierał każdą piłkę, sam bił bardzo mocno i precyzyjnie, wrzeszczał z oburzeniem, jeśli piłka zatrzymywała się w naszych rękach ponad sekundę, i zbijał nas z pantałyku swoimi fantomami albo co gorsze, umiejętnością

błyskawicznego znikania i równie błyskawicznego pojawiania się w zupełnie innym miejscu. Naturalnie nie poddawaliśmy się, para buchała z nas jak z lokomotyw, spływaaliśmy potem, traciliśmy oddech, wymyślaliśmy sobie, ale walczyliśmy do ostatniego tchu. I nagle wszystko się skończyło. Mały stanął, odprowadził wzrokiem piłkę i usiadł na piasku.

- To było dobrze - powiedział. - Nigdy nie wiedziałem, że może być tak dobrze.

- Co? - zawołałem zdyszany. - Zmęczyłeś się, Mały?

- Nie. Przypomniałem sobie. Nie mogę zapomnieć. Nie pomaga. Żadna przyjemność nie pomaga. Więcej mnie nie wołaj do zabawy. Żle mi, a teraz jeszcze gorzej. Powiedz mu, żeby myślał szybciej. Ja się rozerwę na pół, jeśli on szybko nie wymyśli. Wszystko mnie w środku boli. Ja chcę się rozerwać, ale się boję. Dlatego nie mogę. Jeśli będzie bardzo bolało, przestanę się bać. Niech on myśli szybko.

- No, co z tobą, Mały? - zapytałem rozstrojony. Niedokładnie rozumiałem, co z nim się dzieje, ale widziałem, że naprawdę jest mu źle. - Prześń o tym myśleć! Po prostu nie przyzwyczaiłeś się do ludzi. Trzeba się częściej spotykać, więcej bawić się razem...

- Nie - powiedział Mały i wstał. - Więcej nie przyjdę.

- Ale dlaczego? - krzyknąłem. - Przecież było dobrze! Będzie jeszcze lepiej. Są jeszcze inne zabawy, nie tylko piłką, kółkiem, skrzydłami!

Mały powoli odchodził od nas.

- Są jeszcze szachy! - mówiłem pośpiesznie do jego pleców. - Wiesz, co to są szachy? To najwspanialsza gra, liczy sobie tysiące lat!

Mały stanął. Z natychmiastowym pośpiechem zacząłem mu tłumaczyć, czym są szachy - zwykłe szachy, trójwymiarowe szachy, n-wymiarowe szachy...

- Tak - odezwał się wreszcie Mały. - Ja przyjdę.

I już nie zatrzymując się więcej powlókł się noga za nogą w stronę grzęzawiska. Jakiś czas patrzyliśmy w ślad za nim, a potem Majka krzyknęła „Mały!” zerwała się z miejsca, dogoniła go i dalej poszli razem.

Podniosłem z ziemi swoją dochę, ubrałem się, znalazłem dochę Majki i niezdecydowanie ruszyłem za nimi.

Czułem w duszy jakiś nieprzyjemny osad, ale nie rozumiałem dlaczego. Niby wszystko skończyło się dobrze

- Mały obiecał wrócić, to znaczy, że mimo wszystko przywiązał się do nas, to znaczy, że bez nas jest mu znacznie gorzej niż z nami... Zobaczyłem, że Majka stanęła, a Mały powlókł się dalej. Majka zawróciła, objęła dłońmi ramiona, pobięła mi na spotkanie. Podałem jej dochę i zapytałem:

- No i co?

- Wszystko w porządku - odpowiedziała. Oczy miała przejrzyste i jakieś takie zdecydowane na wszystko.

- Myślę, że w końcu... - zacząłem i urwałem. - Majka - powiedziałem - zgubiłaś "trzecie oko"!

- Ja go nie zgubiłam - odparła Majka.

Rozdział VIII

WĄTPLIWOŚCI I DECYZJE

Mały szedł na zachód wzdłuż linii brzegu prosto przez wydmy i zarośla. Początkowo "trzecie oko" go interesowało. Przystawał, zdejmował przepaskę, obracał ją w dłoniach i wtedy na ekranie naszego odbiornika migało blade niebo, błękitno-zielona twarz-maski, oszroniały piasek. Potem Mały zostawił "oko" w spokoju. Nie wiem, czy poruszał się inaczej niż zwykle, czy niezupełnie dobrze założył przepaskę, ale miało się wrażenie, że obiekt patrzy nie prosto, tylko nieco w prawo. Na ekranie podrygując płynęły jednakowe wydmy, zziębnięte krzaki, czasami wyrastały siwe szczyty gór albo pojawiał się nagle czarny ocean i rozjarzona biel lodowców na horyzoncie.

Moim zdaniem Mały szedł bez określonego celu, po prostu, gdzie oczy poniosą, byle dalej od nas.

Kilkakrotnie wdrapywał się na wydmy i patrzył w naszą stronę. Na ekranie odbiornika zjawiał się wtedy oślepiająco biały kadłub naszego statku, srebrzysta wstęga pasa startowego, pomarańczowy Tom sieroco przytulony do muru nie wykończonej stacji meteorologicznej. Ale Małego na ekranie nie zobaczyliśmy.

Mniej więcej go godzinie Mały gwałtownie skręcił w kierunku gór. Teraz słońce świeciło prosto w obiektyw i widoczność pogorszyła się. Niebawem wydmy się skończyły, Mały szedł rzadkim zagajnikiem przeskakując zgnięte gałęzie, wśród skarłałych pni pokrytych płamistą odstającą korą, po ziemi przesyconej lodowatą wilgocią. Raz wspiał się na samotny granitowy głaz, stał na nim chwilę rozglądając się, potem zeskoczył, podniósł z ziemi dwa czarne, oślizgłe patyki i postukując nimi poszedł dalej. Początkowo stukanie było chaotyczne, później pojawił się w nim rytm, i na tle tego rytmu usłyszeliśmy, ni to brzęczenie, ni to buczenie. Dźwięk ten, nieprzerwany i nieprzyjemny, stawał się coraz głośniejszy. Najprawdopodobniej brzęczał i buczał sam Mały - być może była to piosenka, a być może rozmowa z samym sobą.

I tak szedł stukając, bucząc i brzęcząc, a między drzewami coraz częściej trafiały się zwały kamieni,

omszałe głazy i olbrzymie złomy skalne. Potem nagle zobaczyliśmy na ekranie jezioro. Mały nie zatrzymując się szedł przed siebie, na moment zobaczyliśmy zmaconą wodę, następnie obraz zmętniał i zniknął - Mały dał nurka.

Siedział pod wodą bardzo długo, już myślałem, że utopił nadajnik i nic już więcej nie zobaczymy, ale po dziesięciu minutach obraz pojawił się znowu, mętny, rozmazany, przecięty strugami wody. Początkowo nic nie mogliśmy odróżnić, ale niebawem w prawej części ekranu ujrzeliśmy dłoń, na której wiła się i rzucała dziwaczna ryba z Panty.

Kiedy obiekt "oka" oczyścił się ostatecznie, Mały biegł. Pnie drzew pędziły na nas i w ostatniej chwili umykały to w prawo, to w lewo. Mały biegł bardzo szybko, ale nie słyszeliśmy tupotu jego nóg, ani oddechu - tylko wiatr szumiał i przez gęstwę splątanych gałęzi migało słońce. Aż nagle stało się coś niepojętego - Mały jak wryty zatrzymał się przed szarym głazem i zanurzył w nim ręce po łokcie. Nie wiem, być może był tam dobrze zamaskowany otwór. Moim zdaniem nie było. Kiedy po kilku sekundach Mały wyjął ręce okazały się one czarne i błyszczące, i to czarne i błyszczące spływało mu z palców i ciężko, z wyraźnym stukiem, kapało na ziemię. Potem ręce znikły z naszego pola widzenia i Mały pobiegł dalej. Zatrzymał się przed dziwną konstrukcją, przypominającą krzywą wieżę i nie od razu dotarło do mnie, że to roztrzaskany "Pielgrzym". Teraz na własne oczy zobaczyłem, jak strasznie ucierpiał przy upadku i co z nim zrobiły lata na tej planecie. Widok nie był przyjemny. Tymczasem Mały powoli zbliżył się, zajął w otwartą dziurę wjazdu - na chwilę ekran pogrążył się w nieprzeniknionych ciemnościach - następnie równie powoli obszedł nieszczęsny statek dookoła. Znowu stanął przed włazem podniósł rękę i przyłożył czarną dłoń z rozcapierzonymi palcami do zżartej korozją burty. Stał tak z minutę, znowu usłyszeliśmy jego brzęczenie i buczenie, i wydało mi się, że spod rozcapierzonych palców unoszą się smużki dymu. Wreszcie zabrał rękę i cofnął się o krok. Na martwym poczeriałym obiciu zobaczyliśmy wyraźny, wypukły ślad dłoni z rozcapierzonymi palcami.

- Och, ty mój świerszczyku za kominem - odezwał się głęboki baryton.

- Słoneczko! - zawtórował głos kobiety.

Zapłakało dziecko.

Ślad dłoni gwałtownie uskoczył w bok i zniknął. Teraz na ekranie widzieliśmy nagie zbocze - porany szczelinami granit, stare osypiska, kruszywo ostrych kamieni o połyskujących, strzaskanych krawędziach, kępki suchotniczej twardej trawy, głębokie, czarne szczeliny. Mały wspinał się na zbocze, spychany żwir sypał się w dół ekranu, słychać było równomierny głośny oddech, a potem ruch stał się płynny i szybki, zaczęło mi migać przed oczyma, zbocze nagle oddaliło się, spadając gdzieś w bok, w dół i usłyszeliśmy, ostry, chrapliwy, natychmiast urwany śmiech Małego. Mały leciał w powietrzu - co do tego nie mogło być wątpliwości.

Na ekranie błyszczało szaroliliowe niebo, a z boku pulsowały jakieś mętne na wpół przezroczyste strzępy, jak kawałki zakurzonego muślinu. Powoli w poprzek ekranu przepłynęło oślepiające liliowe słońce, zakurzony muślin zasłonił wszystko i nagle przepadł.

Daleko w dole zobaczyliśmy płaskowyz zasnuty fioletową mgiełką, straszliwe szramy przepastnych wąwozów, nieprawdopodobnie ostre szczyty pokryte wiecznymi śniegami - posępny, lodowaty świat uchodzący za horyzont, martwy, spękany, najeżony. I zobaczyliśmy potężne, lśniące, jakby polakierowane kolano Małego wiszące nad otchłanią i jego czarną dłoń mocno wczepioną w zmaterializowaną nicłość. Jeśli mam być szczerzy, w tym momencie przestałem wierzyć własnym oczom i spojrzałem w bok, żeby sprawdzić czy nagrywanie trwało. Ale Van der Hoose również miał niepewną minę, a Majka z niedowierzaniem mrużyła oczy i kręciła szyją, jakby ją uwierał kołnierzyk. Tylko Komow był idealnie spokojny i nieruchomy - siedział oparty łokciami o pulpit, brodę trzymał na splecionych palcach.

A Mały już spadał. Pędziła na nas kamienna pustynia, z lekka obracała się wokół niewidzialnej osi i było jasne, dokąd uchodziła ta oś - w czarną szczelinę, która rozłupała bure, zawałone odłamkami skał pole. Pęknięcie rosło, rozwierało się, oświetlona przez słońce jego krawędź wydawała się idealnie pionowa, a o tym, żeby zobaczyć dno, nie mogło być nawet mowy, panowała tam absolutna ciemność. I w tę ciemność gwałtownie śmignął Mały. Obraz znikł, Majka wyciągnęła rękę i dała powiększenie, ale i przy powiększeniu niczego nie można było zobaczyć oprócz spływających po ekranie niewyraźnych, szarych pasów. Następnie Mały wydał z siebie przeraźliwy krzyk i obraz znieruchomiał. "Rozbił się!" - pomyślałem z przerażeniem. Majka z całej siły wbiła mi paznokcie w nadgarstek.

Na ekranie widniały jakieś nieokreślone, nieruchome plamy, wszystko było szare i czarne, rozlegały się jakieś dziwne dźwięki - jakieś bulgoty, chrapliwe krakanie, syczenie. Pojawił się znajomy zarys dłoni z rozcapierzonymi palcami, zniknął. Niewyraźne plamy popłynęły jedna po drugiej przez ekran, krakanie i bulgotanie stawało się to głośniejsze, to cichsze, zapaliło się i zgasło pomarańczowe światełko, potem jeszcze jedno, jeszcze jedno... Coś krótko zaryczało i odezwało się zwielokrotnione echo. "Daj podczerwone" - przez zęby powiedział Komow. Majka złapała gałkę podczerwonego wzmacniacza i

przekręciła ją do oporu. Ekran od razu pojaśniał, ale ja nadal nic nie rozumiałem.

Wszystko wypełniała fosforyzująca mgła. Co prawda nie całkiem zwyczajna mgła, można było się w niej domyśleć jakiejś struktury - jakby wycinek żywej tkanki pod źle ustawionym mikroskopem - w tej mgle można było się dopatrzeć fragmentów jaśniejszych oraz ugrupowań ciemnych, pulsujących ziarenek, a wszystko to jakby wisiało w powietrzu, czasami niespodziewanie znikalo i zjawiało się znowu, a Mały szedł przez tę mgłę, jak przez pustkę, szedł wyciągając przed siebie świecące ręce z rozcapierzonymi palcami, a palce te wibrowały i drgały w skomplikowanym wyraźnym rytmie, a wokół bulgotało, chrypiało, burczało i dźwięcznie tykało.

Mały szedł długo i nie od razu zauważyliśmy, że rysunek struktury blednie, rozplywa się i oto na ekranie pozostało już tylko mleczone podświetlenie i ledwie dostrzegalne zarysy rozcapierzonych palców Małego. A wtedy Mały stanął. Zrozumieliśmy, że stoi, ponieważ dźwięki przestały się przybliżać i oddalać. Te same dźwięki. Cała lawina, cała kaskada dźwięków. Chrapliwe pogłosy, basowe mamrotanie, zduszone piski... Coś pękło z cmoknięciem i rozleciało się na dźwięczne okruchy... bzykanie, skrzypy, uderzenia w miedziane gongi... A potem w równomiernym blasku przesiąknęły ciemne plamy, dziesiątki ciemnych plam, dużych i maleńkich, nabierały coraz wyraźniejszych kształtów, stawały się coraz bardziej podobne do czegoś zdumiewająco znajomego i nagle domyśliłem się, co to takiego. To było absolutnie niemożliwe, ale już nie mogłem odpędzić od siebie tej myśli. Ludzie. Dziesiątki, setki ludzi, cały tłum ustawiony w szeregach i widziany jakby trochę z góry... I wtedy coś się stało. Na jakiś ułamek sekundy obraz stał się zupełnie jasny. Na zbyt krótko zresztą, żeby można było zobaczyć cokolwiek. Następnie usłyszeliśmy rozpaczliwy krzyk, obraz przekręcił się i wszystko znikło. I w tej samej chwili wścickły głos Komowa zapytał:

- Dlaczego to zrobiłaś?

Ekran był martwy. Komow stał nienaturalnie wyprostowany, zaciśnięte pięści oparł o pulpit. Patrzył na Majkę. Majka była blada, ale spokojna. Również podniosła się z fotela i teraz stała przed Komowem twarzą w twarz. Milczała.

- Co się stało? - ostrożnie zapytał Van der

Hoose. Widocznie podobnie jak ja nic nie rozumiał.

- To albo chuligaństwo, albo... - Komow przerwał. - Usuwasz cię z grupy kontaktu. Zabraniam ci opuszczać statek, wchodzić na mostek i na stanowisko DSB. Proszę stąd wyjść.

Majka, nadal bez słowa, odwróciła się i wyszła. Bez chwili namysłu ruszyłem za nią.

- Popow! - ostro powiedział Komow. Zatrzymałem się.

- Proszę natychmiast przekazać nagrania do Centrum. Jako pilne.

Patrzył mi prosto w oczy i poczułem się nieswojo. Takiego Komowa jeszcze nigdy nie widziałem. Taki Komow miał niewątpliwie prawo rozkazywać, zamykać w areszcie domowym i w ogóle dusić wszelki bunt w samym zarodku. Miałem uczucie, że zaraz rozerwę się na pół. - Jak Mały - przeleciało mi przez mózg Van der Hoose odkaslnął i powiedział:

- E... Giennadij. Może jednak nie do Centrum? Gorbowski jest już przecież w Bazie. Może jednak do Bazy, jak sądzisz?

Komow nie patrzył na mnie. Jego zwężone oczy wyglądały jak kawałeczki lodu.

- Ach, tak, oczywiście - powiedział, zresztą absolutnie spokojnie. - Kopię do Bazy, dla Gorbowskiego.

Dziękuję ci, Jakub. Popow, bierz się do pracy.

Nie pozostawało mi nic innego jak się stąd zabrać. Ale byłem niezadowolony. Gdybyśmy nosili wojskowe czapki jak w dawnych czasach, przekręciłbym ją daszkiem do tyłu. Ale nie miałem na głowie czapki, więc poprzestałem na tym, że wyjmując z rejestratora kasety zapytałem z wyzwaniem:

- A co się właściwie stało? Co ona takiego zrobiła?

Przez czas jakiś Komow milczał. Już z powrotem siedział w swoim fotelu i przygryzając wargę stuknął palcem po poręcz. Van der Hoose wicherząc bokobrody też patrzył na Komowa wyczekująco.

- Zapaliła reflektor - powiedział Komow. Nie od razu go zrozumiałem.

- Jaki reflektor?

Komow bez słowa pokazał palcem wciśnięty klawisz.

- A! - powiedział ze zmartwieniem Van der Hoose.

A ja nic nie powiedziałem. Wziąłem kasety i usiadłem przy radiostacji. Nie było o czym mówić. Za mniejsze przewinienia ludzie z trzaskiem wylatywali z kosmosu. Majka zapaliła awaryjną lampę błyskową wmontowaną w przepaskę. I można sobie wyobrazić, jak się czuli mieszkańcy grotty, kiedy w odwiecznym mroku na mgnienie oka zapłonęło maleńkie słońce. Zwiadowcę, który stracił przytomność, można odnaleźć z orbity nawet na oświetlonej stronie planety, kiedy nastąpi ten błysk... nawet, jeśli zwiadowcę zasypało... Taki reflektor wysyła promienie w diapazonie od ultrafioletu do UKF... Nie było jeszcze wypadku, żeby zwiadowcy nie udało się odstraszyć błyskiem najbardziej krwiożerczego drapieznika. Nawet tachorga, który nie boi się niczego na świecie... "Zwariowała - pomyślałem z rozpaczą. - Zupełnie się zbiesiła..." Ale na głos

powiedziałem (siadając wygodniej):

- Wielka mi historia! Nacisnęła niewłaściwy klawisz, omyliła się...

- Tak, rzeczywiście - poparł mnie Van der Hoose. - Na pewno tak właśnie było. Na pewno chciała włączyć reflektor podczerwienni... Klawisze są obok siebie... Jak sądzisz, Giennadij?

Komow milczał. Coś tam majstrował przy pulpicie. Nie chciałem na niego patrzeć. Włączyłem automat i demonstracyjnie odwróciłem się w drugą stronę.

- Nieprzyjemna historia... - mruzczał Van der Hoose. - Rzeczywiście, przecież to może spowodować konsekwencje... Gwałtowny bodziec... Raczej nieprzyjemny... Hm... Ostatnio wszyscy jesteśmy nieco zdenerwowani. Nic dziwnego, że dziewczyna się omyliła... Wiesz, ja sam miałem ochotę coś zrobić... jakoś poprawić obraz... Biedny, Mały! Moim zdaniem to był jego krzyk...

- Proszę - powiedział Komow. - Możesz podziwiać. Trzy i pół klatki.

Było słycać zatroskane sapanie Van der Hoosiego. Nie wytrzymałem i obejrzałem się. Nic nie było widać zza ich głów, więc wstałem i podszedłem. Na ekranie było to samo, co dostrzegłem w ostatnim mgnieniu oka, ale czego nie zdążyłem pojąć. Jakość obrazu była pierwszorzędną, ale nadal kompletnie nie rozumiałem, co to takiego. Ludzie, mnóstwo czarnych figurek, absolutnie identycznych, ustawionych jak na szachownicy. Stali, jakby na równym dobrze oświetlonym placu. Przednie figurki były większe, dalsze, zgodnie z prawami perspektywy, mniejsze. Zresztą szeregi wydawały się nieskończone i gdzieś daleko zlewały się w jednolite czarne pasy.

- To Mały - powiedział Komow. - Poznacie?

Teraz mnie olśniło, rzeczywiście był to Mały, powtórzony niby w nieprzeliczonych lustrach, nieskończenie wiele razy.

- Przypomina wielokrotne odbicie - wymamrotał Van der Hoose.

- Odbicie... - powtórzył Komow, - A gdzie w takim razie odbicie lampy? I gdzie cień Małego?

- Nie wiem - uczciwie przyznał Van der Hoose. - Istotnie, cień powinien być.

- A co ty o tym myślisz, Staszek? - zapytał Komow nie odwracając się.

- Nic - powiedziałem krótko i wróciłem na swoje miejsce.

Ale naprawdę oczywiście myślałem, myślałem tak, aż mi mózg trzeszczał, nic jednak nie mogłem wymyśleć. Jeszcze najbardziej mi to przypominało formalistyczny rysunek piórkiem.

- Tak, niewiele się dowiedzieliśmy - powiedział Komow. - I nawet to ziarno, które nam się trafiło, okazało się nic nie warte.

- Oho-ho... - wymruczał Van der Hoose i wyszedł.

Ja też miałem ogromną ochotę wyjść i zobaczyć, jak tam Majka. Ale spojrzałem na chronometr - do końca nadawania zostało jeszcze z dziesięć minut. Komow szeleścił czymś i krzątał się za moimi plecami. Potem jego ręka wyciągnęła się nad moim ramieniem i położyła na pulpicie błękitny blankiet depeszy.

- To tekst wyjaśnienia - powiedział Komow. - Nadaj to, jak tylko przekażesz nagranie.

Przeczytałem depeszę.

EZ-2, KOMOW - BAZA, GORBOWSKI. KOPIA CENTRUM, BADER. PRZESYŁAM NAGRANIE Z NADAJNIKA TYPU TG NOSICIEL MAŁY. NAGRANIE TRWAŁO OD 13.46 DO 17.42 CZASU POKŁADOWEGO. PRZERWANE WSKUTEK PRZYPADKOWEGO WŁĄCZENIA LAMPY BŁYSKOWEJ Z POWODU MOJEJ NIEUWAGI. W CHWILI OBECNEJ SYTUACJA JEST NIEJASNA.

Nie zrozumiałem i przeczytałem depeszę jeszcze raz. Potem obejrzałem się na Komowa. Siedział w poprzedniej pozycji opierając podbródek na splecionych palcach i patrzył na ekran obserwacyjny. Nie powiem, żeby moje serce przepęliła gorąca wdzięczność. Nie, nie przepęliła. Zbyt mało sympatii czułem do tego człowieka. Ale nie mogłem mu nie oddać sprawiedliwości. Na jego miejscu nie każdy postąpiłby tak zdecydowanie i po prostu. Właściwie nie jest ważne, dlaczego tak postąpił - czy dlatego, że zlitował się nad Majką (raczej wątpię), czy zawstydził się swojej brutalności (to chyba bliższe prawdy), czy też dlatego, że należy do takich zwierzchników, którzy zupełnie szczerze uważają postęпки podwładnych za własne. W każdym razie niebezpieczeństwo, że Majka wyleci z kosmosu jak z procy, wydatnie się zmniejszyło, a pozycja i renoma samego Komowa wydatnie się pogorszyła. Dobra, drogi ksenopsychologu, to będzie zapamiętane. Takie uczynki należy ze wszech miar popierać. A z Majką jeszcze porozmawiamy.

Rzeczywiście, po kiego diabła? Co ona - dziecko? Lalkami się chciała pobawić?

Automat brzęknął, wyłączył się, przystąpiłem więc do nadawania depeszy. Wszedł Van der Hoose pchając przed sobą stolik na kółkach. Bezszelestnie, z niezwykłą zręcznością, która przyniosłaby zaszczyt najbardziej wykwalifikowanemu robotowi, postawił tacę z talerzykami przy prawym łokciu Komowa. Komow podziękował z roztargnieniem. Wziąłem sobie szklankę soku pomidorowego, wypilem i nalałem jeszcze.

- A sałatka? - zapytał zmartwiony Van der Hoose.

Pokręciłem głową i powiedziałem do pleców Komowa:

- Skończyłem. Czy mogę iść?
- Tak - odparł Komow nie odwracając głowy. - Proszę nie opuszczać statku.
W korytarzu Van der Hoose powiedział:
- Majka je obiad.
- Histeryczka - powiedziałem ze złością.
- Przeciwnie. Powiedziałbym, że jest spokojna i zadowolona. I nawet cienia skruchy.
Razem poszliśmy do mesy. Majka siedziała przy stole, jadła zupę i czytała jakąś książkę.
- Czołem, aresztancie! - powiedziałem siadając przed nią ze swoją szklanką.
Majka oderwała się od książki i spojrzała na mnie przymrużając jedno oko.
- Jak zwierchność? - zapytała.
- W ciężkiej zadumie - powiedziałem patrząc na nią. - Zastanawia się, czy natychmiast powiesić cię na fok rei, czy też przewieźć do Dover, gdzie zawisniesz na łańcuchach.
- A co na horyzoncie?
- Bez zmian.
- Tak - powiedziała Majka - teraz on już więcej nie przyjdzie.
Powiedziała to z wyraźnym zadowoleniem. Oczy miała wesołe i zdecydowane na wszystko, jak wtedy. Wypiłem łyk soku i spojrzałem z ukosa na Van der Hoosego. Van der Hoose z markotnym wyrazem twarzy dojadł moją sałatkę. Nagle przyszło mi do głowy, że nasz kapitan musi Bogu dziękować, że nie on kieruje tą operacją.
- Tak - powiedziałem - wygląda na to, że zorwałaś nam kontakt.
- Przykro mi - krótko odparła Majka i znowu wsadziła nos w książkę. Ale nie czytała. Czekwała na dalszy ciąg.
- Miejmy nadzieję, że nie jest tak źle - powiedział Van der Hoose. - Miejmy nadzieję, że to tylko kolejna komplikacja.
- Myślisz, że Mały wróci? zapytałem.
- Myślę, że tak - powiedział Van der Hoose z westchnieniem. - Za bardzo lubi zadawać pytania. A teraz, jak sam rozumiesz, powstało mnóstwo nowych. Dojadł sałatkę i wstał. - Pójdę na mostek - poinformował nas. - Jeśli mam być szczery, jest to bardzo brzydka historia. Rozumiem cię, Majka, ale w żadnym stopniu nie usprawiedliwiam. Tak się nie robi...
Majka nie odpowiedziała i Van der Hoose wyszedł pchając przed sobą stolik. Jak tylko jego kroki ucichły, zapytałem, starając się mówić grzecznie, ale surowo.
- Zrobiłaś to niechcący, czy umyślnie?
- A jak przypuszczasz? - zapytała Majka patrząc w książkę.
- Komow wziął winę na siebie - powiedziałem.
- To znaczy?
- Jak się okazuje, lampa błyskowa zapaliła się na skutek jego nieuwagi.
- To urocze - powiedziała Majka. Odłożyła książkę i przeciągnęła się. - Wielkopański gest.
- To wszystko, co mi masz do powiedzenia?
- A czego właściwie chcesz ode mnie? Szczerego wyznania winy? Skruchy? Fontanny łez?
Znowu napiłem się soku. Jeszcze nad sobą panowałem.
- Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy zrobiłaś to niechcący, czy umyślnie?
- Umyślnie. Co dalej?
- Dalej chciałbym się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłaś?
- Zrobiłam to dlatego, żeby raz na zawsze skończyć z tym świństwem. Dalej?
- Jakie świństwo? O czym ty mówisz?
- To było ohydne! powiedziała Majka z siłą. - To było nieludzkie. Nie mogłam siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak wstrętne komedia przemienia się w tragedię. - Odrzuciła książkę. - I nie piorunuj mnie spojrzeniem! Obejdę się bez twojej obrony! Ach, jaki on jest wielkoduszny! Ulubieniec doktora M'Bogi! I tak odejdę! Pójdę do szkoły i będę uczyła dzieci, żeby w porę łapały za rękę tych wszystkich fanatyków, zwolenników abstrakcyjnych teorii i kretynów, którzy im potakują! Miałem święty zamiar utrzymać do końca ton poprawny i uprzejmy. Ale teraz moja cierpliwość się skończyła. W ogóle z cierpliwością nie jest u mnie najlepiej.
- Arogancko! - powiedziałem nie znajdując słów. - Zachowujesz się arogancko! Arogancko!
Spróbowałem jeszcze raz napić się soku, ale okazało się, że szklanka jest pusta. Jakoś niepostrzeżenie zdążyłem wszystko wypić.
- A dalej? - zapytała Majka z pogardliwym uśmiechem.
- To już wszystko - powiedziałem, posępnie oglądając pustą szklankę. Rzeczywiście nic już nie miałem do powiedzenia. Wystrzelałem wszystkie naboje. Prawdopodobnie zresztą szedłem do Majki nie po to, żeby ją

zrozumieć, tylko po to, żeby jej nawymyślać.

- Skoro to już wszystko - powiedziała Majka - to wracaj na mostek i całuj się ze swoim Komowem. A przy okazji ze swoim Tomem i z całą cybernetyką. My, widzisz, jesteśmy po prostu ludźmi i nic co ludzkie nie jest nam obojętne.

Odsunąłem szklankę i wstałem. Nie było już o czym mówić. Wszystko było jasne. Miałem przyjaciela - i nie mam przyjaciela. No cóż, jakoś dam sobie radę.

- Smaczno - powiedziałem i na sztywnych nogach wyszedłem na korytarz.

Serce mi się tłukło jak oszalałe, wargi drżały obrzydliwie. Zamknąłem się w swojej kajucie i uwalilem na łóżko, twarzą w poduszkę. Głupio! Och, jak głupio! No dobra, no, nie podoba ci się cała impreza. Tyle rzeczy tylu ludziom się nie podoba! W końcu nikt cię tu nie zapraszał, znalazłaś się tu przypadkiem, więc przynajmniej zachowuj się jak należy! Przecież nie znasz się nic a nic na kontaktach, nieszczęsny kwatermistrz... rysuj swoje parszywe szkice i rób, co ci każą! Co ty wiesz o abstrakcyjnych teoriach? I gdzie w ogóle widziałas abstrakcyjne teorie? Dziś wydaje się, że to teoria abstrakcyjna, a jutro historia się bez niej zatrzyma... No dobrze. Nie podoba ci się. No to nie bierz w tym udziału! Przecież tak świetnie wszystko szło, ledwie-ledwie oswoiliśmy Małego, taki wspaniały chłopak, inteligentny, z nim razem mogliśmy cuda zdziałać! Ech, kwatermistrz... To się nazywa przyjaciel... A teraz nie ma ani Małego, ani przyjaciela...

A Komow też jest dobry, sunie jak czołg, nikogo się nie poradzi, nic nie wytłumaczy... Nie-e, nie doczekacie się, żebym jeszcze kiedyś brał udział w kontaktach! Jak tylko skończy się to całe zawracanie głowy, natychmiast zgłaszam się do realizacji projektu "Arka-2"... Już przeżywałem w wyobraźni cudowne życie przy projekcie „Arka-2”, już widziałem, jak pracujemy z Tanią, z Wadikiem, z genialną Ninon wreszcie. Będę pracować jak koń, bez żadnej tam filozofii, będę myśleć tylko o pracy. Żadnych kontaktów!

Niepostrzeżenie zasnąłem i spałem niczym susel, jak zwykły mawiać mój pradziadek. W końcu z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przespałem nie więcej niż cztery. Van der Hoose ledwie się mnie dobudził. Pora była na wachtę. - A Majka? - zapytałem niezupełnie obudzony, ale natychmiast ugryzłem się w język. Zresztą Van der Hoose udął, że nie dosłyszał.

Wziąłem natrysk, ubrałem się i poszedłem na mostek. Ogarnęło mnie znowu nieprzyjemne uczucie. Nie miałem ochoty nikogo widzieć. Van der Hoose zdał wachtę i poszedł spać, oznajmiwszy mi, że wokół statku nic się nie dzieje i że za sześć godzin zmieni mnie Komow.

Była dokładnie dwudziesta druga zero-zero według czasu pokładowego. Na ekranie zapalały się zorze nad górami, wiał silny wiatr od oceanu, rwał w strzępy czapę mgły nad gorącą topielą, przyciskał nagie krzaki do przemarzłego piasku, rzucał na plażę ochłapy błyskawicznie zamarzającej piany, a na pasie startowym, lekko pochylony pod wiatr, tkwił samotny Tom. Wszystkie jego światła sygnalizacyjne zawiadamiły, że jest bezrobotny, że nie ma do wykonania żadnych zadań i że w każdej chwili gotów jest wypełnić dowolne polecenie. Bardzo smutny widok. Włączyłem zewnętrzne mikrofony, z minutę słuchałem wycia oceanu, świstu wiatru, stukania lodowatych kropli po panczerzu statku i wyłączyłem się znowu.

Spróbowałem wyobrazić sobie, co teraz robi Mały, przypomniła mi się gorąca mgła niczym plaster miodu, rozsmazane zgęszczenia światła - a ściślej nie światła oczywiście, tylko ciepła, i to równomierne lśnienie wypełnione kaszą dziwacznych dźwięków, zagadkowe szeregi lustrzanych odbić, które nie były odbiciami... No cóż, tam mu jest na pewno ciepło, przytulnie, swojsko i ma, och, ma nad czym porozmyśleć. Ukrył się na pewno w jakimś kamiennym kącie i ciężko przeżywa krzywdę, którą mu wyrządziła Majka. ("Mam-ma..." - "Tak, słoneczko" - przypomniłem sobie.) Z punktu widzenia Małego to wszystko musiało wyglądać wyjątkowo nieuczciwie. Ja bym na jego miejscu już nigdy tu nie wrócił... A przecież Komow tak się ucieszył, kiedy Majka założyła Małemu swoją przepaskę. "Brawo!" - powiedział. To niezła szansa, ale ja bym nie zaryzykował... Zresztą wszystko jedno i tak by nic z tego nie wyszło. Konstruktorzy TN mogli się lepiej popisać. Na przykład obiektyw powinien być stereo... chociaż z drugiej strony, TN jest przewidziany do zupełnie innych celów... Ale coś niecoś udało się podpatrzeć, mimo wszystko się udało. Powiedzmy - jak Mały lata. Tylko - w jaki sposób lata, dlaczego lata, na czym lata? I ta scena przy roztrzaskanym "Pielgrzymie"... Planeta niewidzialnych. Niewątpliwie można by tu zaobserwować wiele ciekawych rzeczy, gdyby Komow pozwolił wypuścić wartownika-zwiadowcę. Może teraz pozwoli? Zresztą nawet nie jest konieczny wartownik-zwiadowca. Na początek wystarczy się przejechać lokatorem-próbnikiem po horyzoncie...

Zaspiewał sygnał wywoławczy. Podeszedłem do radiostacji. Nieznajomy głos bardzo uprzejmie, powiedziałbym nawet - nieśmiało, poprosił Komowa.

- Kto będzie mówić? - zapytałem niezbyt serdecznie.

- Jeden z członków Komisji Do Spraw Kontaktów, moje nazwisko Gorbowski. - Aż usiadłem. - Bardzo chciałbym mówić z Giennadijem Juriewiczem. Ale może on śpi?

- W tej sekundzie - wymamrotałem. - W tej chwili... - Pośpiesznie wyłączyłem radio wewnątrzpokładowe.

Komow na mostek. Pilne wezwanie z Bazy.

- Nie takie znowu pilne - zaprotestował Gorbowski.

- Przy mikrofonie Leonid Andriejewicz Gorbowski! - uroczyście zameldowałem w mikrofon, żeby Komow nie marudził zbyt długo.

- Młody człowieku! - powiedział Gorbowski.

- Na wachcie Stanisław Popow, technik-cybernetyk! - zameldowałem. - W czasie mojej wachty nie szczególnego nie zaszło!

Gorbowski milczał chwilę, potem powiedział niepewnie:

- Spocznij...

Usłyszałem pośpieszne kroki i na mostek szybko wszedł Komow. Zmizerniał, spojrzenie miał szklane, pod oczami ciemne kręgi. Wstałem i ustąpiłem mu miejsce.

- Komow słucha - powiedział. - To ty Leonid?

- To ja, dzień dobry... - odezwał się Gorbowski. - Słuchaj, Giennadij, czy nie można czegoś zrobić, żebyśmy się widzieli? Tu są jakieś guziczki...

Komow tylko spojrzął na mnie i moje ręce same sięgnęły do pulpitu i włączyły wizję. My, radiotelegrafiści, zwykle mamy wizję wyłączoną. Z różnych powodów.

- Aha - z zadowoleniem powiedział Gorbowski. - Teraz zaczynam cię widzieć.

Na naszym ekranie też pojawił się obraz - twarz znana mi z portretów i opisów, wydłużona i jakby lekko zapadnięta, twarz Leonida Andriejewicza. Co prawda na portretach przypominał raczej antycznego filozofa, a teraz miał minę nieco smętną, rozczarowaną, a na jego szerokim kaczym nosie ku mojemu zdumieniu widniało zadrapanie - moim zdaniem całkiem świeże. Kiedy obraz stał się dostatecznie ostry, cofnąłem się i cichutko usiadłem w fotelu wachtowego. Miałem fatalne przeczucie, że za moment zostanę wyrzucony, i dlatego w skupieniu oddałem się obserwacji szalejącego huraganu.

Gorbowski powiedział:

- Po pierwsze, chciałem ci ogromnie podziękować, Giennadij. Przejrzałem wszystkie twoje materiały i muszę ci powiedzieć, że to coś zupełnie unikalnego. Niezwykle interesujące. Pomysłowe, znakomite...

- Miło mi - powiedział krótko Komow. - Ale?

- Dlaczego "ale"? - zdziwił się Gorbowski. - "I" chcesz powiedzieć. I większość członków Komisji jest tego samego zdania. Trudno uwierzyć, że taka kolosalna praca została wykonana w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- To nie moja zasługa - sucho powiedział Komow. - Sprzyjający zbieg okoliczności, to wszystko.

- No, nie - żywo zaprzeczył Gorbowski. - Musisz przyznać, że z góry wiedziałeś, z kim będziesz miał do czynienia. To nie takie proste - wiedzieć z góry. A poza tym twoje zdecydowanie, intuicja... energia...

- Czuję się pochlebiony - powiedział Komow odrobinę podnosząc głos.

Gorbowski zamilkł i nagle bardzo cicho zapytał:

- Giennadij, jak sobie wyobrażasz dalsze losy Małego?

Przekonanie, że natychmiast, w tejsze sekundzie, w mgnieniu oka, błyskawicznie i bez żadnych ceregieli poproszą mnie o opuszczenie mostka, przerodziło się w złowieszczą pewność. Skuliłem się i wstrzymałem oddech.

Komow powiedział:

- Mały będzie pośrednikiem między Ziemią a tubylcami.

- Rozumiem - powiedział Gorbowski. - To byłoby cudownie. A jeśli kontaktu nie będzie?

- Słuchaj - powiedział Komow twardo - porozmawiajmy szczerze. Powiedzmy głośno to, o czym obaj teraz myślimy i to, czego boimy się najbardziej. Ja staram się przekształcić Małego w narzędzie Ziemi. W tym celu wszystkimi dostępnymi mi środkami i bez żadnego miłosierdzia, jeśli tak można powiedzieć, staram się odrodzić w nim człowieka. Cała trudność polega na tym, że ludzka psychika, ludzki, ziemski stosunek do świata są w najwyższym stopniu obce tubylcom, którzy wychowali Małego. I tym stosunkiem do nas przepojona jest cała podświadomość Małego. Na szczęście czy też na nieszczęście tubylcy zostawili Małemu dostatecznie wiele ludzkich cech, żebyśmy mieli możliwość opanowania jego świadomości. Sytuacja, która powstała obecnie, to sytuacja krytyczna. Świadomość Małego należy do nas. Podświadomość do nich. Konflikt jest bardzo trudny i ryzykowny, świetnie zdają sobie z tego sprawę, ale ten konflikt można rozwiązać. Trzeba mi jeszcze dosłownie kilku dni, żeby przygotować Małego. Wyjaśnię mu faktyczny stan rzeczy, wyzwolę jego podświadomość i Mały ostatecznie i do końca zostanie naszym współpracownikiem. Musisz przecież rozumieć, jaką wartość przedstawia dla nas taka współpraca... Przewiduję wiele trudności. Na przykład podświadome odrzucanie nas teoretycznie może się przerodzić - kiedy już wyjaśnimy mu faktyczny stan rzeczy - w świadome pragnienie bronienia przed nami swego "domu", swoich zbawców i piastunów. Być może powstaną nowe niebezpieczne napięcia. Ale pewien jestem, iż zdołamy przekonać Małego, że nasze cywilizacje są równorzędnymi partnerami, razem ze swoimi wartościami i niedostatkami, i

że w takim razie on jako pośrednik będzie mógł przez całe życie czerpać zarówno od jednej, jak i od drugiej strony, nie lękając się ani o jednych, ani o drugich. Mały będzie dumny ze swojej niezwyklej pozycji, jego życie będzie intensywne i szczęśliwe... - Komow zamilkł. - Musimy zaryzykować. To nasz obowiązek. Podobny przypadek więcej nigdy się nie zdarzy. Taki jest mój punkt widzenia.

- Rozumiem - powiedział Gorbowski. - Znam twoje teorie i oceniam je bardzo wysoko. Wiem, w imię czego chcesz ryzykować. Ale musisz chyba się zgodzić, że ryzyko nie powinno przekraczać określonej granicy. Musisz zrozumieć, że od początku byłem po twojej stronie. Wiedziałem, że ryzykujemy, ogarniał mnie strach, ale ciągle myślałem - a nuż się uda? Co za perspektywy, co za możliwości! A jeszcze też myślałem, że zawsze zdążymy się wycofać na czas. Do głowy mi nie przyszło, że dzieciak może się okazać taki komunikatywny i że sprawa zajdzie tak daleko już po dwóch dobach... - Gorbowski przerwał. - Giennadij, a przecież kontaktu nie będzie. Pora odtrąbić odwrót.

- Kontakt będzie! - powiedział Komow.

- Kontaktu nie będzie - miękko, ale stanowczo powtórzył Gorbowski. - Przecież doskonale rozumiesz, Giennadij, że mamy do czynienia z hermetyczną cywilizacją, z rozumem zamkniętym w sobie.

- To nie hermetyczna cywilizacja, tylko quasihermetyczna - powiedział Komow. - Oni wysterylizowali planetę i wyraźnie utrzymują ją w takim stanie. Nie wiadomo dlaczego uratowali i wychowali Małego. Wreszcie dysponują zupełnie niezłą informacją o ludziach. To quasi-hermetyzm.

- No, Giennadij, absolutny hermetyzm jest pojęciem ściśle teoretycznym. Oczywiście, zawsze pozostaje jakaś tam funkcjonalna działalność skierowana na zewnątrz, na przykład sanitarno-higieniczna. Co zaś dotyczy Małego... Oczywiście, to tylko domysły, ale przecież jeśli cywilizacja jest dostatecznie stara, jej humanizm może się przerodzić w socjalny odruch bezwarunkowy, w instynkt społeczny. Dziecko zostało uratowane po prostu dlatego, że zaistniała potrzeba podjęcia takiej akcji...

- To jest niewykluczone - powiedział Komow. - Nie chodzi teraz o domysły. Ważne jest, że to quasi-hermetyzm, że istnieje furka dla kontaktu. Oczywiście, proces zbliżenia będzie bardzo długotrwały. Być może będzie trzeba dwa, trzy razy więcej czasu niż dla zbliżenia ze zwyczajną, otwartą cywilizacją... Nie! Myślałem o tym wszystkim i chyba sam dobrze wiesz, że nic nowego mi nie powiedziałeś. Twoja opinia przeciwko mojej - i nic więcej. Ty proponujesz, żeby się wycofać, a ja proponuję, żeby tę jedyną szansę wykorzystać do końca.

- Giennadij, nie tylko ja myślę, że kontaktu nie będzie - bardzo cicho powiedział Gorbowski.

- A kto jeszcze? - z uśmiechem zainteresował się Komow. - August-Johann-Maria Bader?

- Nie, nie tylko Bader. Mówiąc szczerze, Giennadij, ukryłem przed tobą pewien atut... Nigdy ci nie przychodziło do głowy, że Szura Siemionow starł dziennik pokładowy nie na planecie, ale jeszcze w kosmosie - nie dlatego, że zobaczył rozumne potwory, ale dlatego, że zaatakowano go jeszcze w kosmosie i wtedy pomyślał, że na planecie panuje wysoko rozwinięta agresywna cywilizacja? Nam to do głowy przyszło. Nie od razu, rzecz jasna - początkowo po prostu wyciągnęliśmy słuszne wnioski z błędnych przesłanek, podobnie jak i ty. Ale jak tylko ta myśl przyszła nam do głowy, przystąpiliśmy do przeczesywania przestrzeni wokół planety. I oto dwie godziny temu otrzymaliśmy informację, że wreszcie go wykryto. - Gorbowski zamilkł.

Z gigantycznym wysiłkiem powstrzymałem się, żeby nie krzyknąć "Kogo? Kogo wykryto?" Moim zdaniem Gorbowski czekał na taki okrzyk. Ale nie doczekał się. Komow milczał. Gorbowski musiał kontynuować.

- Był znakomicie zamaskowany. Pochłania prawie wszystkie promienie. Nigdy byśmy go nie znaleźli, gdybyśmy specjalnie nie szukali, zresztą i tak trzeba było zastosować coś zupełnie nowego - tłumaczyli mi, ale nie rozumiałem, co konkretnie, jakiś tam próżniowy koncentrator. Krótko mówiąc, wymacaliśmy go i wzięliśmy na hol. Sputnik-automat, coś w rodzaju zbrojnego strażnika. Sądząc po niektórych detalach konstrukcyjnych, postawili go tu Wędrowcy. Bardzo dawno go postawili, setki tysięcy lat temu. Na szczęście dla uczestników projektu "Arka" był uzbrojony tylko w dwa pociski. Pierwszy został wystrzelony w niepamiętnych czasach i już teraz nigdy się nie dowiemy, do jakiego celu. Drugi zniszczył statek Siemionowa. Wędrowcy uważali tę planetę za zakazaną, nie umiem znaleźć innego wyjaśnienia. Pytanie - dlaczego? W świetle tego, co wiemy, odpowiedź może być tylko jedna - wiedzieli z własnego doświadczenia, że miejscowa cywilizacja jest niekomunikatywna, więcej - że jest zamknięta, więcej - że kontakt grozi tej cywilizacji poważnymi konsekwencjami. Gdyby po mojej stronie był tylko August-Johann-Maria Bader... Ale, o ile dobrze pamiętam, ty sam zawsze z wielkim szacunkiem wypowiadałeś się o Wędrowcach, Giennadij. - Gorbowski znowu zamilkł na moment. - Jednakże nie tylko o to chodzi. W innych warunkach nie bacząc na opinię Wędrowców moglibyśmy sobie pozwolić na bardzo ostrożne, delikatne próby rozhermetyzowania tej cywilizacji. W najgorszym wypadku nasze doświadczenie wzbogaciłoby się o jeszcze jeden negatywny rezultat. Postawilibyśmy tu jakiś znak ostrzegawczy i spakowalibyśmy manatki, żeby wrócić do domu. Byłaby to sprawa tylko między naszymi dwiema

cywilizacjami... Ale rzecz w tym, że między naszymi dwiema cywilizacjami, jak między młotem a kowadłem, znalazła się teraz trzecia. I za tę trzecią, za jedynego jej przedstawiciela, Małego, już od kilku dni w całej pełni ponosimy odpowiedzialność.

Usłyszałem, jak Komow głęboko westchnął i nastąpiła długa cisza. Kiedy Komow odezwał się znowu, jego głos miał jakieś niezwykle brzmienie, był jakby nadłamanym. Zaczął mówić o Wędrowcach - najpierw wyraził zdziwienie, że Wędrowcy wystawiając wartownika poszli na ryzyko graniczące z przestępstwem, ale potem sam przypomniał sobie pośrednie dane, zgodnie z którymi Wędrowcy zawsze podróżują całymi eskadrami i każdy samotny gwiazdolot ich zdaniem może być tylko automatyczną sondą. Chwilę mówił również o tym, że i na Ziemi zbliża się do końca półwiekowa barbarzyńska epoka samotnych wypraw na wolny rekonesans - zbyt wiele ofiar, zbyt wiele głupich błędów, zbyt mało korzyści. "Tak - zgadzał się Gorbowski - ja również o tym myślałem". Następnie Komow wspominał o zagadkowych przypadkach znikania automatycznych zwiadowców skierowanych na niektóre planety. Ciągłe jakos nie mogliśmy się zebrać, żeby porządnie przeanalizować te fakty, a przecież teraz należy na nie spojrzeć z nowego punktu widzenia. "Słusznie! - z entuzjazmem przytaknął Gorbowski. - Jakoś o tym nie pomyślałem, a to niezmiernie interesująca myśl". Porozmawiali o sputniku-automacie, zdziwili się, że miał tylko dwa pociski, spróbowali obliczyć, jakie w takim wypadku powinny być wyobrażenia Wędrowców o gęstości zaludnienia wszechświata, zdecydowali, że w ostatecznym rezultacie niezbyt się różnią od naszych wyobrażeń i z tego wynika niedwuznacznie, że Wędrowcy widocznie zamierzali tu powrócić, a jednak, nie wiadomo dlaczego, nie wrócili - możliwe, że rację ma Borowik, kiedy twierdzi, że Wędrowcy w ogóle opuścili Galaktykę. Komow półżartem wysunął teorię, że tubylcy to właśnie Wędrowcy, uspokojeni i nasyceni zewnętrzną informacją, zamknięci w sobie. Gorbowski znowu nawiązał do teorii Komowa i również żartem zaczął go wypytwać, jak należy oceniać taką ewolucję Wędrowców w świetle teorii pionowego postępu. Potem porozmawiali o zdrowiu doktora M'Bogi, nieoczekiwanie przeskoczyli na ucieszenie jakiegoś Wyspiarskiego Imperium i wspomnieli o roli, jaką w tym odegrał niejaki Karol Ludwig, którego nie wiadomo dlaczego również nazywali Wędrowcem, niepostrzeżenie od Karola Ludwiga przeszli do zagadnienia granic kompetencji Galaktycznej Rady Bezpieczeństwa, zgodzili się, że prerogatywy Rady dotyczą tylko cywilizacji humanoidalnych... Bardzo szybko przestałem rozumieć, o czym oni w ogóle mówią, a co najważniejsze - dlaczego o tym mówią.

Potem Gorbowski powiedział:

- Zameczyłem cię chyba na śmierć, przepraszam. Połóż się i odpocznij. Bardzo mi było przyjemnie porozmawiać z tobą. Nie widzieliśmy się jednak strasznie dawno.

- Ale niedługo, oczywiście, zobaczymy się znowu - powiedział z goryczą Komow.

- Tak, myślę, że za jakieś dwa dni. Bader już jest w drodze, Borowik również. Sądzę, że pojutrze cała Komisja będzie w Bazie.

- A więc do zobaczenia pojutrze - powiedział Komow.

- Pozdrów ode mnie twojego wachtowego... Staszka, zdaje się. Jest taki niebywale... wy-musztrowany, powiedziałbym. I Jakuba, Jakuba musisz koniecznie pozdrowić! No i oczywiście wszystkich pozostałych. Pożegnali się.

Siedziałem cicho jak mysz pod miotłą, nadal bezmyślnie gapiąc się w ekran, nic nie widząc, niczego nie rozumiejąc. Za moimi plecami panowała grobowa cisza. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Miałem taką ochotę odwrócić głowę, że aż mi zdrętwiała szyja i coś ukłuło pod łopatką. Było dla mnie jasne, że Komow został pokonany. Ja w każdym razie byłem, i to doszczętnie. Zastanawiałem się, co odpowiedziałbym na miejscu Komowa, ale w mojej głowie utkwiło tylko jedno bezmyślne zdanie: "A co mnie obchodzą Wędrowcy? Też mi coś, Wędrowcy! Sam jestem do pewnego stopnia Wędrowcem..."

Nagle Komow odezwał się:

- No, a co ty o tym sądzisz?

Omam nie palnąłem "A co nas obchodzą Wędrowcy?", ale w porę ugryzłem się w język. Sekundę jeszcze siedziałem w poprzedniej pozycji, żeby podkreślić wagę chwili, a potem odwróciłem się razem z fotelem. Komow z głową opartą na splecionych dłoniach patrzył na martwy ekranik. Oczy miał na wpół zamknięte i gorzki grymas wokół ust.

- Chyba będziemy musieli odczekać... - powiedziałem. - Cóż robić... Zresztą i Mały może więcej nie przyjdzie... a w każdym razie przyjdzie nieprędko...

Komow uśmiechnął się kątem ust.

- Mały to na pewno przyjdzie - powiedział. - Mały za bardzo lubi zadawać pytania. A wyobrażasz sobie, ile teraz pojawiło się nowych pytań?

To było prawie słowo w słowo to, co powiedział w mesie Van der Hoose.

- W takim razie może... - wymamrotałem niezdecydowanie. - Może naprawdę lepiej...

No, co mu mogłem odpowiedzieć? Po tym, co mówił Gorbowski, po tym, co mówił sam Komow, co

mogłem powiedzieć ja, szeregowy cybernetyk, lat dwadzieścia, staż pracy - sześć i pół doby, chłopak może i nie najgorszy, pracowity, odcytany i tak dalej, ale, powiedzmy to sobie wprost, niezbyt wysokiego lotu, prostaczek...

- Być może - obojętnie powiedział Komow. Wstał, ruszył do wyjścia powłócząc nogami, ale na progu zatrzymał się. Jego twarz wykrzywił nagle grymas. Prawie krzyczał: "Czy naprawdę żaden z was nie rozumie, że Mały to unikalny przypadek, w gruncie rzeczy niemożliwy i dlatego pierwszy i ostatni! Przecież to nigdy więcej się nie zdarzy. Rozumiesz? Nigdy!!!

Wyszedł, ja zaś dalej siedziałem twarzą do radiostacji, a plecami do ekranu i próbowałem się zorientować może nie tyle we własnych myślach, ile w uczuciach. Nigdy! Oczywiście, że nigdy. Jak bardzo uwikłaliśmy się wszyscy! Biedny Komow, biedna Majka, biedny Mały... A kto najbiedniejszy? Teraz oczywiście odejdziemy stąd. Małemu będzie lżej. Majka pójdzie się uczyć, zostanie pedagogiem, tak że chyba najbiedniejszy jest Komow. Trzeba mieć naprawdę pieskie szczęście - natknąć się - osobiście! - na unikalny zbieg okoliczności, na unikalną szansę eksperymentalnego potwierdzenia swoich teorii i nagle - wszystko leci w diabły! Oto ten sam Mały, który ma zostać wiernym pomocnikiem, nieocenionym pośrednikiem, głównym taranem rozbijającym wszelkie przeszkody, staje się sam główną przeszkodą... Przecież nie można tak stawiać sprawy - przyszłość Małego albo pionowy postęp ludzkości. W tym musi tkwić jakaś logiczna pułapka jak w paradoksach Zenona... A może nie ma pułapki? A może naprawdę tak należy stawiać tę sprawę? Ludzkość, pomimo wszystko...

W zadumie odwróciłem się z fotelem twarzą do ekranu obserwacyjnego, z roztargnieniem rzuciłem okiem na okolice. Filozoficzne problemy migiem wyleciały mi z głowy.

Jakby nigdy nie było huraganu. Wszystko dookoła było białe od szronu i śniegu, a Tom stał tuż obok statku, na samej granicy martwego pola, przed włazem i natychmiast zrozumiałem, że to Mały siedzi tam na śniegu i nie decyduje się wejść - samotny, rozdarty między dwiema cywilizacjami...

Zerwałem się i pogalopowałem przez korytarz. W komorze kesonowej z przyzwyczajenia złapałem dochę, ale odrzuciłem ją, całym ciałem uderzyłem w błonę włazu i wypadłem na dwór. Małego nie było. Głupi Tom zapalił światelko pytając o polecenia. Wszystko było białe i skrzyło się w blasku zórz. Ale przy samym włazie, pod moimi nogami czerniał jakiś okrągły przedmiot. Cofnąłem się. Diabli wiedzą, co za okropność wyobraziłem sobie w pierwszej sekundzie. Nawet nie od razu zmusiłem się do podniesienia tego z ziemi. To była nasza piłka. A na piłkę nasadzono przepaskę z "trzecim okiem". Obiektów był rozbity i w ogóle cały aparat wyglądał tak, jakby go wyciągnięto spod lawiny.

I ani jednego śladu na śnieżnej pokrywie.

ZAKOŃCZENIE

Wywołuje mnie, ilekroć ma ochotę porozmawiać.

- Czołem, Staszek - mówi. - Porozmawiamy? Dobrze?

Dla łączności wydzielono cztery godziny na dobę, ale on nigdy nie trzyma się harmonogramu. Nie uznaje go. Wywołuje mnie, kiedy śpię, kiedy siedzę w wannie, kiedy piszę sprawozdania, kiedy przygotowuję się do kolejnej rozmowy z nim, kiedy pomagam kolegom rozbierającym na czynniki pierwsze sputnik-automat Wędrowców... Nie gniewam się. Na niego nie można się gniewać.

- Czołem, Mały! - odpowiadam. - Oczywiście, porozmawiajmy.

Mały mruży oczy jakby z zadowolenia i zadaje swoje standardowe pytanie.

- Ty jesteś prawdziwy Staszek? Czy to twój wizerunek?

Zapewniam go, że to ja we własnej osobie, Staszek Popow osobiście, a nie żaden tam fantom. Wielokrotnie już tłumaczyłem mu, że nie umiem wytwarzać fantomów, i Mały moim zdaniem bardzo dawno to zrozumiał, ale pytanie pozostaje. Być może Mały w ten sposób żartuje, być może bez tego pytania nie wyobraża sobie normalnej wymiany powitań, a może po prostu podoba mu się słowo "wizerunek". Ma swoje ulubione słowa: "wizerunek", "fenomenalne", "na bim-bom-bramsel"...

- Dlaczego oko widzi? - zaczyna Mały.

Wyjaśniam mu, dlaczego oko widzi. Mały słucha uważnie, od czasu do czasu dotykając swych oczu długimi wrażliwymi palcami. Wyśmienicie umie słuchać i chociaż teraz zarzucił swój dawny obyczaj i już nie lata jak kot z pęcherzem, kiedy coś nim szczególnie wstrząsa, przez cały czas czuję w nim jakieś napięcie, ukrytą namiętną pasję, nieopisaną, niedostępną mi, niestety, wielką radość poznawania.

- Fenomenalne! - chwali mnie, kiedy kończę. - Szczygiełek! Ja to wszystko przemyślę, a później zapytam jeszcze raz...

Nawiasem mówiąc te jego samotne rozmyślania nad tym, co usłyszał (wściekły taniec mięśni twarzy, skomplikowane ornamenty z liści, patyków i kamieni), nasuwają mu czasami bardzo dziwne pytania. Na

przykład teraz.

- Jak się dowiedziano, że ludzie myślą głową? - pyta Mały.

Jestem nieco zaskoczony i zaczynam pływać. Mały słucha mnie równie uważnie jak i poprzednio, powoli wypływam, zaczynam czuć pod nogami twarde grunto i wszystko idzie niby gładko, i niby obaj jesteśmy zadowoleni, ale kiedy kończę, Mały oświadcza:

- Nie. To wycinek. To nie zawsze i nie wszędzie. Jeżeli ja myślę tylko głową, to dlaczego zupełnie nie mogę rozmyślać bez rąk?

Czuję, że wkraczamy na śliski temat. W Centrum kategorycznie przykazano mi za wszelką cenę uchylać od rozmów, które mogłyby naprowadzić Małego na myśl o tubylcach. I przykazano, należy przyznać, słusznie. Zupełnie unikać takich rozmów się nie daje i w ostatnim okresie zauważyłem, że Mały jakoś bardzo boleśnie przeżywa nawet własne odwołania do swojego sposobu życia. Może zaczyna się domyślać? Kto wie... Już od kilku dni czekam na pytanie wprost. Chcę tego pytania i boję się go...

- Dlaczego wy możecie, a ja nie mogę?

- Tego jeszcze sami dobrze nie wiemy - przyznaję się i dodaję ostrożnie: - Istnieje takie przypuszczenie, że ty jednak nie całkiem jesteś człowiekiem...

- W takim razie co to takiego człowiek? - natychmiast pyta Mały. - Co to takiego całkiem człowiek?

Nader mętnie wyobrażam sobie, co można odpowiedzieć na takie pytanie i obiecuję opowiedzieć mu o tym w czasie naszego następnego spotkania. Mały zrobił ze mnie prawdziwego encyklopedystę. Czasami przez okrągłą dobę pożeram i przetrawiam informacje. Ośrodek Informacyjny pracuje dla mnie, najwybitniejsi specjaliści z wszelkich możliwych dziedzin nauki pracują dla mnie, i mam prawo o dowolnej godzinie połączyć się z każdym z nich i zażądać konsultacji.

- Wyglądasz na zmęczonego - ze współczuciem stwierdza Mały. - Jesteś zmęczony?

- Nie szkodzi - mówię. - Można wytrzymać.

- Dziwne, że ty się męczysz - oświadcza mi z zadumą. - Ja, nie wiadomo dlaczego, nigdy się nie męczę. A właściwie co to takiego zmęczenie?

Nabieram powietrza w płuca i zaczynam mu objaśniać, co to takiego zmęczenie. Nie przestając słuchać Mały rozkłada przed sobą kamyki, które oszlifował dla niego dobry, stary Tom, nadając im kształt sześcianów, kuł, równoległoboków, stożków i jeszcze bardziej skomplikowanych brył. Do momentu zakończenia wykładu przed Małym wyrasta zawiła konstrukcja, kompletnie do niczego nie podobna, ale w jakiś sposób harmonijna i dziwnie przemyślana.

- Opowiedziałeś mi dobrze - mówi Mały. - Powiedz mi, czy nasza rozmowa jest nagrywana?

- Tak, oczywiście.

- Obraz jest ostry, wyraźny?

- Jak zawsze.

- W takim razie niech tę figurę obejrzy dziadek. Patrz dziadku - zespoły ostygnięcia tu, i tu, i tu...

Dziadek Małego, Paweł Aleksandrowicz Siemionow, pracuje w dziedzinie realizacji abstrakcji w pojęciu Parciwala. Jest dosyć przeciętnym uczonym, ale wielkim erudytą i Mały podtrzymuje z nim stałą łączność. Paweł Aleksandrowicz mówił mi, że chłopiec myśli częstokroć naiwnie, ale zawsze oryginalnie i że niektóre z jego konstrukcji zawierają w sobie elementy nader interesujące z punktu widzenia teorii Parciwala.

- Oczywiście - mówię. - Z całą pewnością mu przekażę. Jeszcze dzisiaj.

- A może to głupstwo - nagle oświadcza Mały i jednym ruchem burzy całą konstrukcję. - Co teraz robi Lowa? - pyta.

Lowa - to starszy inżynier Bazy. wielki wesolek i zartowniś. Kiedy Lowa rozmawia z Małym, całą przestrzeń kosmiczną wokół planety wypełnia śmiech i radosne piski, a ja odczuwam coś w rodzaju zazdrości. Mały bardzo lubi Lowę i za każdym razem pyta o niego. Czasami pyta również o Van der Hoosego i wtedy czuję, że słodka tajemnica bokobrodów nadal jest dla niego pasjonująca i nie wyjaśniona. Raz czy dwa zapytał o Komowa i musiałem mu opowiedzieć, co to takiego projekt „Arka-2”, a także, po co przy realizacji tego projektu potrzebny jest ksenopsycholog. Ale o Majkę nie zapytał ani razu. Kiedy sam spróbowałem zacząć z nim rozmowę na jej temat, kiedy spróbowałem mu wyjaśnić, że Majka, nawet jeżeli go okłamywała, to dla jego, Małego, dobra, że z nas czworga właśnie Majka pierwsza zrozumiała, jak ciężko jest Małemu i jak potrzebna mu jest pomoc, Mały po prostu wstał i odszedł. I dokładnie tak samo wstał i odszedł, kiedy pewnego razu, przy jakiejś okazji zacząłem mu tłumaczyć, co to jest kłamstwo...

- Lowa śpi - mówię. - U nas jest teraz noc, a ściślej nocne godziny pokładowej doby.

- To znaczy, ty też spałeś! I ja cię znowu obudziłem?

- Nic nie szkodzi - mówię szczerze. - Dla mnie rozmowa z tobą jest ciekawsza niż spanie.

- Nie. Idź i śpij - kategorycznie zarządza Mały. - Jednak jesteście dziwni. Koniecznie musimy spać.

To "jesteście" jak balsam sływa na moje serce. Zresztą ostatnio Mały często mówi "my" i powoli zaczynam się do tego przyzwyczajać.

- Idź spać - powtarza Mały. - Ale najpierw powiedz mi, póki ty śpisz, nikt nie przyjdzie na ten brzeg?

- Nikt - odpowiadam jak zawsze. - Możesz się nie niepokoić.

- To dobrze - mówi Mały z zadowoleniem. - Więc ty śpij, a ja pójdę porozmyślać.

- Oczywiście, idź - mówię.

- Do widzenia - mówię i wyłączam się.

- Do widzenia - mówi Mały.

Ale wiem, co będzie dalej i nie idę spać. Jest dla mnie zupełnie jasne, że dziś znowu się nie wyśpię.

Mały siedzi w swojej zwykłej pozycji, do której przywykłem i która już nie wydaje mi się taka męcząca. Przez jakiś czas wpatruje się w zgaszony ekran na czole starego Toma, potem wznosi oczy ku niebu, jakby miał nadzieję zobaczyć tam na dwustukilometrowej wysokości moją Bazę zakotwiczoną przy sputniku Wędrowców, a za plecami Małego rozpościera się dobrze mi znany krajobraz zakazanej dla ludzi planety Arka - piaszczyste wydmy, kłębiasta czapa mgły nad gorącą topielą, posępne grzbiety gór w oddali, a nad nimi cienkie i długie linie kolosalnych konstrukcji, gibkich niby trwożnie drżące czułki potwornego owada, tajemniczych i jak dawniej nieodgadnionych.

Teraz tam u nich jest wiosna, na krzakach rozkwitły wielkie, nieoczekiwanie jaskrawe kwiaty, nad wydmami drga ciepłe powietrze. Mały rozgląda się z roztargnieniem, jego palce przebiegają oszlifowane kamyki. Patrzy przez ramię w stronę gór, odwraca się i przez czas jakiś siedzi nieruchomo z opuszczoną głową. Potem decyduje się, wyciąga rękę prosto do mnie i naciska klawisz sygnału wywoławczego pod samym nosem Toma.

- Czołem, Staszek! - mówi. - Już się wyspałeś?

- Tak - odpowiadam. I śmiać mi się chce i spać okrutnie.

- Dobrze byłoby się teraz pobawić, prawda?

- Tak - mówię. - To byłoby nieźle.

- Świerszcz za kominem - mówi Mały i przez chwilę milczy.

Czekam.

- No, tak - rzeško mówi Mały - wobec tego znowu porozmawiajmy. Dobrze?

- Dobrze - mówię. - Oczywiście, porozmawiajmy.